

# Sokół Maltański

Deshiell Hammett



calibre 0.9.27

# Dashiell Hammett

## Sokół maltański

*Przełożył Waclaw Niepokólczycki*

### Spade & Arche

Samuel Spade miał długą, kościstą szczękę i podbródek w kształcie „v” pod łagodniej wyciętym „v” ust. Nozdrza miał wykrojone w formie jeszcze jednego, mniejszego „v”. Żółtawoszare oczy były w linii prostej, za to gęste brwi znowu podejmowały motyw „v”, unosząc się ku górze od dwóch pionowych zmarszczek nad zakrzywionym nosem, a jasne włosy cofały się od punktu w środku czoła ku płaskim, wysokim skroniom. Wyglądał dość sympatycznie, trochę jak blondwłosy diabeł.

- Słucham cię, kochanie? - spytał Effie Perine.

Effie była wysoką, szczupłą, opaloną dziewczyną. Brązowa suknia z cienkiej wełenki przylegała do jej ciała jak zmoczona. W piwnych oczach migotały iskierki wesołości. Zamknęła drzwi za sobą, oparła się o nie i powiedziała:

- Jakaś dziewczyna chce ciebie widzieć. Nazywa się Wonderly.

- Interessantka?

- Chyba tak. W każdym razie na pewno chętnie z nią porozmawiasz: jest urocza.

- Dawaj ją tu, kochanie - rzekł Spade. - Dawaj ją tu.

Effie Perine otworzyła drzwi i stojąc z ręką na klamce powiedziała:

- Proszę wejść, panno Wonderly.

- Dziękuję - zabrzmiało tak cicho, że tylko bardzo staranna artykulacja czyniła słowo zrozumiałym, i w drzwiach ukazała się młoda kobieta.

Zbliżała się wolnym, jakby ostrożnym krokiem, patrząc na Spade'a kobaltowo-niebieskimi oczyma nieśmiało, a zarazem badawczo.

Była wysoka i gibka, ale nie chuda. Prosta, o stromych piersiach, nogi miała długie, dłonie i stopy wąskie. Ubrana była w dwa odcienie koloru niebieskiego, dobranego do barwy oczu. Włosy, wymykające się falami spod niebieskiego kapelusza, były ciemno-rude, usta pełne i czerwone. Zęby połyskiwały bielą między rozchylonymi w nieśmiałym uśmiechu wargami.

Spade wstał, uklonił się i ręką o grubych palcach wskazał dębowy fotel obok biurka. Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Spadziste ramiona nadawały jego ciału wygląd stożkowaty i sprawiały, że świeżo wyprasowana szara marynarka źle na nim leżała.

Panna Wonderly mruknęła cichutko: - Dziękuję - i usiadła na brzeżku drewnianego fotela.

Spade opadł na krzesło obrotowe, zrobił ćwierć obrotu w jej stronę i uśmiechnął się uprzejmie. Uśmiechnął się nie otwierając ust i wszystkie „v” na jego twarzy wydłużyły się.

Zza zamkniętych drzwi dochodziło klekotanie, cieniutki dzwonek i stłumiony turkot maszyny, na której pisała Effie Perine. Gdzieś za ścianą wibrowała jakaś maszyna o napędzie elektrycznym. Na biurku Spade'a tlił się niedopałek w mosiężnej popielniczce, pełnej dawniejszych niedopałków. Szare, postrzępione płatki popiołu przyprószyły żółty blat biurka, zieloną suszkę i papiery. Lekko uchylone okno za firanką wpuszczało zalatujący nieco amoniakiem powiew z podwórka. Popiół drgał i pełgał po biurku.

Panna Wonderly przyglądała się drgającym i pełgającym szarym płatkom. Jej oczy były niespokojne. Siedziała na samym brzeżku fotela, trzymając stopy równo na podłodze, jakby chciała zaraz wstać. Ręce w ciemnych rękawiczkach przytrzymały płaską ciemną torebkę na kolanach. Spade przechylił się do tyłu i zapytał:

- Czym mogę pani służyć?

Nabrała powietrza w płuca i podniosła na niego wzrok. Przełknęła ślinę i powiedziała szybko:

- Czy mógłby pan... Pomyślałam... Ja... to znaczy... Zagryzła dolną wargę lśniąco białymi zębami i zamilkła. Tylko jej ciemne oczy mówiły dalej, prosząc o zmiłowanie. Spade skinął głową, niby ją rozumiejąc, ale z wyrazem, jakby nie chodziło o nic poważnego.

- A może niech mi pani powie wszystko od początku i wtedy zobaczymy, co trzeba zrobić. Najlepiej zacząć od samiotkiego początku.

- To było w Nowym Jorku.

- Tak.

- Nie wiem, gdzie ona go spotkała. To znaczy, gdzie w Nowym Jorku. Jest młodsza ode mnie o pięć lat - ma ledwie siedemnaście - i nie przyjaźnimy się z tymi samymi ludźmi. Chyba nigdy nie byliśmy tak zżyte, jak powinnyśmy będąc siostrami. Mama i tatuś są w Europie. Oni tego nie przeżyją. Muszę ściągnąć ją do domu, zanim rodzice wrócą.

- Tak - rzekł Spade.

- Rodzice wracają pierwszego. Oczy Spade'a rozjaśniły się.

- Więc mamy dwa tygodnie czasu - powiedział.

- Nie wiedziałam, co zrobić, póki nie przyszedł list. Odchodziłam od zmysłów. - Usta jej drżały. Ręce gniotły ciemną torebkę na kolanach. - Byłam w rozterce, czy iść na policję, czy nie, bo z jednej strony skłaniał mnie do tego lęk o siostrę, a z drugiej wstrzymywało przerażenie jej postępkami. Nie miałam się kogo poradzić. Nie wiedziałam, co robić. No, bo co mogłam zrobić?

- Nic, rzecz jasna - rzekł Spade. - A potem przyszedł list?

- Tak, i posłałam telegram z prośbą, żeby wracała do domu. Wysłałam go tu, na poste restante. To był jedyny adres, jaki mi dała. Czekałam cały tydzień na odpowiedź, ale nie odpowiedziała ani słowa. A dzień powrotu mamy i tatusia stawał się coraz bliższy. Więc przyjechałam po nią do San Francisco. Napisałam, że przyjeżdżam. Chyba nie powinnam była tego robić, prawda?

- Może nie. Nie zawsze łatwo wiedzieć, co robić. Nie znalazła jej pani?

- Nie. Napisałam, że zatrzymam się w „St. Mark”, i błagałam, żeby przyszła i porozmawiała ze mną, nawet jeżeli nie zamierza ze mną wracać. Ale nie przyszła. Trzy dni czekałam i nie przyszła. Nie przysłała też żadnej wiadomości.

Spade pokiwał głową, zrobił współczującą minę i zacisnął wargi.

- To okropne - powiedziała panna Wonderly próbując się uśmiechnąć. - Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać nie wiedząc, co się tymczasem może z nią stać. - Już nie próbowała się uśmiechać. Zadrżała. - Jedyny adres, jaki mam, to poste restante. Napisałam jeszcze jeden list i wczoraj po południu poszłam na pocztę. Czekałam aż do wieczora i nie spotkałam jej. Poszłam znowu dzisiaj rano i też nie widziałam Corinne ale zobaczyłam Floyda Thursby'ego.

Spade skinął głową. Wyraz współczucia znikł z jego twarzą, a zastąpiła go bystra uwaga.

- Nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest Corinne - mówiła dalej z nutą beznadziejności w głosie. - Nie chciał mi nic powiedzieć prócz tego, że jest zdrowa i szczęśliwa; Ale czyż mogę temu wierzyć? Czy powiedziałby mi co innego?

- Słusznie - zgodził się Spade. - Ale to może też być prawda.

- Oby tak było! Ach, żeby tak było! - wykrzyknęła. - Ale nie mogę po prostu wrócić do domu nawet nie zamieniwszy z nią paru słów, choćby przez telefon. On nie chciał mnie do niej zaprowadzić. Powiedział, że ona nie chce się ze mną widzieć. Nie mogę w to uwierzyć. Obiecał powiedzieć jej, że widział się ze mną, i przyprowadzić ją dziś wieczorem - jeżeli będzie chciała - do mnie do hotelu. Mówił, że nie będzie chciała. A jak nie będzie chciała, to obiecał, że przyjdzie sam. To... - urwała i przyłożyła rękę do ust, spłoszona nagłym otwarciem drzwi.

Mężczyzna, który się w nich ukazał, zrobił jeden krok, powiedział: - Och, przepraszam! - pośpiesznie zdjął brązowy kapelusz z głowy i chciał wyjść.

- Nie szkodzi, Miles - powiedział Spade. - Wejdz. Panna Wonderly, pan Archer, mój współnik.

Miles Archer wszedł zamykając drzwi za sobą, kiwnął głową i uśmiechnął się do panny Wonderly, robiąc przy tym niewyraźny gest kapeluszem. Był to mężczyzna średniego wzrostu, silnej budowy, szeroki w ramionach, gruby w karku, o jowialnej, czerwonej twarzy z wyraźnie zarysowaną dolną szczęką i o lekko siwiejących krótko przystrzyżonych włosach. Miał najwyraźniej tyleż lat po czterdzieście, co Spade po trzydzieście.

Spade wyjaśnił mu:

- Panna Wonderly ma siostrę, która uciekła z Nowego Jorku z niejakim Floydem Thursbym. Są teraz tutaj. Panna Wonderly widziała już Thursby'ego i ma się z nim spotkać dziś wieczór. Możliwe, że on przyprowadzi z sobą jej siostrę. Ale nie wygląda na to. Panna Wonderly chce, żebyśmy znaleźli jej siostrę, wyrwali z rąk Thursby'ego i odesłali do domu. - Spojrzał na pannę Wonderly. - Tak?

- Tak - powiedziała niewyraźnie.

Zakłopotanie, rozproszone stopniowo uśmiechami, skinieniami głowy i potakiwaniem Spade'a ponownie zaczerwieniło jej twarz. Opuściła wzrok ku torebce i nerwowo postukiwała w nią palcami. Spade mrugnął do swego współnika.

Miles Archer podszedł do rogu biurka. Podczas gdy dziewczyna patrzyła na torebkę, on patrzył na nią. Przyjrzał się jej od stóp do głów śmiałym, taksującym spojrzeniem małych brązowych oczu. Potem popatrzył na Spade'a i ułożył usta jakby chcąc gwizdnąć z zachwytem. Spade uniósł w krótkim, ostrzegawczym geście dwa palce - znad poręczy krzesła i rzekł:

- Nie powinniśmy mieć z tym żadnych trudności. Po prostu wyśle się kogoś dziś wieczorem do hotelu, żeby po wyjściu pana Thursby'ego szedł za nim, póki pan Thursby nie doprowadzi go do siostry pani. Jeżeli ona dziś przyjdzie i pani ją nakłoni do powrotu, to tym lepiej. Jeżeli nie - jeśli nie zechce go porzucić - to znajdziemy jakiś inny sposób załatwienia sprawy.

- Nie ma obawy - rzekł Archer szorstkim, ponurym głosem.

Panna Wonderly szybko spojrzała na Spade'a marszcząc brwi.

- Och, ale trzeba ogromnie uważać! - jej głos trząsł się nieco, a usta wypowiadały te słowa z nerwowym drganiem. - Boję się śmiertelnie, że on może coś zrobić. Już wystarczy, że przywiózł ją,

taką młodziutką, z Nowego Jorku, żeby... Czy on... czy on może... jej coś zrobić?

Spade uśmiechnął się i poklepał poręczę krzesła.

- Proszę to pozostawić nam - rzekł. - Już my będziemy wiedzieli, jak sobie z nim poradzić.

- Ale czy on może jej coś zrobić?

- Zawsze istnieje to niebezpieczeństwo - Spade z namysłem pokiwał głową. - Ale może nam pani zaufać, że nie dopuścimy do tego.

- Ja panom ufam - powiedziała poważnie - ale chcę, żeby panowie wiedzieli, że to niebezpieczny człowiek. Taki, co przed niczym się nie cofnie. Nie wiem, czy zawahałby się przed zamordowaniem Corinne, gdyby go to w jego pojęciu mogło ocalić. Czy nie mógłby tego zrobić?

- Czy pani mu groziła?

- Powiedziałam mu, że chcę tylko, żeby Corinne wróciła do domu przed przyjazdem mamy i tatusia, bo wtedy nigdy by się nie dowiedzieli, co zrobiła. Przyrzekłam mu, że jeśli mi pomoże, nigdy nie powiem o tym słowa, a jak nie, tatuś na pewno postara się, żeby go ukarano. Ale... ale nie sądzę, że mi uwierzył.

- Czy może się wymigać żeniąc się z nią? - spytał Archer.

Dziewczyna zaczerwieniła się i odparła zmieszana:

- On ma żonę i troje dzieci w Anglii. Corinne mi to napisała, żeby wyjaśnić, dlaczego z nim uciekła.

- Tacy najczęściej mają żony - powiedział Spade - choć nie zawsze w Anglii. - Pochylił się, żeby sięgnąć po ołówek i papier. - Jak on wygląda?

- Och, ma chyba ze trzydzieści pięć lat, wysoki jak pan i ciemny albo bardzo opalony. Włosy ma też ciemne gęste brwi. Mówi głośno, tubalnie i ma nerwowy, drażniący sposób zachowania. Robi wrażenie kogoś... gwałtownego.

Spade, nie podnosząc wzroku znad papieru, na, którym zapisywał, spytał:

- Kolor oczu?

- Niebiesko-czarny i wodnisty, ale wcale nie znamionujący słabości. Och! - i jeszcze ma wyraźnie rozdwojoną brodę.

- Szczupły, średnio czy silnie zbudowany?

- Jak atleta. Szeroki w ramionach i trzyma się prosto. Ma zdecydowanie wojskową postawę. Dziś rano miał na sobie jasnoszare ubranie i szary kapelusz.



- Czym zarabia na życie? - spytał Spade odkładając ołówek.

- Nie wiem - odparła. - Nie mam pojęcia.

- O której ma się z panią zobaczyć?

- Po ósmej.

- W porządku, proszę pani, pošlemy tam człowieka. Bardzo by nam pomogło, gdyby...

- Och, proszę pana, czy mógłby pójść pan albo pan Archer? - zrobiła błagalny gest dłońmi. - Czy któryś z panów mógłby się tym zająć osobiście? Nie chcę powiedzieć, że człowiek, którego panowie by przysłali, byłby nieodpowiedni, ale... och, tak boję się o Corinne! Boję się jego. Czy mógłby któryś z panów? Zdaję sobie sprawę oczywiście, że to będzie więcej kosztowało. - Otworzyła nerwowo torebkę i położyła dwa studolarowe banknoty na biurku Spade'a. - Czy to wystarczy?

- Starczy - rzekł Archer - i ja się tym zajmę. Panna Wonderly wstała i wyciągnęła do niego dłoń.

- Dziękuję, dziękuję! - wykrzyknęła, a potem podała rękę Spade'owi i powtórzyła: - Dziękuję!

- Nie ma za co - rzekł Spade. - Drobnostka. Dobrze by było, gdyby pani spotkała się z Thursbym na dole albo pokazała się z nim później w hallu.

- Dobrze - obiecała i jeszcze raz podziękowała obu współnikom.

- I proszę się za mną nie rozglądać - ostrzegł ją Archer. - Na pewno będę panią widział.

Spade odprowadził pannę Wonderly do drzwi korytarza. Kiedy powrócił do swego biurka, Archer skinął głową w stronę studolarowych banknotów, mruknął z zadowoleniem: - W sam raz sumka - wziął jeden banknot i złożony wsunął do kieszonki kamizelki. - I wcale nie były w jej torebce osamotnione.

Spade wsunął do kieszeni drugi banknot, po czym usiadł.

- Tylko się zańadto nie rozplývawaj. Co o niej sądzisz?

- Śliczna! A ty mi mówisz, żebym się nie rozplýwał. - Archer ryknął nagle śmiechem pozbawionym wesołości. - Jeśli nawet tyś ją pierwszy widział, Sam, to ja się wcześniej zaofiarowałem.

Wsadził ręce do kieszeni i zaczął kołysać się na piętach.

- Tak, zabawisz się z nią, no nie? - Spade wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Masz głowę na karku. Zaczął zwijać sobie skręta.

## 2. Śmierć we mgle

W ciemnościach zabrzmiał dzwonek telefonu. Kiedy przedzwonił trzy razy, zaskrzypiały sprężyny łóżka, zaszurały palce na drewnianym blacie stolika, coś małego a ciężkiego łupnęło głucho o dywan podłogi, znowu zaskrzypiały sprężyny i męski głos powiedział:

- Halo... Tak, mówi... Martwy...? Tak... Piętnaście minut. Dziękuję.

Pstryknął kontakt i biała czasza zawieszona na trzech połączonych łańcuchach u sufitu nappełniła pokój światłem. Spade, bosy, w piżamie w biało-zieloną kratkę, siadł na brzeжку łóżka. Spojrzał kwaśno na telefon sięgając po leżący obok pakiecik brązowej bibułki i woreczek tytoniu buli durham.

Z dwóch otwartych okien wiało chłodne, mgliste powietrze, przynosząc kilka razy na minutę głuche porykiwanie syreny przeciwmgielnej z Alcatraz. Małeńki budzik, niepewnie umieszczony na rogu *Słynnych spraw kryminalnych Ameryki* Duke'a, leżących stroną tytułową do dołu, wskazywał pięć po drugiej.

Grube palce Spade'a skręcały papierosa z niezwykłą dbałością: w podwiniętą bibułkę wsypały odmierzoną ilość tytoniu, rozłożyły go równiutko u końców, ujmując trochę w środku, kciuki podgięły dolny brzeg bibułki, zwinęły go aż do górnego brzegu w wałek, po czym rozsunęły się ku końcom, a język poślinił brzeżek. Lewy kciuk i palec wskazujący ścisnęły koniec papierosa, a prawy kciuk i palec wskazujący wyrównały wilgotny pasek, po czym skręciły drugi koniec i uniosły do ust Spade'a.

Spade schylił się po niklowaną, oprawioną w świńską skórę zapalniczkę, która spadła ze stolika, zapalił i wstał z papierosem w kąciku ust. Zdjął piżamę. Grube ramiona, nogi, tułów, wielkie spadziste barki upodabniały go do niedźwiedzia. Do ogolonego niedźwiedzia - nie miał włosów na piersi. Jego skóra była miękka i różowa, zupełnie jak u dziecka.

Podrapał się w plecy i zaczął ubierać. Włożył cienką białą bieliznę, szare skarpetki, czarne podwiązki i brązowe półbuty. Zawiazawszy sznurowadła podniósł słuchawkę, wykręcił Graystone 4500 i zamówił taksówkę. Włożył białą koszulę w zielone paski, miękki biały kołnierzyk, zielony krawat, szary garnitur z poprzedniego dnia, luźny tweedowy płaszcz i ciemnoszary kapelusz. Dzwonek u drzwi wejściowych zabrzmiał w chwili, gdy wsuwał tytoń, klucze i pieniądze do kieszeni.

W miejscu gdzie Bush Street przechodzi nad tunelem Stockton, by zaraz potem ześliznąć się w dół ze wzgórza ku Chinatown, Spade zapłacił i wysiadł z taksówki. Nocna mgła San Francisco, rzadka, lepka i przenikająca, zacierała kontury domów. O kilka kroków od Spade'a stała grupka ludzi patrzących w głąb zaułka. Również po drugiej stronie Bush Street stały jakieś dwie kobiety i mężczyzna patrzący w stronę zaułka. Widać było twarze w oknach.



Spade przeszedł na drugą stronę chodnika między ogrodzonymi żelazną barierą wyjściami brzydkich, nagich, betonowych schodów, oparł się rękami o wilgotną poręcz i spojrzał w dół na Stockton Street.

Z tunelu pod nim wystrzelił niby wydmuchnięty w warkoczącym pędzie samochód i znikł. Niedaleko wylotu tunelu, przed tablicą ogłoszeniową, która zakrywała lukę pomiędzy dwoma magazynami i reklamowała jakiś film i gatunek benzyny, siedział w kucki człowiek. Głową dotykał nieomal chodnika, chcąc zajrzeć za tablicę. W tej groteskowej pozycji utrzymywała go dłoń oparta płasko o płytę chodnika i druga dłoń, zaciśnięta na zielonej ramie tablicy. Dwóch innych ludzi stało niezdarnie razem u końca tablicy, zaglądając przez parocalową szparę między jej krawędzią a budynkiem. Ślepa, szara ściana budynku z drugiej strony tablicy wychodziła na podwórko, które tablica zasłaniała. Na ścianie migotały światła i cienie ludzi poruszających się wśród światła.

Spade poszedł przez Bush Street ku zaułkowi, gdzie stała grupka ludzi. Umundurowany policjant, żując gumę pod emaliowaną tabliczką z białym napisem „Burritt Street” na granatowym tle, wyciągnął rękę i zapytał:

- Czego pan tu szuka?

- Jestem Samuel Spade. Tom Polhaus zadzwonił do mnie, żebym przyszedł.

- No jasne. - Policjant opuścił rękę. - Nie poznałem pana na pierwszy rzut oka. Oni są tam. - Wskazał kciukiem przez ramię. - Paskudna sprawa.

- Paskudna - przyznał Spade i poszedł dalej.

W połowie zaułka stała ciemna karetka. Poczynając od karetki po lewej stronie zaułka biegł sięgający wysokości pasa płot z poziomo zbitych desek. Za płotem grunt opadał już zupełnie stromo ku tablicy ogłoszeniowej na Stockton Street w dole.

Jeden koniec górnej, trzymetrowej deski był oderwany od słupka i zwisał ku ziemi. Pięć metrów niżej ze zbocza wystawał płaski głaz. W zagłębieniu między głazem a zboczem leżał na plecach Miles Archer. Stało nad nim dwóch ludzi. Jeden z nich oświetlał leżącego latarką elektryczną. Po zboczach krzątali się jeszcze inni ludzie z latarkami w rękach. Jeden z nich krzyknął:

- Hej, Sam! - i zaczął drapać się pod górę.

Był to wysoki mężczyzna z brzuchem jak beczka, bystrymi małymi oczkami, grubymi wargami i niedbale ogoloną twarzą. Buty, kolana, dłonie i brodę miał wysmarowane rudą gliną.

- Pomyślałem, że pewnie zechcesz zobaczyć, zanim go zabierzemy - rzekł przekładając nogę przez rozwalone ogrodzenie.

- Dziękuję ci, Tom - odparł Spade. - Co się stało? Oparł się łokciem o słupek i spojrzał na ludzi w dole, kiwając głową tym, którzy go witali. Tom Polhaus postukał się brudnym palcem w pierś.

- Dostał w samo serce... o; z tego. - Wyjął z kieszeni płaszcz pękaty rewolwer i podał Spade'owi. Błot wypełniało wgłębienia na powierzchni rewolweru. - Webley. Angielski, co?

Spade zdjął łokieć z płotu i pochylił się nad rewolwerem, ale nie dotknął go rękami.

- Tak. Automatyczny webley-fosbery. Tak jest. Kaliber trzydzieści osiem, ośmiostrzałowy. Już ich nie produkują. Ile piguł z niego wyszło?

- Jedna. - Tom znowu postukał się w pierś. - Pewnie już nie żył, kiedy wyrznął w ten płot. - Uniósł zabłocony rewolwer. - Widziałeś kiedy taki?

Spade skinął głową.

- Widziałem parę webleyów - powiedział obojętnym tonem i zaraz zaczął szybko: - Dostał strzał w to miejsce, nie? Stojąc tu, gdzie ty teraz, plecami do płotu. A napastnik tutaj. - Podszedł i stanął przed Tomem, unosząc na wysokość piersi dłoń z wycelowanym w Toma palcem wskazującym. - Łubudu! Miles wali się do tyłu, obrywa deskę z płotu, toczy się w dół i zatrzymuje na głazie. Pasuje?

- Pasuje - odparł wolno Tom ściągając brwi. - Wybuch osmalił mu płaszcz.

- Kto go znalazł?

- Policjant na obchodzie, Shilling. Szedł po Bush Street i właśnie wtedy przechodził, jak zawracał jakiś samochód i oświetlił płot z oberwaną deską. Wtedy Shilling podszedł, żeby obejrzeć płot z bliska, i znalazł Milesa.

- A co z tym samochodem, który zawracał?

- Diabła tam! Shilling nie zwrócił na niego uwagi, bo nic jeszcze nie wiedział. Mówi, że nikt nie wychodził z zaułka, boby zauważył. Można się jeszcze stąd wydostać pod tablicą na Stockton. Ale tamtędy nikt nie przechodził. Mgła zmoczyła ziemię i są tylko ślady staczającego się Milesa i ciśniętego za nim rewolweru.

- Nikt nie słyszał strzału?

- Na miłość boską, Sam, myśmy dopiero tu przyjechali. Ktoś musiał słyszeć, ale nie wiemy jeszcze kto. - Odwrócił się i przełożył nogę przez płot. - Schodzisz zobaczyć, zanim go zabiorą?

- Nie - odrzekł Spade.

Tom znieruchomiał siedząc okrakiem na płocie i spojrzał na Spade'a zdumionymi oczkami.

- Wystarczy, że ty go widziałeś - powiedział Spade. - Co więcej zobaczę?

Tom pokiwał głową z powątpiewaniem, nie odrywając wzroku od Spade'a, i stanął po drugiej stronie płotu.

- Rewolwer miał w tylnej kieszeni spodni - rzekł. - Nie Wystrzelony. Płaszcz był zapięty. Znaleźliśmy przy nim sto sześćdziesiąt i coś tam dolarów. Czy on był na służbie, Sam?

Spade po chwili wahania przytaknął.

- Miał śledzić faceta imieniem Floyd Thursby - wyjaśnił i opisał Thursby'ego według danych od panny Wonderly.

- Po co?

- To zdaje się Anglik. Nie wiem dokładnie. Chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie mieszka. - Spade uśmiechnął się lekko, wyjął rękę z kieszeni i poklepał Toma po ramieniu. - Nie ciągnij mnie za język. - Schował z powrotem rękę do kieszeni. - Idę zawiadomić żonę Milesa.

Tom skrzywił się, otworzył usta, zamknął je na powrót nie wykrztusiwszy ani słowa, po czym odchrząknął, opanował wyraz twarzy i rzekł miękko:

- Paskudnie, że go wykończyli. Miał swoje wady jak każdy z nas, ale miał też i zalety.

- Na pewno - przyznał Spade nic nie znaczącym tonem i odszedł.

Z drogerii na rogu Bush i Taylor Street Spade zadzwonił.

- Kochanie - powiedział w słuchawkę w chwilę po wykręceniu numeru - postrzelono Milesa... Tak, nie - żyje... Nie denerwuj się... Tak... Będziesz musiała donieść o tym Ivie... Nie, niech to diabli! Ty musisz to zrobić... No widzisz... I nie wpuszczaj, jej do biura... Powiedz, że się z nią zobaczę... później... Tak, ale niech to nie będzie nic wiążącego... Doskonale. Jesteś wspaniała. Pa!

Małutki budzik wskazywał trzecią czterdzieści, kiedy Spade zapalił światło w swoim pokoju. Rzucił kapelusz i płaszcz na łóżko i wszedł do kuchni, a po chwili wrócił do sypialnego z kieliszkiem i wysoką butelką bacardi. Napełnił kieliszek i wypił stojąc. Postawił kieliszek wraz z butelką na stoliku, usiadł na brzeжку łóżka i skręcił sobie papierosa.

Wypił właśnie trzeci kieliszek bacardi i zapalał piątego papierosa, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych. Budzik wskazywał czwartą trzydzieści.

Spade westchnął, wstał z łóżka i podszedł do domofonu obok drzwi łazienki. Nacisnął guzik zwalniający zamek u drzwi wejściowych. Mruknął pod nosem: - Niech ją cholera... - i stał z kwaśną miną przed czarną skrzynką domofonu, oddychając nieregularnie, lekko zaczerwieniony.

Z korytarza doszło zgrzytnięcie i trzask otwieranych i zamykanych drzwi windy. Spade westchnął jeszcze raz i podszedł do drzwi na korytarz. Za drzwiami rozległy się ciche ciężkie kroki na wysłanej dywanem podłodze, kroki dwóch mężczyzn: Twarz Spade'a rozjaśniła się. Znikł z oczu wyraz strapienia. Otworzył szybko drzwi. -

- Cześć, Tom - rzekł do wysokiego brzuchatego detektywa, z którym rozmawiał na Burritt Street, i: - Witam porucznika - do mężczyzny, który przyszedł z Tomem. - Proszę bardzo.

Skinęli mu głową bez słowa i weszli. Spade zamknął drzwi i wprowadził ich do sypialnego. Tom usiadł na skraju kanapy przy oknie. Porucznik usadowił się na krześle przy stoliku.

Porucznik był silnie zbudowanym mężczyzną, o krągłej czaszce z krótko ostrzyżonymi siwiejącymi włosami, kwadratową twarzą i krótkim, przystrzyżonym siwym wąsikiem. Miał wpiętą w krawat złotą pięciodolarową monetę, a w klapie mały, kunsztownie zdobiony diamentami znaczek tajnego towarzystwa.

Spade przyniósł z kuchni dwa kieliszki, napełnił je bacardi, podał gościom i siadł na łóżku. Twarz jego wyrażała łagodność i brak zaciekawienia. Podniósł kieliszek, wzniósł toast: - Za zbrodnię - i wypił.

Tom wychylił kieliszek, postawił na podłodze u swych stóp i otarł usta ubłoconym palcem. Wlepił wzrok w nogi łóżka, jakby usiłując sobie przypomnieć coś, co mu niejasno przywodziły na myśl.

Porucznik patrzył przez kilkanaście sekund na swój kieliszek, po czym pociągnął z niego mały łyżeczek i odstawił na stół obok siebie. Rozejrzał się po pokoju twardym, spokojnym wzrokiem i spojrzał na Toma. Tom poprawił się na kanapie i nie podnosząc oczu spytał:

- Powiadomiłeś żonę Milesa, Sam?

- Aha - odparł Spade.

- Jak to przyjęła? Spade potrząsnął głową.

- Zupełnie nie rozumiem kobiet.

- Ty nie rozumiesz kobiet! - rzekł Tom łagodnie. Porucznik złożył dłonie na kolanach i pochylił się.

Wbił w Spade'a tak nieugięte spojrzenie swoich zielonkawych oczu, jakby ich ruchami rządziła mechanika i jakby mógł je odwrócić jedynie przez pociągnięcie dźwigni lub naciśnięcie guzika.

- Jaki rewolwer nosisz przy sobie? - spytał.

- Żadnego. Nie lubię nosić broni. Mam, oczywiście, kilka rewolwerów w biurze.

- Chciałbym zobaczyć któryś - rzekł porucznik. - Nie masz go przypadkiem tutaj?

- Nie.

- Na pewno?

- Poszukaj. - Spade uśmiechnął się i zrobił lekki gest ręką, w której trzymał kieliszek: - Przewróć tę dziurę do góry nogami, jak chcesz. Słowa nie pisnę... jeżeli tylko masz nakaz przeprowadzenia rewizji.

- Daj spokój, Sam! - wtrącił Tom.

Spade stanął przed porucznikiem odstawiając kieliszek na stół.

- Czego chcesz, Dundy? - spytał twardym głosem spoglądając chłodno.

Porucznik Dundy ani drgnął. Tylko jego oczy poszły za ruchem Spade'a. Tom znów zaczął się kręcić na kanapie, westchnął głęboko i mruknął załośnie:

- Nie chcemy wywoływać żadnych niesnasek, Sam. Spade, ignorując Toma, spytał ponownie porucznika:

- No, więc czego chcesz? Karty na stół. Co ty sobie myślisz? Będziesz mi tu przyłaził i zadawał takie pytania? Za kogo ty się masz?

- Dobra - odparł Dundy głucho - siadaj i słuchaj.

- Siadę, jak mi się będzie podobało - rzekł Spade nie ruszając się.

- Na miłość boską, Sam, bądźże rozsądny - błagał Tom. - Po co się kłócić? Jeżeli już chcesz wiedzieć, to nie chcieliśmy mówić z tobą otwarcie, bo kiedy cię spytałem, kto to jest Thursby, odpowiedziałeś mi bez mała, że to nie mój interes. Nie wolno ci nas tak traktować. Tą drogą nigdzie nie zajdziesz. Musimy robić, co do nas należy.

Porucznik Dundy zerwał się z krzesła i stając tuż przed Spade'em podniósł ku niemu twarz, gdyż Spade był wyższy.

- Zobaczysz, niedługo powinie ci się noga - rzekł. Spade uniósł brwi i zrobił lekceważącą minę.

- Każdemu może się kiedyś powinąć noga - odparł z pełną ironii łagodnością.

- Tobie pierwszemu.

Spade uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, mnie się nie powinie. - Przestał się uśmiechać. Górna warga zaczęła mu drgać. Oczy zwęziły się i rozjarzyły. Głos zadzwieczał głucho jak głos porucznika. - Dość tego. Czego się przywalasz? Gadaj albo zabieraj się i daj mi spać.

- Kto to jest Thursby? - zapytał Dundy.

- Powiedziałem już Tomowi, co o nim wiem.

- Powiedziałeś niewiele.

- Bo wiem niewiele.

- Czegoś go śledził?

- Nie ja, Miles... z tej pięknej przyczyny, że mieliśmy klienta, który zapłacił twardą, brzęczącą monetą, byśmy faceta śledzili.

- Kto jest tym klientem?

Twarz i głos Spade'a na powrót złagodniały. Rzekł z wyrzutem.

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, póki nie porozumiem się z klientem.

- Nie powiesz mnie, to powiesz śledczemu - powiedział Dundy zapalczywie. - Pamiętaj, że chodzi o morderstwo.

- Wiem. A ty, przyjemniaczku, pamiętaj, że powiem albo nie powiem, jak mi się będzie chciało. Minęły te czasy, kiedy płakałem, „bo pan policjant mnie nie kocha”.

Tom wstał z kanapy i usiadł w nogach łóżka. Jego niedbale ogolona twarz była zmęczona i pokryta zmarszczkami.

- Bądźże rozsądny, Sam - prosił. - Daj nam jakąś szansę. Jakże możemy wystąpić w sprawie zabójstwa Milesa, jeżeli nie zechcesz nam pomóc?

- Niech was o to głowa nie boli - powiedział Spade. - Sam się tym zajmę.

Porucznik Dundy usiadł i oparł dłonie na kolanach. Oczy jego przypominały zielone rozżarzone koła.

- Tak też myślałem - rzekł. Uśmiechnął się z ponurym zadowoleniem. - Dlatego właśnie przyszliśmy cię odwiedzić. Prawda, Tom?

Tom jęknął, ale nie wyrzekł nic artykułowanego. Spade przyglądał się bacznie Dundy'emu.

- Właśnie tak powiedziałem Tomowi - ciągnął dalej porucznik. - Powiedziałem: „Tom, coś mi się zdaje, że Sam Spade należy do tych, co to lubią załatwiać sprawy rodzinne w rodzinie”. Właśnie tak powiedziałem.

Wyraz uwagi w oczach Spade'a znikł. Przygasty, znużony. Zwrócił twarz do Toma i spytał niedbale:

- Nie wiesz, co twego koleżkę tak podnieca? Dundy podskoczył i zaczął szturchać Spade'a końcami palców.

- To, że... - starał się wymawiać każde słowo jak najwyraźniej, podkreślając je szturchaniem palcami - Thursby został zastrzelony przed swoim hotelem równo trzydzieści pięć minut po twoim odejściu z Burritt Street.

- Łapy przy sobie! - rzekł Spade starając się mówić równie dobitnie.

Dundy cofnął rękę, ale nie zmienił tonu:

- Tom mówi, że tak się śpieszyłeś, żeś nawet nie miał czasu spojrzeć na swego współnika.

- No, boś rzeczywiście prysnął, jakby cię kto gonił, Sam - mruknął Tom na swoje usprawiedliwienie.

- I wcale nie poszedłeś powiadomić żony Archera - rzekł porucznik. - Dzwoniliśmy, była tam twoja sekretarka, mówiła, że ją posłałeś.

Spade skinął głową. Twarz miał tak spokojną, że aż sprawiała wrażenie tępej. Porucznik Dundy podniósł dwa palce do piersi Spade'a, cofnął je szybko i powiedział:

- Przypuśćmy, żeś stracił dziesięć minut, żeby znaleźć telefon i porozmawiać z sekretarką. Dziesięć minut, żeby dojść do hotelu Thursby'ego na Geary przy Leavenworth, zupełnie bez pośpiechu, no, powiedzmy, piętnaście. Zostaje jeszcze dziesięć, piętnaście minut na czekanie przed hotelem.

- A skąd wiedziałem, gdzie on mieszka? - spytał Spade. - Skąd wiedziałem, że poszedł wprost do domu po zabiciu Milesa?

- Skąd wiedziałeś, stąd wiedziałeś - rzekł Dundy obstając przy swoim. - O której wróciłeś do domu?

- Za dwadzieścia czwarta. Spacerowałem po ulicach, bo musiałem coś przemyśleć.

Porucznik pokiwał głową.

- Wiemy, że nie było cię w domu o wpół do czwartej. Dzwoniliśmy do ciebie. Gdzie spacerowałeś?

- Po Bush Street. Tam i z powrotem.

- Widziałeś kogoś, kto mógłby...

- Nie, nie mam świadków - powiedział Spade i roześmiał się. - Usiądź, Dundy. Nie skończyłeś pić. Daj mi swój kieliszek, Tom.

- Nie, dziękuję, Sam - odparł Tom.

Dundy usiadł, ale nie tknął rumu. Spade nalał sobie, wypił, odstawił pusty kieliszek na stolik i wrócił na swoje miejsce na brzegu łóżka.

- Teraz wiem, o co idzie - rzekł popatrując przyjaźnie na gości. - Przepraszam, że stanąłem dęba, ale zdenerwowało mnie, że przychodzicie o tej porze i czepiacie się. Martwi mnie, że stuknęli



Milesa, a jeszcze do tego wy z jakimiś żądaniami. Teraz przynajmniej wiem, o co wam chodzi.

- Nie ma o czym mówić - rzekł Tom. Porucznik nie powiedział nic.

- Czy Thursby zmarł? - spytał Spade. Widząc wahanie porucznika Tom powiedział:

- Tak.

Na co porucznik rzucił z gniewem:

- I dowiedz się, że umarł, zanim zdążył komukolwiek coś powiedzieć.

Spade zwijał sobie papierosa i nie podnosząc oczu spytał:

- Co chcesz przez to powiedzieć? Sądzisz, że wiedziałem o tym?

- Już powiedziałem, co chciałem powiedzieć - odparł Dundy szorstko.

Spade spojrział na niego i uśmiechnął się, trzymając w jednej ręce papierosa, a w drugiej zapalniczkę.

- Chyba jeszcze nie możesz mnie przyskrzynieć, co, Dundy?

Dundy popatrzył na niego surowymi zielonymi oczami i nie odpowiedział.

- Więc nie muszę się bardzo przejmować tym, co mówisz, prawda, Dundy?

- Bądź rozsądny, Sam - rzekł Tom. Spade włożył papierosa w usta, przypalił i wypuścił dym ze śmiechem.

- Będę rozsądny, Tom - obiecał. - Jak ja zabiłem tego Thursby'ego? Bo zapomniałem.

Tom chrząknął z niesmakiem. Porucznik Dundy powiedział:

- Dostał cztery strzały w plecy z czterdziestki czwórki albo piątki. Strzelano z przeciwległej strony ulicy w chwili, gdy wchodził w drzwi hotelu. Nikt tego nie widział, ale to można odtworzyć.

- I miał lugera w kaburze pod pachą - dodał Tom. - Nie wystrzelił z niego ani razu.

- Co o nim wie służba hotelowa? - spytał Spade.

- Tyle, że mieszkał tam przez tydzień.

- Sam?

- Sam.

- Coście przy nim znaleźli? Albo w jego pokoju? Dundy wysunął wargi i zapytał:

- A co mielibyśmy znaleźć?

Spade zrobił niedbały gest papierosem.

- Coś, co by wam powiedziało, kim był, czym się zajmował.

.- Sądziliśmy, że ty nam to powiesz. Spade spojrział na porucznika swoimi żółtoszarymi oczami z przesadną otwartością.

- Nigdy nie widziałem Thursby'ego, ani żywego, ani umarłego.

Porucznik Dundy wstał z wyrazem niezadowolenia. Tom podniósł się ziewając i przeciągając.

.- Zapytaliśmy, o co mieliśmy zapytać - rzekł Dundy marszcząc brwi i spoglądając oczami niby zielone kamienie. Mówił ze ściągniętymi ustami i wysuniętą dolną wargą: - Powiedzieliśmy ci więcej niż ty nam. To wystarczy. Znasz mnie, Spade. Czyś to zrobił, czy nie, postępuję zawsze uczciwie. Nie wiem, czy bardzo bym cię za to potępił, ale nie wahałbym się przymknąć.

- Słusznie - odparł Spade spokojnie. - Ale czułbym się lepiej, gdybyś wypił swój rum.

Porucznik Dundy obrócił się do stołu, wziął kieliszek i wolno wypił. Potem powiedział: - Dobranoc - i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie ceremonialnie. Ceremonialnie uścisnęli sobie ręce z Tomem i Spade odprowadził ich do drzwi. Potem rozebrał się, zgasił światło i położył się do łóżka.

### 3. Trzy kobiety

Kiedy nazajutrz o dziesiątej Spade wszedł do biura, Effie Perine siedziała za biurkiem i przeglądała poranną pocztę. Spod opalenizny na jej chłopięcej twarzy wyzierała bladość. Odłożyła plik kopert i mosiężny nóż do rozcinania kartek i powiedziała:

- Ona tu jest - ściszym i ostrzegawczym tonem.

- Przecież prosiłem, żebyś jej nie wpuszczała - rzekł Spade z wyrzutem. On również mówił cicho.

Effie rozwarła szeroko piwne oczy i odparła równie podrażnionym tonem.

- Ale nie powiedziałaś mi, jak mam to zrobić. - Zmrużyła lekko powieki, ale ramiona jej opadły. - Nie jęcz, Sam - rzekła ze znużeniem. - Miałam ją na karku całą noc.

Spade podszedł do dziewczyny i pogłaskał jej włosy.

- Przepraszam, kochanie, nie... - urwał w połowie zdania, nagle bowiem otworzyły się wewnętrzne drzwi. - Jak się masz, Iva - rzekł do kobiety, która je otworzyła.

- Och, Sam!

Była blondynką lat trzydziestu kilku, o twarzy, której najlepsze chwile minęły jakieś pięć lat temu. Figurę, mimo pewnej tęgości, miała świetną i pięknie ukształtowaną. Ubrana cała w czerni, od kapelusza do pantofli. Było w tej żałobie coś z improwizacji. Odsunęła się od drzwi i stała czekając, aż Spade wejdzie.

Spade przestał gładzić włosy Effie i wszedł do pokoju zamykając drzwi za sobą. Iva szybko podeszła do niego i uniosła twarz do pocałunku. Objęła go ramionami. Gdy ją pocałował i uczynił lekki ruch chcąc się od niej odsunąć, przycisnęła twarz do jego piersi i zaczęła szlochać. Pogłaskał ją po plecach i rzekł czule:

- Moje biedactwo!

Spoglądał z wyrzutem w stronę biurka byłego współnika. Zacisnął usta w grymasie zniecierpliwienia i odwrócił głowę, żeby nie dotykać brodą jej kapelusza.

- Napisałaś do brata Milesa? - spytał.

- Tak, przyjechał dziś rano.

Słowa zostały stłumione przez szloch i marynarkę Spade'a, do której przyciskała twarz. Skrzywił się i schylił głowę, żeby ukradkiem zerknąć na zegarek. Mógł go dostrzec, bo obejmował ją lewym ramieniem i trzymał dłoń na jej barku. Mankiet koszuli odsunięty do tyłu odsłaniał zegarek. Dziesiąta dziesięć. Kobieta poruszyła się w jego ramionach i podniosła twarz. Jej niebieskie oczy były załzawione i szeroko otwarte.

- Och, Sam - jęknęła - czy to ty go zabiłeś?

Spade wytrzeszczył na nią oczy. Jego koścista szczęka opadła. Opuścił ręce i wysunął się z jej objęć. Zrobił kwaśną minę i chrząknął. Trzymała ręce w górze, jakby go wciąż jeszcze obejmowała. Przymknęła zamglone udreką oczy pod uniesionymi brwiami.

Spade zaśmiał się cierpko i podszedł do zasłoniętego firanką okna. Stał tam odwrócony do niej tyłem i patrzył przez firankę na podwórko, póki nie zbliżyła się ku niemu. Wtedy szybko podszedł do swojego biurka. Usiadł, oparł łokcie o blat, brodę wsunął między zaciśnięte pięści i patrzył na nią. Żółtawe oczy połyskiwały spoza zwężonych powiek.

- Skąd - spytał chłodno - przyszła ci do głowy ta genialna myśl?

- Myślałam... - Uniosła dłoń do ust i nowe łzy napłynęły jej do oczu. Podeszła do biurka, stąpając ze swobodnym wdziękiem i pewnie w malutkich pantofelkach na niebywale wysokich obcasach. - Bądź dla mnie dobry, Sam - rzekła pokornie.

Zaśmiał się, lecz jego oczy nie przestawały połyskiwać.

- Zabiłeś mego męża, Sam, bądź dla mnie dobry. Spade klasnął w dłonie.

- Rany boskie! - powiedział.

Zaczęła głośno płakać zakrywając twarz białą chusteczką. Stał za nią i objął ramionami. Pocałował ją w szyję nad kołnierzykiem płaszcza.

- Nie płacz, Iva - rzekł. Twarz jego była bez wyrazu. Gdy przestała płakać, przyłożył wargi do jej ucha i szepnął: - Nie powinnaś była tu dzisiaj przychodzić. To było nieroztropne. Nie możesz tu zostać. Musisz być w domu.

Odwróciła do niego twarz i spytała:

- A przyjdiesz wieczorem? Potrząsnął lekko głową.

- Nie dziś.

- Ale niedługo?

- Tak.

- Kiedy?

- Jak tylko będę mógł.

Pocałował ją w usta, podprowadził do drzwi, otworzył je przed nią, powiedział: - Do widzenia, Ivo - uklonił się, zamknął drzwi i wrócił do swojego biurka.

Wyjął tytoń i bibułkę z kieszeni kamizelki, ale nie skręcił papierosa. Siedział trzymając tytoń w jednym, a bibułkę w drugim ręku i patrzył zamyślonymi oczami na biurko nieżyjącego współnika.

Drzwi się otworzyły i weszła Effie Perine. Piwne oczy zdradzały niepokój. Głos symulował bez troskę.

- No i jak? - spytała.

Spade nic nie odrzekł. Nie odrywał zamyślonego spojrzenia od biurka współnika. Dziewczyna skrzywiła się i podeszła bliżej.

- No i jak ci z nią poszło? - spytała głośniejszym głosem.

- Myśli, że to ja zabiłem Milesa - rzekł. Siedział nieruchomo i tylko usta mu się poruszyły, gdy to wypowiadał.

- Żeby móc się z nią ożenić?

Spade nie odpowiedział na to nic. Dziewczyna zdjęła mu kapelusz i położyła na biurku. Następnie schyliła się i wyjęła z bezwładnych palców tytoń i bibułkę.

- Policja myśli, że zastrzeliłem Thursby'ego - powiedział.

- Kto to taki? - spytała oddzielając jedną bibułkę z książeczki i wsypując na nią tytoń.

- A kogo według ciebie zabiłem? - Kiedy zignorowała to pytanie, wyjaśnił: - Thursby to ten facet, którego Miles miał śledzić dla tej Wonderly.

Szczupłe palce Effie skręciły papierosa. Pośliniła brzeżek bibułki, zakleiła, ścisnęła oba końce skręta i wsunęła go w usta Spade'a. Podziękował, objął jej smukłą kibić ramieniem i przymykając oczy oparł zmęczonym ruchem policzek o jej biodro.

- Ożenisz się z Ivą? - spytała spoglądając w dół na jego brązowe włosy.

- Nie bądź niemądra - mruknął.

Nie zapalony papieros podskakiwał z ruchem warg.

- Ona nie uważa tego za niemądre. I ma rację... sądząc po twoim zachowaniu wobec niej.

Spade westchnął i rzekł:

- Żałuję, że spotkałem ją na swojej drodze.

- Może teraz tak - w głosie dziewczyny zabrzmiała nutka złości - ale był czas, kiedy nie żałowałeś.

- Nic nie poradzę, że nie umiem inaczej postępować z kobietami - rzekł tonem skargi - a poza tym nie lubiłem Milesa.

- Bujda, Sam - rzekła dziewczyna. - Wiesz, że moim zdaniem to wydra, ale sama zgodziłabym się być taka, gdybym mogła mieć za to jej figurę.

Spade potarł ze zniecierpliwieniem policzek o jej biodro, ale nie powiedział nic. Effie Perine zagryzła usta, zmarszczyła czoło i pochylając się, aby móc lepiej widzieć jego twarz, spytała:

- Sądzisz, że ona mogła go zabić?

Spade usiadł prosto. Uśmiechnął się do niej. Uśmiech ten wyrażał tylko rozbawienie. Wyjął zapalniczkę, skrzesał ogień i przyłożył płomień do papierosa.

- Jesteś aniołem - rzekł z czułością poprzez dym - moim aniołkiem z pustą głową.

Uśmiechnęła się trochę kwaśno.

- Ach, tak? A co by było, gdybym ci powiedziała, że kiedy o trzeciej rano przyszedłam zawiadomić ją o zabójstwie, Iva wróciła zaledwie parę minut przede mną?

- Naprawdę? - spytał.

Oczy jego ożywiły się, lecz usta nie przestawały się uśmiechać.

- Kazała mi czekać pod drzwiami, póki się nie rozebrała. Widziałam jej ubranie ciśnięte na krzesło. Pod spodem leżał kapelusz i płaszcz. Koszula, rzucona na wierzch, była jeszcze ciepła. Powiedziała, że spała, ale to nieprawda. Rozrzuciła pościel, ale pościel nie była wygnieciona.

Spade poklepał jej rękę.

- Jesteś nie byle detektywem, kochanie, ale - potrząsnął głową - ona go nie zabiła.

Wyrwała rękę z jego dłoni.

- Ta wydra chce wyjść za ciebie za męża, Sam - powiedziała cierpko.

Spade zrobił głową gest zniecierpliwienia. Zmarszczyła brwi i spytała:

- Widziałeś ją wczoraj wieczorem?

- Nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przestań zachowywać się jak Dundy, kochanie. Z tym ci nie do twarzy.

- Co, Dundy cię już nachodził?

- Aha. Wpadli z Tomem Polhausem o czwartej na kieliszek.

- I naprawdę myślą, żeś ty zabił tego jak mu tam?

- Thursby'ego.

Wyrzucił dopalającego się papierosa do mosiężnej popielniczki i zaczął skręcać nowego.

- Naprawdę? - nastawała.

- Bo ja wiem? - Patrzył na zwijanego papierosa. - Mieli takie podejrzenia. Nie wiem tylko, w jakim stopniu zdołałem im wybić je z głowy.

- Spójrz na mnie, Sam.

Popatrzył na nią i roześmiał się tak, że przez chwilę i w jej twarzy niepokój zaczął się mieszać z rozbawieniem.

- Martwisz mnie - powiedziała i w miarę jak mówiła, powaga powracała na jej twarz. - Zawsze uważasz, że wiesz, co robisz, ale jesteś za sprytny, by ci to mogło wyjść na dobre, i jeszcze kiedyś się o tym przekonasz.

Westchnął kpiarsko i otarł się policzkiem o jej ramię.

- To właśnie mówi Dundy, ale ty, kochanie, trzymaj tylko Ivę z dala ode mnie, a już ja sam sobie dam radę z resztą kłopotów. - Wstał i nałożył kapelusz. - Każ zdjąć z drzwi tabliczkę „Spade & Archer” i przybić „Samuel Spade”. Wróć za godzinę albo zatelefonuj.

Spade przeszedł długi purpurowy hall hotelu „St. Mark” i spytał rudego fircyka w recepcji, czy jest panna Wonderly. Rudy fircyk odwrócił się, sprawdził i odparł potrząsając głową:

- Wyprowadziła się dziś rano.

- Dziękuję.

Spade przeszedł obok recepcji w stronę niszy w hallu, gdzie za mahoniowym biurkiem siedział pulchny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny garnitur. Na brzeżku biurka stał trójkątny przyrządek z mosiądzu i mahoniu, z napisem „Mr. Freed”. Tłuszcioch wstał i wyszedł z wyciągniętą dłonią zza biurka.

- Strasznie mi było przykro, gdy dowiedziałem się o Archerze - rzekł tonem nawykłym do wyrażania nienatrętnego współczucia. - Przed chwilą przeczytałem o tym w „Cali”. Jak wiesz, był tutaj wczoraj wieczorem.

,- Dziękuję, Freed. Rozmawiałeś z nim?

- Nie.’ Siedział w hallu, kiedy wszedłem. Minałem go nie zatrzymując się. Pomyślałem, że pewnie pracuje, a wiem, jak nie lubicie, żeby wam przeszkadzać, kiedy jesteście zajęci. Czy’to miało coś wspólnego z jego...

- Nie sądzę, ale jeszcze nie wiemy. W każdym razie, o ile się da, hotel nie będzie w to wmieszany.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Czy możesz mi udzielić informacji o pewnym niedawnym gościu, a potem zapomnieć, że o to prosiłem?

- Oczywiście.

- Chodzi o niejaką pannę Wonderly, która wyprowadziła się dziś rano. Chciałbym znać wszystkie szczegóły.

- Chodź ze mną - rzekł Freed - zobaczymy, czego się można o niej dowiedzieć.



Spade nie ruszył się z miejsca i potrząsnął głową.

- Nie chcę się pokazywać w związku z tą sprawą. Freed skinął głową i wyszedł z niszy. W hallu zatrzymał się nagle i wrócił do Spade'a.

- Harriman był w nocy na służbie - rzekł. - Na pewno widział Archera. Czy mam go ostrzec, żeby nie wspominał o tym?

Spade spojrział na Freeda kątem oka.

- Lepiej nie. To nie zrobi różnicy, jeśli nie wyjdzie na jaw związek z tą Wonderly. Nie mam nic przeciw Harrimanowi, ale on lubi gadać, niech więc lepiej sobie myśli, że tu nie ma nic do ukrywania.

Freed skinął ponownie i odszedł. Wrócił za piętnaście minut.

- Przyjechała w ubiegły wtorek. Podała, że z Nowego Jorku. Bez walizek, tylko z lekkim bagażem. Nie obciążono jej rachunku żadnymi rozmowami telefonicznymi z pokoju, a jeśli w ogóle otrzymywała jakąś pocztę, to niewielką. Jedynym człowiekiem, z którym ją widziano, był wysoki, ciemny mężczyzna, mniej więcej trzydziestoletni. Wyszła dziś rano o wpół do dziesiątej, wróciła po godzinie, zapłaciła rachunek i kazała wynieść swój bagaż do samochodu. Chłopiec, który go wynosił, mówi, że to był samochód turystyczny, zapewne wynajęty. Zostawiła swój następny adres: hotel „Ambassador”, Los Angeles.

- Dziękuję ci bardzo, Freed - powiedział Spade i wyszedł z hotelu.

Kiedy wrócił do biura, Effie Perine przerwała pisanie listu, żeby mu powiedzieć:

- Był twój przyjaciel Dundy. Chciał obejrzeć twoją broń.

- No i?

- Kazałam mu przyjść, jak ty będziesz.

- Doskonale. Jeżeli przyjdzie jeszcze raz, pozwól mu ją obejrzeć.

- I panna Wonderly dzwoniła.

- Najwyższy czas. Co powiedziała?

- Chce się z tobą zobaczyć. - Podniosła kartkę leżącą na biurku i przeczytała zapisaną ołówkiem notatkę: - Jest w „Coronet” na California Street, mieszkanie tysiąc jeden. Masz pytać o pannę Leblanc.

- Daj mi to - rzekł Spade i wyciągnął rękę. Kiedy podała mu kartkę, wyjął zapalniczkę, skrzesał ogień, przyłożył do kartki i trzymał ją w ręku, póki cała, z wyjątkiem jednego rożka, nie zamieniła się w czarną, popałdowaną warstewkę popiołu, po czym rzucił ją na linoleum podłogi i

zadeptał.

Dziewczyna obserwowała go z dezaprobatą. Uśmiechnął się do niej.

- Czasami trzeba i tak - rzekł i wyszedł z biura.

#### 4. Czarny ptak

Panna Wonderly otworzyła drzwi mieszkania tysiąc jeden w „Coronet”. Ubrana była w zieloną, spiętą paskiem suknię z jedwabnej krepy. Twarz miała zaczerwienioną. Jej ciemnorude włosy, przedzielone z lewej strony i opadające miękkimi falami na prawo, były lekko rozburzone. Spade zdjął kapelusz i powiedział:

- Dzień dobry.

Odpowiedziała słabiutkim uśmiechem na jego uśmiech. Jej niebieskie, nieomal fiołkowe oczy nie straciły wyrazu zatroskania. Spuściła głowę i powiedziała ściszym, wystraszonym głosem:

- Proszę, niech pan wejdzie.

Poprowadziła go obok otwartych drzwi kuchni, łazienki i sypialni do saloniku o kremowych i czerwonych barwach, przepraszając za panujący tam nieład:

- Wszystko jest wywrócone do góry nogami. Jeszcze nawet nie zdążyłam się rozpakować.

Położyła jego kapelusz na stoliku i usiadła na orzechowej kozetce. Spade usadowił się naprzeciwko niej na bujaku z owalnym oparciem. Spuściła wzrok i zaplatając palce powiedziała:

- Muszę panu wyznać straszną, bardzo straszną rzecz.

Spade nie powiedział nic, tylko uśmiechnął się grzecznie, ona jednak nie podniosła oczu i nie mogła tego zauważyć.

- Że... że to, co panu wczoraj powiedziałam, było... wysrane z palca - wyjąkała i spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

- Ach, o to chodzi - rzekł Spade niefrasobliwie. - Nie tak bardzo wierzyliśmy w pani opowieść.

- Więc...

Do zatroskania i strachu w jej oczach dołączyło się jeszcze zmieszanie.

- Wierzyliśmy w dwieście dolarów.

- Chodzi panu... - wydawało się, że nie rozumie.

- Chodzi mi o to, że zapłaciła nam pani więcej, niż byłaby pani skłonna zapłacić mówiąc prawdę.

Jej oczy nagle rozjaśniły się. Uniosła się trochę na kozetce i usadowiła ponownie, wygładziła spódnice na kolanach, pochyliła się i powiedziała z zapalem w głosie:

- I mimo to podjąłby się pan...

Spade przerwał jej obronnym gestem dłoni.

- To zależy - rzekł. - Sęk w tym, proszę pani... Jak się właściwie pani nazywa, Leblanc czy Wonderly?

Zaczerwieniła się i wyjąkała: -

- Tak naprawdę to O'Shaughnessy, Brigid O'Shaughnessy.

- Sęk w tym, proszę pani, że dwa morderstwa, które się ze sobą łączą, wprawiają wszystkich w podniecenie: policja sądzi, że może sobie na wszystko pozwalać, z nikim nie można się dogadać i cała sprawa robi się bardzo kosztowna. To nie jest...

Urwał w pół zdania, bo zauważył, że przestała słuchać i czeka tylko, kiedy skończy.

- Proszę mi powiedzieć prawdę. - Jej głos był bliski hysterii. W oczach widać było rozpacz. - Czy to ja ponoszę winę za... za ubiegłą noc?

Spade potrząsnął głową.

- W świetle faktów, które są mi znane, nie - powiedział. - Ostrzegła nas pani, że Thursby jest niebezpieczny. Oczywiście, nakłamała pani o swojej siostrze i tak dalej, ale to nie wchodzi w rachubę: nie wierzyliśmy w pani opowieść. - Wzruszył ramionami. - Nie powiedziałbym, że pani ponosi za to winę.

- Dziękuję panu - powiedziała bardzo cicho i pokręciła głową. - Ale zawsze będę czuła się winna. - Przyłożyła rękę do gardła. - Pan Archer był jeszcze wczoraj po południu taki... taki pełen życia, taki pewny siebie i serdeczny, taki...

- Niech pani przestanie - rozkazał Spade. - Wiedział, co robi. To jest ryzyko, które świadomie podejmujemy.

- Czy... czy on był żonaty?

- Tak. Ubezpieczony na dziesięć tysięcy, bezdzietny i miał żonę, która nie żywiła do niego

sympatii.

- Och, niech pan tak nie mówi! - wyszeptała. Spade znów wzruszył ramionami.

- Tak, niestety, było. - Spojrzał na zegarek i usiadł obok niej na kozetce. - Teraz nie czas się o to martwić. - Mówił uprzejmie, ale stanowczo, - Teraz całe stado policjantów, okręgowych sędziów śledczych i reporterów lata wężąc dokoła. Co pani chce robić?

- Chcę, żeby pan mnie ocalił przed... przed tym wszystkim - odparła słabiutkim, drżącym głosem. Położyła bojaźliwie rękę na jego rękawie. - Proszę pana, czy oni wiedzą o mnie?

- Jeszcze nie. Chciałem się najpierw z panią zobaczyć, zanim im o pani powiem.

- Co... co pomyśleliby, gdyby wiedzieli, że przyszedłam do panów... o tych kłamstwach?

- Zrobiliby się podejrzliwi. Dlatego właśnie zbywałem ich przed rozmową z panią. Sądziłem, że może uda nam się powiedzieć im tylko część prawdy. Powinniśmy sklecić jakąś bajeczkę, która mogłaby w razie potrzeby uspić ich czujność.

- Ale pan nie myśli, że ja miałam coś wspólnego z tymi... z tymi morderstwami... prawda?

Spade uśmiechnął się i rzekł:

- Właśnie zapomniałem panią o to spytać. Miała pani coś wspólnego?

- Nie.

- To dobrze. No, więc co powiemy policji?

Poruszyła się niespokojnie na kozetce, a jej oczy wykonały ruch, jakby chciały bezskutecznie uwolnić się od jego wzroku. Wydawała się jakaś mniejsza, bardzo młoda i przygnębiona.

- Czy policja musi w ogóle o mnie wiedzieć? - spytała. - Wolałabym raczej umrzeć, proszę pana. Nie mogę teraz tego wytłumaczyć, ale czy mógłby pan jakoś tak zrobić, żeby mnie przed nią ochronić, żebym nie musiała odpowiadać na pytania? Nie mogłabym teraz znieść przesłuchania. Wolałabym umrzeć. Potrafi pan?

- Może - powiedział Spade - ale muszę w takim razie wiedzieć, o co chodzi.

Uklękła u jego stóp i uniosła ku niemu twarz nad mocno splecionymi dłońmi, twarz bladą, pełną napięcia i wystraszoną.

- Nie jestem dobrym człowiekiem - wykrzyknęła. - Jestem zła... gorsza, niż mógłby pan sądzić... ale nie jestem zupełnie zła. Proszę na mnie spojrzeć. Pan wie, że nie jestem taka zupełnie zła, prawda? Pan o tym wie. Och, jestem taka samotna i tak się boję, i jeżeli pan mi nie pomoże, to nie pomoże mi nikt. Wiem, że nie mam prawa prosić pana o zaufanie, skoro sama” panu nie ufam. Chociaż ja panu ufam, tylko nie mogę panu nic powiedzieć. Nie mogę powiedzieć teraz. Potem, jak

już będę mogła, powiem. Boję się, proszę pana. Boję się panu zaufać. Zresztą źle się wyraziłam. Ufam panu, ale... zaufałam już Floydowi i... nie mam nikogo, nikogo prócz pana. Tylko pan może mi pomóc. Pan powiedział, że może mi pomóc. Gdybym panu nie uwierzyła, uciekłabym dzisiaj zamiast do pana dzwonić. Czyż klęczałabym tak przed panem, gdyby kto inny mógł mi pomóc? Wiem, że to nieuczciwe z mojej strony. Ale niech pan będzie wielkoduszny, niech pan nie wymaga ode mnie, żebym stawiała sprawę uczciwie. Jest pan silny, zaradny, dzielny. Z pewnością może pan poświęcić dla mnie trochę tej siły, zaradności i męstwa. Niech mi pan pomoże. Niech mi pan pomoże, bo tak bardzo potrzebna mi pomoc i jeśli pan tego nie uczyni, to nie znajdę nikogo, kto to potrafi zrobić, choćbym nie wiem jak szukała. Niech mi pan pomoże. Nie mam prawa prosić pana o pomoc na ślepo, lecz mimo to proszę. Niechaj pan będzie wielkoduszny. Pan może mi pomóc. Niech mi pan pomoże!

Spade, który wstrzymywał oddech przez większą część tej przemowy, odetchnął teraz głęboko i rzekł:

- Niewiele trzeba będzie pani pomocy. Dobra z pani aktorka. Doskonała. Najwięcej podoba mi się wyraz oczu i drzenie głosu, gdy wypowiada pani takie rzeczy, jak: „Niech mi pan pomoże...”

Zerwała się na nogi. Twarz jej zrobiła się szkarłatna, ale trzymała głowę prosto i patrzyła Spade'owi w oczy.

- Zasłużyłam na to - powiedziała. - Zasłużyłam na to, ale... och... tak potrzebuję pana pomocy. Tak bardzo jej chcę i potrzebuję... A kłamstwo było tylko w sposobie wypowiedzenia tych słów, nie w samych słowach. - Odwróciła się i stała teraz złamana, przygnębiona. - To moja wina, że pan mi nie wierzy.

Spade poczerwieniał i opuścił wzrok mruczając:

- Teraz jest pani niebezpieczna.

Brigid O'Shaughnessy podeszła do stolika i wzięła kapelusz Spade'a. Wróciła i stanęła przed nim z kapeluszem w dłoniach, lecz nie podała go Spade'owi, tylko trzymała, żeby mógł wziąć, jeżeli zechce. Twarz miała bladą i wymizerowaną. Spade spojrzał na kapelusz i spytał:

- Co zaszło ubiegłej nocy?

- O dziewiątej Floyd przyszedł do hotelu i wyszliśmy na spacer. Sama to zaproponowałam, żeby pan Archer mógł go zobaczyć. Poszliśmy do restauracji na Geary Street zjeść kolację i potańczyć i wróciliśmy koło wpół do pierwszej. Rozstałam się z Floydem przy drzwiach i zobaczyłam z hotelu, jak pan Archer szedł za nim w dół drugą stroną ulicy.

- W dół? To znaczy do, Market Street?

- Tak.

- Jak pani sądzi, co oni mogli robić w okolicach Bush i Stockton, gdzie Archer został zabity?

- Koło mieszkania Flóyda?

- Nie. Musiałby nałożyć z dziesięć przecznic drogi z pani hotelu. No nic. Co pani robiła, kiedy poszli?

- Położyłam się do łóżka. A dziś rano, gdy wyszłam na śniadanie, zobaczyłam nagłówek w gazecie i przeczytałam, już wie pan co. Później poszłam na Union Street, bo widziałam tam samochody do wynajęcia, wsiadłam i pojechałam do hotelu po bagaż. Kiedy stwierdziłam wczoraj, że przeszukiwano mój pokój, pomyślałam, że będę musiała się przenieść, i jeszcze tego samego dnia po południu znalazłam to mieszkanie. Przeprowadziłam się więc i zadzwoniłam zaraz do pana.

- Przeszukiwano pani pokój w „St. Mark”? - spytał.

- Tak, kiedy byłam u pana. - Zagryzła wargę. - Nie chciałam panu o tym mówić.

- Czyli nie powinienem o to pytać?

Skinęła głową nieśmiało. Spade skrzywił się. Poruszyła lekko kapeluszem, który trzymała w rękach. Zaśmiał się zniecierpliwiony i rzekł:

- Proszę przestać machać mi przed nosem kapeluszem. Przecież powiedziałem, że zrobię, co będę mógł.

Uśmiechnęła się skruszona, położyła kapelusz na stole i usiadła obok Spade'a na kozetce.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby pani ślepo wierzyć, tylko że nie na wiele się przydam, jeśli nie będę wiedział, o co chodzi. Na przykład muszę coś wiedzieć o tym całym Floydzie Thursby.

- Spotkałam go na Wschodzie. - Mówiła wolno, patrząc na koniuszek palca, którym kreśliła wzorki na obiciu kozetki. - Przyjechaliśmy tutaj w zeszłym tygodniu z Hongkongu. On by... on mi obiecał pomóc.

Później zaś wykorzystał moją bezradność i zależność od niego, żeby mnie zdradzić. - W jaki sposób?

Potrząsnęła głową i nie powiedziała nic. Spade, krzywiąc się ze zniecierpliwienia, spytał:

- Czemu pani chciała, żebyśmy go śledzili?

- Chciałam dowiedzieć się, jak daleko się posunął. Nie powiedział mi nawet, gdzie mieszka. Chciałam dowiedzieć się, co robi, z kim się spotyka, i tak dalej.

- Czy to on zabił Archera? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak, na pewno - powiedziała.

- Miał lugera w kaburze pod pachą. Archera nie zastrzelono z lugera.

- Nosił jeszcze rewolwer w kieszeni płaszcza.

- Widziała pani?

- Och, bardzo często. Wiem, że zawsze go tam nosił. Nie widziałam go wczoraj wieczór, ale wiem, że zawsze go brał, gdy wkładał płaszcz.

- Po co mu było tyle broni?

- Żył z niej. Mówiono w Hongkongu, że przyjechał na Wschód jako obstawa pewnego szulera, który musiał opuścić Stany i od tego czasu słuch o nim zaginął. Mówiono, że Floyd wie coś o tym. Ale ja nie wiem nic. Wiem tylko, że zawsze chodził uzbrojony i nigdy nie położył się spać, póki nie wyścielił podłogi wokół łóżka zgniecionymi gazetami, aby nikt nie mógł zaskoczyć go we śnie.

- Ładnego obrała sobie pani towarzysza.

- Tylko taki mógł mi pomóc - rzekła po prostu - gdyby okazał się lojalny.

- Tak, gdyby. - Spade ścisnął palcami dolną wargę i popatrywał ponuro na pannę O'Shaughnessy. Pionowe zmarszczki nad jego nosem pogłębiały się ściągając brwi. - Jak bardzo zła jest pani sytuacja?

- Najgorsza, jaka tylko może być.

- Fizyczne niebezpieczeństwo?

- Nie jestem bohaterką. Nie sądzę, żeby mogło istnieć coś gorszego od śmierci.

- A więc zagraża pani właśnie to?

- Tak, to - zadrżała - jeżeli pan mi nie pomoże. Odjął palce od ust i przeczesał nimi włosy.

- Nie jestem Panem Bogiem - rzekł z poirytowaniem. - Nie umiem działać cudów. - Spojrzał na zegarek. - Czas upływa, a pani nie mówi nic, co umożliwiłoby mi działanie. Kto zabił Thursby'ego?

Przyłożyła zgniecioną chusteczkę do ust i powiedziała:

- Nie wiem.

- Pani wrogowie czy jego?

Nie wiem. Chyba jego, ale obawiam się... nie wiem.

- W czym miał pani dopomóc? Czemu sprowadziła go pani tutaj z Hongkongu?

Spojrzała na niego wystraszonymi oczyma i potrząsnęła głową w milczeniu; Twarz miała strapioną i pełną żalosego uporu. Spade wstał, wetknął ręce do kieszeni marynarki i patrzył na dziewczynę gniewnie.



- Beznadziejna sprawa - powiedział gwałtownie. - Nie mogę pani pomóc! Ba, nie wiem, czy pani sama wie, czego chce.

Zwiesiła głowę i rozplakała się. Spade wydał gardłowy, zwierzęcy pomruk i podszedł do stolika po swój kapelusz.

- Nie pójdzie pan na policję? - rzekła prosząco, cichym, zdławionym głosem, nie unosząc głowy.

- Ja miałbym iść na policję! - wykrzyknął z wściekłością. - Od czwartej rano uganiają się za mną, a ja stoję na głowie, żeby im się wymknąć. I dlaczego? Bo ubzdurałem sobie, że mogę pani pomóc. Ale nie mogę. Nie chcę nawet próbować. - Wcisnął kapelusz na głowę. - Miałbym iść do nich? Wystarczy, że przysiędę gdziekolwiek, a za chwilę zaroi się od nich wokół mnie. Powiem im, co mi wiadomo, i niech sobie pani radzi sama.

Podniosła się z kozetki i stanęła przed nim wyprostowana, mimo że jej kolana dygotały. Uniosła bladą, przerażoną twarz, choć wciąż jeszcze nie mogła opanować drżenia ust.

- Był pan bardzo cierpliwy. Starał się mi pomóc. Ale to beznadziejne i bezużyteczne. - Wyciągnęła prawą dłoń. - Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Będę... będę musiała sama sobie radzić.

Spade znów wydał zwierzęcy, gardłowy pomruk i usiadł na kozetce.

- Ile ma pani pieniędzy? - spytał.

Pytanie zaskoczyło ją. Zagryzła dolną wargę i odrzekła niechętnie:

- Zostało mi jeszcze około pięciuset dolarów.

- Proszę mi je dać.

Zawahała się spoglądając na niego spłoszona. Uczynił parę gniewnych gestów: ustami, brwiami, dłońmi i ramionami. Weszła do sypialnego, niemal natychmiast powracając z plikiem banknotów w dłoni. Wziął od niej pieniądze, przeliczył i powiedział:

- Tu jest tylko czterysta.

- Musiałam trochę zostawić sobie na życie - wyjaśniła potulnie, przykładając dłoń do piersi.

- Nie może pani wytrząsnąć więcej?

- Nie mogę.

- Musi pani mieć coś, co można zastawić - nalegał.

- Mam parę pierścionków, trochę biżuterii.

- Będzie musiała pani to zastawić - rzekł wyciągając rękę, - Najlepiej w „Remedial”, na rogu Mission i Piątej.

Spojrzała na niego błagalnie. Jego żółtoszare oczy patrzyły twardo i nieustępliwie. Wolno włożyła rękę w wycięcie sukni, wyjęła szczupły zwitek banknotów i położyła na oczekującej dłoni.

Wygladził banknoty i przeliczył: cztery dwudziestki, cztery dziesiątki i jedna piątka. Oddał jej dwie dziesiątki i piątkę. Resztę schował do kieszeni. Potem wstał i powiedział:

- Idę zobaczyć, co będę mógł dla pani zrobić. Postaram się wrócić jak najszybciej i z jak najlepszymi wiadomościami. Zadzwoń cztery razy - długi, krótki, długi, krótki - żeby pani wiedziała kto. Nie musi mnie pani odprowadzać. Sam wyjdę.

Zostawił ją na środku pokoju, spoglądając za nim oszołomionymi niebieskimi oczyma.

Spade wszedł do pokoju, na którego drzwiach wisiała tabliczka: „Wise, Merican & Wise”. Rudowłosa panienka siedząca przy centralce telefonicznej rzekła na jego widok:

- Och, pan Spade, dzień dobry.

- Jak się masz, kochanie - odparł. - Jest Sid?

Stanął obok niej i oparł dłoń na jej pulchnym ramieniu, podczas gdy manipulowała wtyczkami w centralce i mówiła do mikrofonu: „Pan Spade do pana”.

- Proszę wejść - powiedziała do Spade’a. Ścisnął jej ramię zamiast odpowiedzi i skierował się przez sekretariat do słabo oświetlonego korytarza, gdzie znajdowały się drzwi z mleczną szybą. Otworzył je i wszedł do gabinetu, w którym za ogromnym biurkiem ze stosami akt siedział niski mężczyzna o oliwkowej cerze, zmęczonej owalnej twarzy i rzadkich czarnych włosach przyprószonych łupieżem. Człowiek ten wycelował w Spade’a wygasły niedopałek cygara i rzekł:

- Przysuń sobie krzesło, Sam. No co, dostało się Milesowi?

Ani zmęczona twarz, ani szorstki głos nie przejawiały żadnego uczucia.

- Aha, właśnie w związku z tym przychodzę. - Spade skrzywił się i odchrząknął. - Zdaje mi się, Sid, że będę musiał wysłać śledczego do wszystkich diabłów. Wolno mi się chyba zasłaniać świętością tajemnicy moich klientów, jak księdzu albo adwokatowi? No nie?

Sid Wise podciągnął ramiona w górę i opuścił kąciki ust.

- Dlaczego nie? Śledztwo to nie rozprawa sądowa.

Co ci szkodzi spróbować. Gorsze rzeczy uchodziły ci na sucho.

- Wiem, ale Dundy zaczyna się wściekać i zdaje się, że tym razem trochę przegiąłem pałę. Weź kapelusze, Sid, pójdziemy pogadać, z kim należy. Nie chcę ryzykować.

Sid Wise spojrział na stosy papierów na biurku i jęknął, lecz wstał i podszedł do szafy przy oknie.

- Ale z ciebie piła, Sammy - rzekł zdejmując kapelusz z wieszaka.

Spade wrócił do swego biura dziesięć po piątej. Przy jego biurku siedziała Effie Perine czytając „Time”. Spade usiadł na blacie biurka i spytał:

- Co nowego?

- Nic. Wyglądasz, jakbyś wygrał na loterii. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czeką nas wielka przyszłość. Zawsze miałem niejasne przeczucie, że jak Miles wyciągnie kopyta, zaczniemy wreszcie prosperować. Czy możesz wysłać ode mnie kwiaty?

- Już wysłałam.

- Jesteś nieoceniona. Co mówi ci dzisiaj twoja intuicja kobieca?

- W związku z czym?

- Co sądzisz o panie Wonderly?

- Jestem za nią - odparła bez wahania.

- Za wiele ma nazwisk - rzekł Spade z zastanowieniem - Wonderly, Leblanc, a teraz mówi, że jej prawdziwe nazwisko brzmi O'Shaughnessy.

- A niech ma nawet całą książkę telefoniczną nazwisk. Dziewczyna jest w porządku i ty o tym wiesz.

- Właśnie to mnie ciekawi - Spade mrugnął sennie na Effie. Zachichotał. - W każdym razie odpaliła siedemset papierków w ciągu dwóch dni i to jest w porządku.

Effie Perine uniosła się w krześle i powiedziała:

- Sam, jeżeli opuścisz tę dziewczynę w nieszczęściu albo wykorzystasz sytuację, żeby wyciągnąć od niej pieniądze, to nigdy ci nie wybaczę i na całe życie stracę do ciebie szacunek.

Spade uśmiechnął się sztucznie, a potem zmarszczył brwi. Ta mina też była sztuczna. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przeszkodził mu odgłos otwieranych drzwi korytarza.

Effie Perine wstała i wyszła do pierwszego pokoju. Spade zdjął kapelusz i usiadł na fotelu. Dziewczyna wróciła z grawerowaną wizytówką: „Joel Cairo”.

- Facet jest pedał - powiedziała.

- No to dawaj go tu, kochanie - rzekł Spade.

Pan Joel Cairo był ciemnym, średniego wzrostu mężczyzną drobnej budowy. Włosy miał czarne, gładkie i bardzo lśniące. Rysy lewentyńskie. Kwadratowy rubin, osadzony pośrodku czterech podłużnych, równoległych do boków kwadratu diamentów, połyskiwał na tle głębokiej zieleni krawata. Czarna marynarka, dopasowana do wąskich ramion, rozszerzała się lekko na pulchnych pośladkach. Spodnie przylegały do krągłych ud ściślej, niż to było w modzie. Wierzchy skórzanych pantofli zakrywały brunatne getry. Trzymał czarny melonik w ręce ubranej w zamszową rękawiczkę i zbliżał się ku Spade'owi drobnym, trzęsącym się kroczkiem. Wraz z nim szedł zapach chypre'u. Spade skinął gościowi głową, a potem kiwnął w stronę krzesła i powiedział:

- Proszę, niech pan siada.

Cairo skłonił się w wystudiowany sposób, powiedział cienkim, wysokim głosem: - Dziękuję bardzo - i usiadł. Skrzyżował nogi, położył kapelusz na kolanach i zaczął ściągać żółte rękawiczki. Spade, kołysząc się w swoim fotelu, spytał:

- Czym mogę panu służyć?

Uprzejmy, beznamiętny ton głosu Spade'a i jego ruchy na fotelu były dokładnie takie same jak poprzedniego dnia, gdy zadawał to pytanie Brigid O'Shaughnessy.

Cairo odwrócił kapelusz rondem do góry, wrzucił do środka rękawiczki i położył go na najbliższym rogu biurka. Na czwartym i piątym palcu lewej ręki błysnęły diamenty, a na trzecim palcu prawej rubin, dobrany do rubina, a nawet diamentów w krawacie. Dłonie miał miękkie, wypielęgnowane, a choć nie były duże, ich zwiotczałość sprawiała, że wydawały się niezdarne. Zatarł je z szelestem i rzekł:

- Mimo że jestem całkowicie panu obcy, pozwoli pan, że złożę kondolencje z powodu nieszczęśliwej śmierci pańskiego współnika.

- Dziękuję.

- Proszę darować mi to pytanie, ale czy istnieje, jak wnoszą gazety, pewien... hm... związek pomiędzy tym nieszczęśliwym wypadkiem a chwilę późniejszą śmiercią niejakiego Thursby'ego?

Spade przemilczał to pytanie W niedwuznacznym sposób. Cairo podniósł się i skłonił.

- Przepraszam bardzo. - Usiadł i położył obie dłonie na skraju biurka. - Nie czcza ciekawość kazała mi zadać to pytanie. Staram się odzyskać pewien... eh... przedmiot zdobniczy, który... jak by to powiedzieć... zaginął. Sądziłem, że pan mógłby mi pomóc.

Spade skinął głową, unosząc brwi dla okazania skupienia.

- Ów przedmiot zdobniczy to statuetka - mówił dalej Cairo dobierając i starannie wypowiadając słowa - czarny posążek ptaka.

Spade skinął ponownie, z grzecznym zainteresowaniem.

- Jestem gotów zapłacić, z upoważnienia prawego właściciela, sumę pięciu tysięcy dolarów za odnalezienie posążka - w tym miejscu Cairo uniósł dłoń i wymierzył brzydki paluch z szerokim paznokciem w sufit. - Jestem gotów przyrzec, że... jak to się mówi... nie będzie żadnych pytań.

Położył dłoń z powrotem na skraju biurka, obok drugiej, i sponad nich uśmiechnął się łagodnie do prywatnego detektywa.

- Pięć tysięcy to ładna sumka - zauważył Spade patrząc w zamyśleniu na pana Cairo. - To...

Ktoś lekko zastukał do drzwi. Gdy Spade zawołał: - Proszę! - drzwi się uchyliły ukazując głowę i ramiona Effie ubranej w ciemny filcowy kapelusik i ciemne palto z szarym futrzanym kołnierzem.

- Czy będę jeszcze potrzebna?

- Nie. Dobranoc. Zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodziła, dobrze?

- Dobranoc - powiedziała i znikła za zamykającymi się drzwiami.

Spade obrócił się w fotelu w stronę pana Cairo.

- To jakiś ciekawy posążek.

Dobiegł ich uszu odgłos zatrzasnkujących się za Effie drzwi od korytarza. Cairo uśmiechnął się i wyjął z wewnętrznej kieszeni mały płaski rewolwer.

- Zechce pan łaskawie - wyrzekł - podnieść ręce i założyć na tył głowy.

## 5. Lewantyńczyk

- Spade nie patrzył na rewolwer. Podniósł ręce do góry i odchylając się w tył na fotelu, splótł palce obu dłoni i założył na tył głowy. Wzrok, który nie zdradzał żadnego specjalnego uczucia, miał wciąż utkwiony w ciemnej twarzy pana Cairo.

Cairo kaszlnął lekko w zakłopotaniu i uśmiechnął się nerwowo nieco pobladłymi ustami. Jego ciemne oczy były wilgotne, nieśmiałe i bardzo poważne.

- Zamierzam przeszukać pańskie biuro. Ostrzegam pana, że jeśli uczyni pan jakąkolwiek próbę, by mi w tym przeszkodzić, nie zawaham się pana zastrzelić.

- Proszę bardzo - głos Spade'a był równie wyprany z wszelkiego wyrazu jak jego twarz.

- Niech pan łaskawie wstanie - rozkazał człowiek z rewolwerem. - Upewnię się, czy nie jest pan uzbrojony.

Spade wstał, odpychając fotel nogami. Cairo podszedł do niego od tyłu. Przełożył rewolwer z prawej ręki do lewej. Zajrzał pod połę marynarki. Dotykając rewolwerem pleców Spade'a wyciągnął prawą rękę i obmacał jego kieszenie na piersi. Twarz Lewantyńczyka znajdowała się wówczas nie więcej niż kilka cali od prawego łokcia Spade'a.

Okręcając się w prawo Spade wyrzucił Lewantyńczyka łokciem w twarz, której Cairo nie mógł cofnąć, gdyż Spade przygwoździł mu piętą palce nóg do podłogi. Łokieć zadał cios pod szczękę, minął zdumioną twarz i rozprostował się w momencie, kiedy dłoń spadła na rewolwer, który Cairo wypuścił, gdy tylko dotknęły go palce Spade'a. Na dłoni Spade'a rewolwer wyglądał jak zabawka.

Spade zdjął nogę z butów Caira i dopełnił zwrotu. Lewą ręką chwycił przeciwnika za klapy marynarki - zielony krawat z rubinem wysunął się nad knykcie - a prawa tymczasem schowała zdobytą broń do kieszeni. Żółtoszare oczy Spade'a były ponure. Twarz miał nieruchomą, usta zacięte.

Twarz Caira wykrzywił ból i upokorzenie. Łzy ukazały się w ciemnych oczach. Cera barwy wypolerowanego ołowiu czerwieniała w miejscu, gdzie dostał uderzenie łokciem.

Spade wolno obrócił Lewantyńczyka za klapy i popchnął w tył, zatrzymując tuż przed fotelem, w którym sam przed chwilą siedział. Grymas bólu na poszarzałej twarzy został zastąpiony wyrazem zaskoczenia. Spade uśmiechnął się. Był to łagodny, niemal rozmarzony uśmiech. Jego prawy bark uniósł się nieco.. Cała ręka, uniesiona ruchem barku i ugięta w łokciu, stanowiła jakby taran, wprawiony w ruch jedynie barkiem. Pięść uderzyła Lewantyńczyka w twarz, zakrywając na moment cały policzek, kącik ust i dolną szczękę.

Cairo zamknął oczy i zemdlął. Spade złożył zwiotczone ciało na fotelu. Cairo legł z rozłożonymi rękami i nogami, głowa opadła mu do tyłu, usta miał otwarte.

Spade opróżnił po kolei, metodycznie kieszenie zemdlonego, przewracając, gdy potrzeba, bezwładne ciało, i układał zawartość na biurku. Wywróciwszy ostatnią kieszeń usiadł, skręcił i zapalił papierosa, po czym zabrał się do badania swego łupu. Przeglądał go z pełną powagą i niespieszną dokładnością.

Najpierw przejrzał duży portfel z ciemnej, miękkiej skóry. W portfelu było trzysta sześćdziesiąt pięć amerykańskich dolarów w banknotach różnej wartości, trzy banknoty pięciofuntowe, grecki paszport z nazwiskiem i fotografią Caira, opatrzony wieloma wizami, pięć arkusików cieniutkiego satynowanego papieru, zapisanego najwidoczniej pismem arabskim, nierówno wydarta z gazety notatka o znalezieniu ciała Archera i Thursby'ego, pocztówkowa fotografia jakiejś tęgiej kobiety o śmiałych, bezlitosnych oczach i łagodnym zarysie ust, duża jedwabna chustka, pożółkła ze starości i przetarta w miejscach złożenia, skąpy pakiecik grawerowanych wizytówek pana Joela Cairo, bilet na parter do Geary Theatre na dzisiejszy wieczór.

Oprócz portfela i jego zawartości były jeszcze trzy jaskrawe chustki jedwabne, pachnące chypre'em, platynowy longines na platynowym łańcuszku z małym wisiorkiem w kształcie gruszki z

jakiegoś białego - metalu, garść amerykańskich, brytyjskich, francuskich i chińskich monet, pęk kluczy, metalowy grzebień w skórzanej pochewce, pilnik do paznokci również w skórzanej pochewce, mały przewodnik po San Francisco, kwit bagażowy z „Southern Pacific”, opróżnione do połowy pudełeczko fioletowych pastylek, urzędowa wizytówka jakiegoś urzędnika ubezpieczeniowego z Szanghaju oraz cztery arkusze hotelowego papieru listowego, a na jednym z nich małymi wyraźnymi literami wypisane imię i nazwisko Samuela Spade'a i jego obydwa adresy, biurowy i domowy.

Obejrząwszy dokładnie te przedmioty - otworzył nawet kopertę zegarka, by zobaczyć, czy coś nie zostało tam ukryte - Spade pochylił się i ujął przegub dłoni zemdlonego, by zbadać puls. Potem puścił rękę, usadowił się ponownie na swoim miejscu i skręcił nowego papierosa. Jego twarz, gdy palił, była tak nieruchoma, nie licząc lekkich a bezcelowych poruszeń dolnej wargi, i tak zamyślona, że aż sprawiała wrażenie głupkowatej. Ale kiedy niebawem Cairo jęknął i poruszył powiekami, złagodniała i zaczęła nabierać w oczach i ustach przyjaznego wyrazu.

Joel Cairo wracał powoli do przytomności. Najpierw otworzył oczy, lecz upłynęła pełna minuta, zanim zatrzymały się one na jakimś określonym punkcie sufitu. Następnie zamknął usta i przełknął ślinę, po czym odetchnął ciężko przez nos. Podciągnął jedną nogę i położył rękę na udzie. Uniósł głowę z oparcia fotela, rozejrzał się po pokoju, zobaczył Spade'a i usiadł prosto. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i przyłożył dłoń do twarzy, w miejscu gdzie go trafiła pięść Spade'a i gdzie miał obecnie szkarłatny siniec.

- Mogłem pana zastrzelić - powiedział przez zaciśnięte z bólu zęby.

- Tak, mógł pan spróbować - przystał Spade.

- Nie spróbowałem.

- Wiem.

- Więc czemu mnie pan uderzył, gdy byłem już rozbrojony?

- Przepraszam - rzekł Spade i uśmiechnął się odsłaniając dolne zęby - ale niech pan sobie wyobrazi moje zakłopotanie, kiedy stwierdziłem, że oferta pięciu tysięcy dolarów była wyssana z palca.

- Myli się pan. Ta oferta była i nadal jest szczerą.

- Jakże, u licha? - rzekł Spade w prawdziwym zdumieniu.

- Jestem gotów zapłacić pięć tysięcy dolarów za dostarczenie posążka. - Cairo odjął rękę od posiniaczonej twarzy i znów przybrał skromny, urzędowy ton. - Czy ma go pan?

- Nie.

- Czemu więc ryzykował pan - Cairo przybrał wyraz łagodnego sceptycyzmu - poważne obrażenia, by mi przeszkodzić w poszukiwaniach, skoro tu go nie ma?



- Miałem siedzieć z założonymi rękami i dawać się terroryzować? - Machnął palcem w stronę przedmiotów Cairo leżących na biurku. - Ma pan mój domowy adres. Był pan już tam?

- Tak, byłem. Jestem gotów zapłacić pięć tysięcy dolarów za zwrot posążka, ale to chyba całkiem naturalne, że najpierw w miarę możliwości staram się zaoszczędzić właścicielowi wydatku.

- Kto jest właścicielem?

Cairo potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Daruje pan, ale nie odpowiem na to pytanie.

- Daruję? - Spade pochylił się ku niemu z uśmiechem na zaciśniętych ustach. - Mam pana w ręku, panie Cairo. Sam pan przyszedł i jak na gust policji dostatecznie się zaplątał w związku z morderstwami ubiegłej nocy.

Cairo uśmiechnął się, wcale nie zaniepokojony.

- Przeprowadziłem obszerny wywiad na temat pana przed powzięciem jakichkolwiek kroków - rzekł - i zapewniono mnie, że jest pan zbyt rozsądny, aby jakiegokolwiek względy mogły panu przeszkodzić w zyskowym interesie.

Spade wzruszył ramionami.

- A gdzie ten zyskowy interes? - spytał.

- Zaproponowałem panu pięć tysięcy dolarów za...

Spade stuknął wierzchem dłoni w leżący na biurku portfel i powiedział:

- Nie ma tu żadnych pięciu tysięcy dolarów. To są puste słowa. Równie dobrze mógłby pan wejść i powiedzieć, że da mi milion za purpurowego słonia, ale cóż by to miało za znaczenie?

- Rozumiem, rozumiem - rzekł Cairo z namysłem, unosząc wzrok w górę. - Pragnie pan jakiegoś zapewnienia o mojej szczerości. - Potarł koniuszkiem palca dolną wargę. - Czy wystarczyłaby zaliczka?

- Może.

Cairo wyciągnął rękę w stronę portfela, zawahał się, cofnął rękę i rzekł:

- Czy wystarczy, no, powiedzmy, sto dolarów? Spade wziął portfel i wyjął sto dolarów. Potem zmarszczył brwi, powiedział:

- Wolę dwieście - i wyjął drugą setkę. Cairo nie rzekł nic.

- Najpierw pan przypuszczał, że to ja mam tego ptaka - mówił Spade energicznym tonem,

schowawszy dwieście dolarów i rzuciwszy portfel z powrotem na stół. - Otóż to przypuszczenie jest mylne. Co pan sądzi teraz?

- Że pan wie, gdzie on się znajduje lub że znajduje się tam, skąd może go pan wydostać.

Spade ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził - jakby w ogóle tego nie usłyszał.

- Co może pan przedstawić na dowód, że człowiek, w którego imieniu pan występuje, jest prawowitym właścicielem posążka?

- Niestety, niewiele, ale jedno jest niezbite: nikt inny nie może przedstawić w ogóle jakiegokolwiek autentycznego świadectwa własności. A jeśli istotnie wiadomo panu o tej sprawie tyle, ile przypuszczam - inaczej nie byłoby mnie tutaj - to wie pan, że środki, za pomocą których pozbawiono go posążka, są dowodem, iż miał do niego większe prawa niż ktokolwiek inny, a już z pewnością większe niż Thursby.

- A jego córka? - spytał Spade.

Cairo z podniecenia rozwarł szeroko oczy i usta; poczerwieniał na twarzy.

- On nie jest właścicielem! - powiedział przenikliwym głosem.

Spade mrugnął sennie powiekami i zaproponował:

- Myślę, że byłoby dużo lepiej, gdybyśmy wyłożyli karty na stół.

Cairo odzyskał spokojny wyraz.

- Nie sądzę, że byłoby lepiej - mówił znów tonem pełnym uprzejmości. - Jeżeli wie pan więcej niż ja, to skorzystam na tym, a i pan również - w granicach pięciu tysięcy dolarów. Jeżeli nie wie pan więcej ode mnie, to zbłądziłem przychodząc do pana, a przyjmując pańską propozycję zbłądziłbym jeszcze bardziej.

Spade skinął głową obojętnie i machnął ręką w stronę przedmiotów leżących na biurku, mówiąc:

- Proszę zabrać swoje rzeczy. - Kiedy zaś Cairo wkładał je do kieszeni, rzekł: - A zatem umówiliśmy się, że pan będzie opłacał moje wydatki podczas zabiegów o odzyskanie tego czarnego ptaka i wręczy mi pięć tysięcy dolarów w chwili, kiedy go panu dostarczę, tak?

- Tak, z potrąceniem pieniędzy wypłaconych na wydatki - w sumie pięć tysięcy.

- Dobra. I to jest legalna oferta. - Spade miał twarz poważną. - Nie wynajmuje mnie pan do żadnych morderstw ani włamań, ale po prostu, aby - o ile to możliwe - odzyskać posążek w sposób całkowicie uczciwy i legalny.

- O ile to możliwe - zgodził się Cairo. Jego twarz też była poważna, z wyjątkiem oczu. - A w

każdym razie w sposób dyskretny. - Wstał i wziął swój kapelusz. Gdyby pan chciał skomunikować się ze mną, jestem w hotelu „Belvedere”, pokój sześćset trzydzieści pięć. Z ufnością oczekuję jak największych obopólnych korzyści z naszej znajomości. - Zawahał się. - Czy może pan oddać mi rewolwer?

- Oczywiście. Zapomniałem o nim.

Spade wyjął rewolwer z kieszeni marynarki i podał panu Cairo. Cairo wymierzył w pierś Spade'a.

- Zechce pan łaskawie trzymać ręce na biurku - rzekł. - Zamierzam przeszukać pańskie biurko.

- A niech mnie diabli! - rzekł Spade i roześmiał się. - Dobrze. Proszę bardzo. Nie będę panu przeszkadzał.

## 6. Cień

Jeszcze pół godziny po wyjściu Joela Cairo Spade przesiedział samotnie przy biurku, milczący i ze zmarszczonymi brwiami. Potem rzekł głośno tonem człowieka rozstrzygającego problem: - Tak czy owak płacą za to - i wydobyl z szuflady biurka butelkę cocktailu manhattan oraz papierowy kubek. Napełnił dwie trzecie kubka, wypił, schował butelkę do szuflady, cisnął kubek do kosza na śmieci, włożył płaszcz i kapelusz, pogasił światła i wyszedł na oświetloną latarniami ulicę.

Na rogu, przy budynku, w którym mieściło się biuro Spade'a, stał niewyrośnięty młodzik lat około dwudziestu, w zgrabnej szarej czapeczce i płaszczu.

Spade poszedł wzdłuż Sutter Street do Kearny, gdzie wstąpił do trafiki, by kupić dwie torebki tytoniu buli durham. Wyszedłszy ujrzał młodzika stojącego w grupie czterech ludzi oczekujących na tramwaj na przeciwległym rogu.

Spade zjadł obiad w „Herberfs Grill” na Powell Street. Kiedy za piętnaście ósma wyszedł z restauracji, młody człowiek przyglądał się pobliskiej wystawie z galanterią męską.

Spade udał się do hotelu „Belvedere” i zapytał w recepcji o pana Cairo. Powiedziano mu, że pan Cairo jest nieobecny. Młodzieniec siedział w odległym kącie hallu na fotelu.

Spade poszedł do Geary Theatre. Nie udało mu się dostrzec w hallu Caira, więc wyszedł i stanął na krawężniku przed budynkiem. Niedorostek wałęsał się nie opodal wraz z innymi ludźmi wałęsającymi się przed restauracją Marquarda.

Dziesięć po ósmej nadszedł podrygującym, roztańczonym kroczeniem Joel Cairo. Nie zauważył Spade'a, póki prywatny detektyw nie dotknął jego ramienia. Przez chwilę był lekko zaskoczony spotkaniem, lecz zaraz rzekł:

- Ach, prawda, że pan widział bilet.

- Aha. Chciałbym panu coś pokazać.

Odciągnął Caira trochę na bok od ludzi oczekujących na wejście do teatru. - Ten chłopak w czapce koło Marquarda.

Cairo mruknął:

- Zaraz zobaczę - i spojrział na zegarek. Popatrzył wzdłuż ulicy, potem na afisz teatralny ukazujący George'a Arlissa w roli Shylocka i dopiero wtedy spojrział ukradkiem na chłopaka w czapce, jego opanowaną bladą twarz z długimi, podwiniętymi rzęsami, zakrywającymi opuszczone oczy.

- Kto to?- spytał Spade. Cairo uśmiechnął się.

- Nie znam go.

- Chodzi za mną krok w krok po całym mieście. Cairo oblizał dolną wargę koniuszkiem języka i spytał:

- Czy wobec tego uważa pan za roztropne, że on nas widzi razem?

- Skąd ja mogę wiedzieć? W każdym razie stało się.

Cairo zdjął kapelusz i wygładził włosy ręką w rękawiczce. Pieczołowicie umieścił kapelusz z powrotem na głowie i rzekł z wszelkimi pozorami szczerości:

- Daję panu słowo, że go nie znam. Daję słowo, że nie mam z nim nic wspólnego. Nikogo nie prosiłem o pomoc prócz pana, słowo honoru.

- A więc on to jeden z tamtych?

- Możliwe.

- Chciałem o tym wiedzieć, bo po prostu, jeśli stanie się zbyt kłopotliwy, mogę mu zrobić krzywdę.

- Proszę zrobić, co pan uzna za stosowne. On nie jest moim przyjacielem.

- To dobrze. Kurtyna idzie w górę. Dobranoc - rzekł Spade i przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby wsiąść do tramwaju jadącego w kierunku zachodnim.

Chłopiec w czapce wsiadł do tego samego tramwaju. Spade wysiadł przy Hyde Street i poszedł do domu. Mieszkanie, chociaż panował w nim względny porządek, zdradzało nieomyślnie ślady przeprowadzonej rewizji. Umył się, włożył świeżą koszulę i kołnierzyk i wyszedł ponownie. Na Sutter Street wsiadł do tramwaju jadącego w kierunku zachodnim. Młody człowiek w czapce

wsiadł również.

Kilka bloków przed „Coronet” Spade wysiadł z tramwaju i wszedł do przedsionka wysokiego brunatnego budynku. Nacisnął trzy guziki dzwonek jednocześnie. Rozległ się brzęczyk zamka drzwi na klatkę schodową. Wszedł, minął schody i windę, przeszedł długim żółtym korytarzem na tył domu, znalazł drzwi zamknięte na zatrask i wyszedł na wąskie podwórko. Podwórko wychodziło na wąską ciemną uliczkę. Spade przeszedł tą uliczką ze dwa bloki, następnie skręcił w California Street i wszedł do „Coronet”. Dochodziło pół do dziesiątej:

Radość, z jaką Brigid O’Shaughnessy powitała Spadek, nasuwała przypuszczenie, że nie była całkowicie pewna jego wizyty. Miała na sobie satynową suknię w niebieskim odcieniu, który zwano w tym sezonie *artoise*, z przezroczystymi ramiączkami, oraz pończochy i pantofle tego samego koloru co suknia.

Kremowo-purpurowy salonik został doprowadzony do ładu i ożywiony kwiatami w przysadzistych srebrnych i czarnych wazonach. Na kominku paliły się trzy okorowane polana. Spade stał patrząc na nie, podczas gdy Brigid wieszła jego płaszcz i kapelusz.

- Jakie wiadomości pan przynosi? - spytała powróciwszy do saloniku.

Poprzez jej uśmiech dostrzegało się niepokój; najwyraźniej wstrzymywała oddech z lęku przed niepomyślną odpowiedzią.

- Możemy nie zdradzać się z niczym, co do tej pory nie zostało wyjawione.

- Policja nie dowie się o mnie?

- Nie.

Westchnęła z zadowoleniem i usiadła na orzechowej kozetce. Uśmiechnęła się do niego z zachwytem w oczach.

- Jak zdołał pan tego dokonać? - zapytała, zdradzając raczej podziw niż ciekawość.

- W San Francisco można załatwić prawie wszystko, gdy się ma pieniądze.

- A nie będzie miał pan z tego powodu kłopotów? Proszę usiąść - zrobiła mu miejsce na kozetce.

- Nie szkodzi, byle nie za wiele - odparł nie przejawiając zbytniego entuzjazmu.

Stał przy kominku i patrzył na nią badawczym, oceniającym, osądzającym wzrokiem, otwarcie ją badając, oceniając, osądzając. Zaczerwieniła się lekko pod wpływem szczerości tego spojrzenia, lecz wydawała się bardziej pewna siebie niż przedtem, choć wyraz nieśmiałości, z którym tak jej było do twarzy, nie opuścił jej oczu. On natomiast stał w miejscu tak długo, aż nie ulegało

wątpliwości, że zignorował jej zaproszenie, i dopiero wtedy podszedł do kozetki.

- Chyba niezbyt dobrze - rzekł siadając - czuje się pani w swojej roli, prawda?

- Nie jestem pewna, czy pana rozumiem - powiedziała tym swoim ściszym głosem, spoglądając na niego zdziwionymi oczami.

- W roli pensjonarki - wyjaśnił - co się jąka, czerwieni i tak dalej.

Zaczerwieniła się i odparła pośpiesznie, unikając jego wzroku:

- Powiedziałam, panu dzisiaj po południu, że jestem zła, gorsza, niż mógłby pan sądzić.

- O to mi właśnie chodzi. Powiedziała mi to pani dzisiaj po południu tymi samymi słowami, tym samym tonem. To zdanie dobrze pani wyćwiczyła.

Przez chwilę wydawała się zmieszana aż do łez. Potem roześmiała się i powiedziała:

- Dobrze, więc już powiem panu, że nie jestem wcale osobą, którą udaję. Mam osiemdziesiąt lat i paskudny charakter, a z zawodu jestem hutnikiem. Ale jeśli to jest poza, to przywykłam do niej i chyba nie wymaga pan, bym się jej całkowicie wyzbyła.

- Och, skądże - zaprzeczył. - Tylko byłoby kiepsko, gdyby naprawdę pani była aż tak niewinna. Do niczego byśmy nie doszli.

- Nie będę niewinna - przyrzekła, kładąc rękę na sercu.

- Widziałem dziś Joela Cairo - powiedział tonem człowieka, który chce nawiązać grzeczną rozmowę.

Wesołość znikła z jej twarzy. W oczach, patrzących na niego z profilu, ukazał się najpierw przestrah, a potem ostrożność. Spade wyciągnął nogi i przyglądał się swoim skrzyżowanym stopom. Wyraz jego twarzy nie zdradzał, że o czymkolwiek myśli.

Po długiej chwili zapytała niespokojnie:

- Czy pan... pan go zna?

- Widziałem się z nim dziś wieczór. - Spade nie podnosił wzroku i nadal zachowywał ton lekkiej konwersacji. - Szedł obejrzyć Arlissa.

- Rozmawiał pan z nim?

- Tylko parę minut, tuż przed podniesieniem kurtyny.

Wstała z kozetki i podeszła do kominka, żeby poprawić ogień. Przesunęła trochę jakieś figurki na półce nad kominkiem, przeszła przez pokój, żeby wziąć pudełko papierosów ze stolika w kącie,

poprawiła firankę i wróciła na miejsce. Miała już twarz gładką i opanowaną. Spade uśmiechnął się do niej z ukosa i powiedział:

- Jest pani dobrą aktorką. Doskonałą.

Jej twarz nie zmieniła się. Spokojnie zapytała:

- Co mówił?

- O czym? Zawahała się.

- O mnie.

- Nic. - Spade odwrócił się, żeby podać jej ogień. Oczy mu świeciły w szatańsko opanowanej twarzy.

- Więc co mówił? - spytała z na wpół żartobliwą opryskliwością.

- Zaproponował mi pięć tysięcy dolarów za czarnego ptaka.

Podskoczyła na kozetce, odgryzła koniec papierosa i rzuciwszy spłoszone spojrzenie na Spade'a, odwróciła wzrok.

- Nie zamierza pani chyba zacząć znów chodzić po pokoju, poprawiać ogień na kominku, firanki i tak dalej? - spytał od niechcienia.

Roześmiała się czystym, wesołym śmiechem, wrzuciła zmiętoszonego papierosa do popielniczki i spojrzała na niego wesołym wzrokiem.

- Nie zamierzam - powiedziała. - I co pan na to odrzekł?

- Pięć tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy. Uśmiechnęła się, ale na widok jego poważnej miny uśmiech ten osłabł i niebawem spłzł. Jego miejsce zajęła uraza, wyraz zmieszania.

- Na pewno nie zastanawia się pan poważnie nad przyjęciem tej oferty.

- Czemu nie? Pięć tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy.

- Ale, proszę pana, pan przecież obiecał pomóc mnie. - Położyła ręce na jego ramieniu. - **Zaufałam** panu. Nie może pan...

Cofnęła ręce i złożyła dłonie. Spade uśmiechnął się łagodnie, patrząc w jej zakłopotane oczy.

- Nie mówmy lepiej na temat pani zaufania do mnie. Obiecałem pani pomóc, to prawda, ale nie wspominała pani o żadnych czarnych ptakach.

- Ale pan musiał wiedzieć, bo... bo inaczej nie mówiłby pan o tym. W każdym razie wie pan

teraz. Nie wolno panu... nie może pan postąpić ze mną w ten sposób.

Niebieskie oczy patrzyły błagalnie.

- Pięć tysięcy dolarów - rzekł po raz trzeci - to mnóstwo pieniędzy.

Uniosła ramiona i opuściła je takim gestem, jakby godziła się z porażką.

- Tak - potwierdziła cichym, stłumionym głosem - to jest dużo więcej, niż mogłabym kiedykolwiek panu zaproponować, skoro o pańską lojalność trzeba się licytować.

Spade zaśmiał się. Śmiech ten był krótki i nieco cierpki.

- Dobrze to brzmi w pani ustach. Co mi pani dała oprócz pieniędzy? Swoje zaufanie? Jedno słowo prawdy? Jakąś pomoc, bym ja mógł pani pomóc? Czyż nie usiłowała pani właśnie kupić mojej lojalności za pieniądze, i tylko za pieniądze? Więc skoro już nią frymarczę, czemu nie miałbym pójść do tego, kto mi daje więcej?

- Oddałam panu wszystkie pieniądze, jakie miałam.

- Łzy zaświeciły w jej szeroko otwartych oczach. Mówiła ochrypłym, wibrującym głosem. - Zdałam się na pana litość, powiedziałam, że bez pomocy pana jestem zgubiona. Co można zrobić więcej? - Przysunęła się nagle do niego i powiedziała gniewnie: - Mogę pana kupić swoim ciałem?

Siedzieli tuż przy sobie. Spade ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował szorstko, niemal ze wzgardą, w usta. Potem odsunął i powiedział:

- Zastanowię się.

Był wściekły. Ona trwała nieruchomo, trzymając odrętwiałą twarz w miejscu, gdzie ją pozostawiły jego dłonie.

Spade wstał i rzekł:

- Chryste! Przecież to nie ma sensu.

Zrobił parę kroków w kierunku kominka i zatrzymał się, patrząc spode łba na płonące głownie i zaciskając zęby. Ona nie poruszyła się. Odwrócił się do niej.

- Diabła mnie obchodzi pani uczciwość - powiedział, starając się mówić spokojnie. - Nie obchodzi mnie, co pani knuje, jakie są pani sekrety, ale muszę mieć coś na dowód, że pani wie, co robi.

- Wiem, co robię. Niech mi pan uwierzy i...

- Proszę udowodnić - rozkazał. - Chcę pani pomóc. Zrobiłem już, co mogłem. Umiem, jak potrzeba, iść na ślepo, ale nie mogę tego zrobić z Tym zaufaniem, jakie mam teraz do pani. Musi pani



mnie przekonać, że wie, o co tu chodzi, że nie drepce pani po omacku w nadziei, że w końcu wszystko jakoś samo wyjdzie na dobre.

- Nie może mi pan jeszcze troszeczkę zaufać?
- Co znaczy: jeszcze troszeczkę? I na co pani czeka? Zagryzła wargi i spuściła wzrok.
- Muszę porozmawiać z Joelem Cairo - rzekła ledwie słyszalnie.
- Może się pani z nim zobaczyć jeszcze dziś - powiedział Spade, spoglądając na zegarek. - Przedstawienie niedługo się skończy. Możemy zadzwonić do niego do hotelu.

Podniosła wzrok, spłoszona.

- Ale on nie może tu przyjść. Nie mogę pozwolić, żeby dowiedział się, gdzie mieszkam.
- Może przyjść do mnie - zaproponował Spade. Zawahała się i zacisnęła usta, po czym spytała:
- Sądzi pan, że się zgodzi? Spade skinął głową.
- Doskonale! - wykrzyknęła wstając. - Idziemy? Wyszła do sąsiedniego pokoju. Spade podszedł do stolika w kącie i cicho wysunął szufladkę. Były w niej dwie talie kart, notes brydżowy, mosiężny korkociąg, kawałek czerwonego sznurka i złoty ołówek. Zamknął szufladkę i właśnie zapalał papierosa, kiedy wróciła ubrana w mały ciemny kapelusz i szary płaszcz z koźlęcej skóry, niosąc jego płaszcz i kapelusz.

Taksówka zatrzymała się tuż za ciemną limuzyną stojącą naprzeciwko drzwi domu Spade'a. Za kierownicą limuzyny siedziała Iva Archer. Spade uklonił się jej unosząc kapelusz i wszedł z Brigid O'Shaughnessy do domu. W hallu zatrzymał się przy jednej z ławek i spytał:

- Czy może pani chwileczkę zaczekać? To nie potrwa długo.
- Ależ oczywiście - odparła Brigid siadając. - I proszę się nie śpieszyć.

Spade wyszedł do samochodu. Kiedy otworzył drzwiczki, Iva powiedziała szybko:

- Muszę z tobą pomówić, Sam. Czy mogę wejść? Twarz miała bladą i zdenerwowaną.
- Nie teraz.

Iva zagryzła wargę i powiedziała ostro:

- Kto to jest?
- Mam tylko minutę czasu, Iva - rzekł Spade cierpliwie. - Co masz mi do powiedzenia?
- Kto jest ta dziewczyna? - powtórzyła wskazując głową w stronę drzwi.

Spade popatrzył na ulicę. Przed garażem na rogu młody człowiek lat mniej więcej dwudziestu, ubrany w zgrabną szarą czapkę i płaszcz, stał oparty plecami o ścianę. Spade zmarszczył brwi i spojrzał w natarczywą twarz Ivy.

- O co chodzi? - spytał. - Czy coś się stało? Nie powinnaś być tutaj o tej porze.

- Właśnie to zauważyłam. Powiedziałaś, że nie powinnam przychodzić do biura, a teraz, że nie powinnam przychodzić i tutaj. Czy chcesz przez to powiedzieć, żebym nie biegała za tobą? Czemu nie powiesz tego wprost?

- Słuchaj, Iva, nie masz prawa tak mówić.

- Wiem o tym. Zdaje się, że w ogóle nie mam żadnych praw, jeśli o ciebie chodzi. A sądziłam, że mam. Sądziłam, że twoja rzekoma miłość do mnie...

- Nie czas teraz na kłótnie, moja droga. O czym chciałaś ze mną pomówić?

- Nie mogę rozmawiać tutaj, w samochodzie. Czy mogę wejść?

- Nie teraz.

- Czemu?

Spade nie odrzekł nic. Zacisnęła usta w cienką linię, wyprostowała się za kierownicą, zapuściła motor i gniewnie zwróciła głowę przed siebie. Kiedy samochód zaczął ruszać, Spade rzekł: - Dobranoc, Iva - zatrzasnął drzwiczki i postać jeszcze chwilę na krawężniku z kapeluszem w ręku.

Gdy wrócił do hallu, Brigid O'Shaughnessy podniosła się z ławki uśmiechając się wesoło i poszli razem do jego mieszkania.

## **7. Litera „G” w powietrzu**

W pokoju sypialnym, który po podniesieniu chowanego w ścianie łóżka stał się salonikiem, Spade wziął od Brigid O'Shaughnessy płaszcz i kapelusz, usadowił ją na wyściełanym bujaku i zadzwonił do hotelu „Belvedere”. Cairo nie wrócił jeszcze z teatru. Spade podał swój numer telefonu z prośbą, aby Cairo zadzwonił do niego natychmiast po powrocie.

Usiadł w fotelu przy stoliku i bez żadnych wstępów zaczął opowiadać dziewczynie pewien wypadek, który zaszedł kilka lat temu na północnym zachodzie Stanów. Opowiadał równym, rzeczowym tonem, bez żadnych podkreśleń i pauz, chociaż czasami powtarzał zdania, lekko je zmieniając, jakby zależało mu, by oddać wiernie każdy szczegół.

Początkowo Brigid O'Shaughnessy słuchała niezbyt uważnie, najwidoczniej bardziej

zaskoczona faktem, że Spade zaczął opowiadać, niż zainteresowana samym opowiadaniem, ale niebawem, w miarę jak Spade snuł opowieść, zaczęła okazywać coraz większe zaniepokojenie, aż wreszcie poddała mu się całkowicie.

Pewnego dnia człowiek nazwiskiem Flitcraft wyszedł ze swego biura pośrednictwa handlu nieruchomościami w Tacoma, aby zjeść lunch, i nigdy więcej nie powrócił. Nie przyszedł też na partię golfa umówioną o czwartej tego popołudnia, choć sam ją zaproponował niespełna pół godziny przed wyjściem na ów lunch. Żona i dzieci nigdy go już odtąd nie ujrzaly. Podobno żył z żoną jak najlepiej, miał dwoje dzieci, chłopców, trzy- i pięcioletniego, posiadał własny dom na przedmieściu Tacoma, nowego packarda oraz wszystkie inne rzeczy znamionujące szczęśliwy żywot w Ameryce.

Flitcraft odziedziczył po ojcu siedemdziesiąt tysięcy dolarów, a że powiodło mu się w handlu nieruchomościami, więc w dniu, w którym zniknął, majątek jego osiągał sumę dwustu tysięcy dolarów. Sprawy miał uporządkowane, chociaż wszystko wskazywało na to, że nie uregulował ich specjalnie na tę chwilę. Na przykład transakcja, która przyniosłaby mu znaczny dochód, miała zostać zakończona następnego dnia po jego zniknięciu. Nic nie wskazywało na to, że kiedy wychodził, miał więcej niż pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dolarów w kieszeni. Jego postępowanie w ciągu minionych miesięcy wykluczało wszelkie podejrzenia o tajemne grzeszki, nawet istnienie drugiej kobiety w jego życiu.

- Przepadł jak kamień w wodę - powiedział Spade. Właśnie gdy doszedł do tego punktu opowiadania, zadzwonił telefon.

- Halo - rzekł Spade do słuchawki. - Pan Cairo...? Tu Spade. Czy może pan przyjść do mnie, na Post Street...? Tak, sądzę, że tak. - Spojrzał na dziewczynę, ściągnął usta i powiedział szybko: - Jest tu panna O'Shaughnessy i pragnie się z panem zobaczyć.

Brigid O'Shaughnessy ściągnęła brwi i poruszyła się niespokojnie, ale nie powiedziała nic. Spade odłożył słuchawkę i rzekł:

- Będzie tu za parę minut. No więc, to było w 1922 roku. W 1927 pracowałem w jednej z wielkich agencji detektywistycznych w Seattle. Kiedyś przyszła pani Flitcraft i powiedziała nam, że ktoś widział w Spokane mężczyznę bardzo podobnego do jej męża. Pojechałem tam. Był to istotnie Flitcraft. Mieszkał w Spokane od kilku lat jako Charles Pierce. Prowadził jakiś interes samochodowy, który przynosił mu dwadzieścia do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie, miał żonę i syna, własny dom na przedmieściu i grywał w golfa o czwartej po południu.

Spade'owi nie powiedziano wyraźnie, co ma zrobić, gdy odnajdzie Flitcrafta. Rozmawiali sobie w pokoju Spade'a w Davenport. Flitcraft nie poczuwał się do winy. Zostawił swoją pierwszą rodzinę dobrze zabezpieczoną na przyszłość i to, co uczynił, wydawało mu się bardzo rozsądne. Kłopotalo go jedynie, czy uda mu się wyjaśnić Spade'owi, dlaczego tak uważa. Nigdy nikomu nie opowiadał swoich dziejów, toteż nie próbował jeszcze dowodzić słuszności swego postępowania.

- Ja go zrozumiałem - powiedział Spade do Brigid O'Shaughnessy - ale pani Flitcraft nie. Uważała, że postąpił głupio. Może to i prawda. Ale wszystko skończyło się dobrze. Ona nie pragnęła skandalu i po tym figlu, jaki jej spłatał - bo tak określiła jego postępek - nie chciała, by do

niej wrócił. Wzięli więc po cichu rozwód i wszystko było pięknie, ładnie.

A oto, co mu się przydarzyło. Idąc kiedyś na lunch mijał budowę. Właśnie gdy przechodził, z wysokości ósmego czy dziesiątego piętra spadła belka i wyrznęła w chodnik obok niego. Upadła tuż przy nim, ale o niego nie zawadziła, tylko odprysk płyty chodnika uderzył go w policzek. Zdarł mu jedynie kawałek skóry, ale Flitcraft miał jeszcze bliznę, gdy go widziałem. Wspominając o tym potarł ją palcem z czułością. Mówił, że był oczywiście śmiertelnie przerażony, ale jeszcze bardziej wstrząśnięty. Czuł się jak ktoś, kto nagle odkrył mechanizm życia.

Flitcraft był dobrym obywatelem, mężem i ojcem nie z jakichkolwiek zewnętrznych pobudek, ale ponieważ należał do ludzi, którzy najlepiej się czują, gdy pozostają w zgodzie z otoczeniem. Tak go wychowano. Tacy byli ludzie, z którymi utrzymywał stosunki. Życie, jakie znał, było czyste, uporządkowane, zdrowe i odpowiedzialne. I oto wobec spadającej belki uświadomił sobie, że wcale tak nie jest. On, ten dobry obywatel, mąż i ojciec, mógł zginąć między biurem a restauracją, trafiony spadającą belką. Zrozumiał wtedy, że ludzie umierają przez przypadek, a żyją, gdy ich ślepy los oszczędzi.

Nie niepokoiła go ta niesprawiedliwość - pogodził się z nią, gdy tylko ochłonął po wstrząsie. Niepokoiło go odkrycie, że porządkując swoje sprawy nie włączył się, lecz wypadł z biegu życia. Opowiadał, że nim odszedł dwadzieścia stóp od belki, już wiedział, iż nigdy nie zazna spokoju, jeśli się nie dostosuje do tego nowego obrazu życia. Zanim skończył jeść lunch, już znalazł sposób dostosowania się. Jego życie może się skończyć na chybił trafił, z powodu byle spadającej belki, wobec czego on zmieni swoje życie też na chybił trafił, po prostu odchodząc. Opowiadał, że kochał swoją rodzinę jak każdy, ale zostawiał ją odpowiednio zabezpieczoną, a jego miłość nie była aż taka, aby miał odczuwać ból rozłąki.

Tego samego popołudnia wyjechał do Seattle - ciągnął Spade - a stamtąd statkiem do San Francisco. Kręcił się tutaj parę lat, a potem ruszył z powrotem na północny zachód, osiadł w Spokane i ożenił się. Druga jego żona nie była podobna do pierwszej, ale miała z nią więcej cech wspólnych niż odmiennych. Zna pani ten typ kobiet, które zupełnie nieźle grywają w golfa i brydża i lubią nowe przepisy na sałatkę. Nie żałował tego, co uczynił. Wydawało mu się to zupełnie rozsądne. Sądzę, że nie wiedział nawet, iż wpadł w tę samą rutynę, z którą zerwał w Tacoma. Ale właśnie to mi się podoba. Dostosował się do faktu, że belki spadają, a ponieważ później już żadna nie spadła, więc dostosował się do faktu, że nie spadają.

- Ależ to fascynujące - powiedziała Brigid O'Shaughnessy. Wstała i podeszła do Spade'a. - Nie potrzebuję panu mówić, że będę w dość dwuznacznej sytuacji w stosunku do pana, kiedy Cairo tu przyjdzie.

Spade uśmiechnął się lekko.

- Nie, nie potrzebuje pani mówić - przyznał.

- I zdaje pan sobie sprawę, że nigdy nie zgodziłabym się na podobną sytuację, gdybym nie miała do pana całkowitego zaufania - trzymała go palcami za guzik marynarki.

- Znowu się zaczyna! - rzekł Spade z udaną rezygnacją.

- Ale pan wie, że tak jest naprawdę - nastawała.

- Nie, nie wiem - poklepał ją po ręce, którą trzymała go za guzik. - Właśnie przywiodło nas tutaj pytanie, czemu miałbym pani ufać. Nie mieszajmy dwu spraw. W każdym razie nie musi mi pani ufać, póki sama mnie pani nie przekona, żebym zaufał pani.

Przyglądał się jej twarzy. Jej nozdrza drżały. Roześmiał się. Znowu poklepał ją po rękę i powiedział:

- Proszę się teraz nie martwić. On zaraz tu będzie. Załatwicie sobie swoje sprawy, a potem zobaczymy.

- A pan pozwoli mi to załatwić tak, jak będę chciała?

- Oczywiście.

Ścisnęła jego dłoń i powiedziała łagodnie:

- Pan jest bardzo dobry.

- Niech pani nie przesadza - rzekł Spade. Spojrzała na niego z wyrzutem, lecz zarazem uśmiechając się, i wróciła na bujak.

Joel Cairo był podniecony. Źrenice miał rozszerzone i ledwie Spade zdążył uchylić drzwi, z jego ust wypłynął potok słów wypowiedzianych cienkim i wysokim głosem.

- Ten chłopak stoi na ulicy i obserwuje dom, proszę pana, ten, którego mi pan pokazywał czy też któremu pan pokazywał mnie przed teatrem. Jak mam to rozumieć? Przyszedłem tu w najlepszej wierze, bez jakiegokolwiek myśli o zasadzce czy pułapce.

- Bo zaprosiłem pana w najlepszej wierze - Spade zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Ale powinienem się domyślić, że on się znów pokaże. Widział, jak pan wchodził?

- Naturalnie. Mogłem udać, że idę dalej, ale uznałem, że to nie ma sensu, skoro już pan dopuścił do tego, by zobaczyć nas razem.

Do przedpokoju weszła Brigid i zapytała z niepokojem:

- Jaki chłopak? O co chodzi?

Cairo zdjął z głowy czarny kapelusz, skłonił się sztywno i rzekł:

- Spytaj pana Spade'a. Cokolwiek wiem o tym, to tylko od niego.

- Chłopak, który usiłował mnie śledzić przez cały wieczór - rzekł Spade niedbale, przez ramię,

nie odwracając się do niej twarzą. - Niech pan wejdzie, panie Cairo. Nie ma sensu stać i rozmawiać tu, gdzie sąsiedzi mogą nas usłyszeć.

Brigid O'Shaughnessy chwyciła Spade'a za ramię powyżej łokcia i dopytywała się:

- Czy szedł za panem do mego mieszkania?

- Nie. Pozbyłem się go po drodze. Podejrzewam, że przyszedł pod mój dom, żeby odnaleźć zgubiony ślad.

Cairo, trzymając czarny kapelusz obiema rękami przy brzuchu, wszedł do przedpokoju. Spade zamknął drzwi od korytarza i weszli wszyscy do saloniku. Cairo jeszcze raz skłonił się sztywno i rzekł:

- Cieszę się, że znów panią widzę, panno O'Shaughnessy.

- Wiedziałam, że się ucieszysz, Joe - odparła Brigid i podała mu rękę.

Cairo ukłonił się i szybko puścił jej dłoń. Brigid usiadła na bujaku, na którym siedziała przedtem, a Cairo na fotelu przy stoliku. Spade powiesił płaszcz i kapelusz Caira w szafie, siadł w rogu kanapy pod oknami i zaczął skręcać papierosa.

- Sam mówił mi o sumie, którą zaproponowałeś mu za sokoła. Na kiedy będziesz mógł przygotować pieniądze? - spytała Brigid Caira.

Brwi Caira drgnęły. Uśmiechnął się.

- Są już przygotowane.

Nie przestawał uśmiechać się do dziewczyny, a potem spojrzał na Spade'a. Spade właśnie przypalał papierosa. Twarz miał spokojną.

- W gotówce? - spytała dziewczyna.

- O tak - odparł Cairo.

Zmarszczyła brwi, zwilżyła wargi koniuszkiem języka i zapytała:

- Jesteś gotów wręczyć nam w tej chwili pięć tysięcy dolarów, jeżeli damy ci sokoła?

Cairo podniósł dłoń do góry.

- Przepraszam - rzekł - źle się wyraziłem. Nie chciałem powiedzieć, że mam pieniądze w kieszeni, tylko że mogę dostarczyć je każdej chwili w ciągu piętnastu minut w godzinach urzędowania banków.

- Och! - spojrzała na Spade'a.

Spade dmuchnął dymem papierosa w kamizelkę i rzekł:

- To prawda. Miał tylko kilkaset dolarów dziś po południu, kiedy przeszukiwałem mu kieszenie.

Uśmiechnął się widząc, że wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Lewantyńczyk pochylił się w fotelu. Nie udało mu się ukryć podniecenia w oczach i głosie.

- Mogę wypłacić tę sumę, no, powiedzmy, o wpół do jedenastej rano. Co ty na to?

Brigid O'Shaughnessy uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ale ja nie mam sokoła.

Twarz Caira aż pociemniała z rozdrażnienia. Położył brzydkie ręce na poręczach fotela i siedział sztywny i wyprostowany. Ciemne oczy były zagniewane. Nie wyrzekł ani słowa.

- Będę go jednak miała najpóźniej za tydzień - powiedziała z kpiarsko uspokajającą miną.

- Gdzie on jest? - jego grzeczny ton wyrażał sceptycyzm.

- Tam, gdzie Floyd go ukrył.

- Floyd? Thursby? Skinęła głową.

- I ty znasz kryjówkę?

- Tak.

- Więc czemu mamy czekać cały tydzień?

- Może nie cały. Dla kogo go kupujesz, Joe? Cairo uniósł brwi.

- Powiedziałem panu Spade'owi. Dla jego właściciela.

Zdziwienie ukazało się na twarzy dziewczyny.

- Więc wróciłeś do niego?

- Naturalnie.

Roześmiała się cicho, gardłowym śmiechem, i powiedziała:

- Chciałabym być przy tym. Cairo wzruszył ramionami.

- To było logiczną konsekwencją. - Potarł wierzch dłoni. Opuścił powieki, żeby ukryć wzrok. - A czemu, jeśli z kolei ja mogę spytać, chcesz go mnie sprzedać?

- Bo się boję - odparła po prostu - po tym, co spotkało Floyda. Dlatego właśnie nie mam sokoła u siebie. Boję się go tknąć, chyba tylko po to, żeby natychmiast komuś oddać.

Spade, wsparty na łokciu na kanapie, słuchał i patrzył na nich z całą bezstronnością. Jego odprężone ciało i spokój rysów nie zdradzały ani ciekawości, ani zniecierpliwienia.

- A co właściwie - spytał cicho Cairo - stało się z Floydem?

Koniuszek palca Brigid O'Shaughnessy nakreślił szybko literę „G” w powietrzu.

- Aha - rzekł Cairo, ale w uśmiechu dał lekki wyraz wątpliwości. - Czy on tu jest?

- Nie wiem - odparła ze zniecierpliwieniem. - Czy to nie wszystko jedno?

Cień wątpliwości w uśmiechu Caira pogłębił się.

- To wcale nie wszystko jedno - rzekł i ułożył ręce na kolanach w taki sposób, że umyślnie czy też nieumyślnie wymierzył palec wskazujący w stronę Spadek.

Zauważywszy ten ruch dziewczyna poruszyła niecierpliwie głową.

- Albo ja - powiedziała - albo ty.

- Właśnie, a może wliczymy jeszcze chłopaka przed domem?

- Tak - zgodziła się i zaśmiała. - Tak, jeśli to nie jest ten, którego miałeś w Konstantynopolu.

Krew uderzyła Lewantyńczykowi do głowy. Krzyknął ostrym, rozwścieczonym głosem:

- Ten, którego ty nie mogłaś uwieść?

Brigid O'Shaughnessy wyskoczyła z fotela. Zagryzła dolną wargę. Jej oczy ściemniały i rozszerzyły się w zaciętej i pobladłej twarzy. Szybko podeszła do Caira, który właśnie się podnosił. Smagnęła go prawą dłońią w twarz, pozostawiając ślady palców na policzku. Cairo chrząknął i trzasnął ją w policzek, aż zatoczyła się w bok i wydała krótki, stłumiony krzyk.

W tej chwili Spade z kamienną twarzą zdążył już wstać i znaleźć się obok nich. Złapał Caira za gardło i potrząsnął. Cairo zacharczał i wsunął rękę pod marynarkę. Spade chwycił Lewantyńczyka za przegub, wyszarpnął jego rękę spod marynarki, przygiął do dołu i wykręcił. Z niezgrabnych, obezwładnionych palców wypadł na dywan czarny rewolwer. Brigid O'Shaughnessy szybko podniosła broń z podłogi. Cairo, z trudem wydobywając głos ze zduszonego gardła, powiedział:

- Już drugi raz porwał się pan na mnie.

Oczy, lekko wybałuszone pod wpływem ucisku palców Spade'a na krtań, spoglądały zimno, groźnie.



- Tak - warknął Spade. - A jak cię piorą w głowę, to nie podskakuj.

Puścił jego przegub i otwartą dłoń trzasnął silnie w twarz trzy razy. Cairo próbował pluć Spade'owi w oczy, ale wyszedł z tego tylko gniewny gest, bo w ustach mu zaschło. Spade wyrzwał go w usta, rozcinając dolną wargę.

U drzwi rozległ się dzwonek. Cairo zwrócił oczy w stronę przedpokoju. Nie było już w nich gniewu, tylko czujność. Dziewczyna otworzyła usta i zwróciła twarz do drzwi. Widać w niej było przestrasz. Spade patrzył przez chwilę ponuro na krew sączącą się z wargi Cairra, a potem odstąpił puszczając gardło Lewantyńczyka.

- Kto to? - szepnęła dziewczyna podchodząc do Spade'a, a Cairo zadał to samo pytanie wzrokiem.

- Nie wiem - odparł Spade z rozdrażnieniem.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem natarczywiej.

- Siedźcie cicho - rzekł Spade i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Spade zapalił światło w przedpokoju i otworzył drzwi do korytarza. Za drzwiami stał Tom Polhaus i porucznik Dundy.

- Jak się masz, Sam - powiedział Tom. - Pomyśleliśmy, że jeszcze nie śpisz.

Dundy skinął głową, lecz nie wyrzekł ani słowa.

- Jak się macie - powiedział Spade z humorem. - Dobrą wybieracie sobie porę na wizyty, chłopcy. O co tym razem chodzi?

- Chcemy z tobą porozmawiać, Spade - rzekł Dundy cicho.

- No więc? - stanął w drzwiach, blokując wejście. - Mówcie.

- Chyba nie musimy tego robić tutaj, na stojąco - powiedział Tom robiąc krok naprzód.

Spade nie ruszył się z miejsca.

- Nie możecie teraz wejść - rzekł.

Wyraz przyjaznej pogardy odmalował się w grubych rysach Toma, ale w bystrych oczach zamigotał jasny promień.

- Co, u licha, Sam? - zaprotestował i żartobliwie przyłożył swoją wielką dłoń do piersi Spade'a.

Spade oparł się naciskowi ręki, uśmiechnął się złośliwie i spytał:

- Chcesz użyć siły, Tom?

- Boże święty! - mruknął Polhaus i cofnął rękę.

- Wpuść nas - rzekł Dundy przez zaciśnięte zęby. Usta Spade'a zadrgały nerwowo.

- Nie wpuszczę. I co zrobicie? Wejdziecie siłą, będziecie gadać tutaj czy pójdziecie sobie do wszystkich diabłów?

Tom westchnął. Dundy, wciąż przez zęby, rzekł:

- Opłaciłoby ci się trochę współpracy z nami, Spade. Upiekło ci się raz i drugi, ale to nie może trwać wiecznie.

- Spróbuj mi zabronić - odparł Spade arogancko.

- Właśnie że spróbuję. - Dundy schował ręce za siebie i zadarł twarz ku Spade'owi. - Mówią, że miałeś romans z żoną Archera.

Spade się roześmiał.

- Czyś sam tego przypadkiem nie wymyślił?

- Więc to nieprawda?, - Nieprawda.

- Mówią, że chciała się z nim rozwieść, żeby móc wyjść za ciebie, ale on nie zgodził się na rozwód. Prawda?

- Nieprawda.

- Mówią nawet, że z tego powodu grożono mu śmiercią.

Spade sprawiał wrażenie lekko rozbawionego.

- Nie bądź świnia - powiedział. - Nie przypisuj mi dwóch morderstw naraz. Poza tym, jeśli zarzucasz mi zabójstwo Milesa, to twoja teoria, że zabiłem Thursby'ego, upada, bo on zabił Milesa.

- Nigdy nie powiedziałem, że kogokolwiek zabiłem - odparł Dundy. - To ty ciągle o tym mówisz. Ale przypuśćmy, że powiedziałem. Mogłeś ich obu sprzątnąć. To by się dało wytłumaczyć.

- Aha, mogłem rozwalić Milesa, żeby ożenić się z jego żoną, a potem Thursby'ego, żeby móc zwalić na niego zabójstwo Milesa. Świetny pomysł, a byłby jeszcze lepszy, gdyby rozwalić jeszcze kogoś i zwalić na niego zabójstwo Thursby'ego. Długo można tak ciągnąć? Czy będziesz mnie odtąd oskarżał o wszystkie zabójstwa w San Francisco?

- Skończ z tą komedią, Sam - powiedział Tom. - Wiesz dobrze, że to nam się tak samo nie podoba jak tobie, ale musimy robić, co do nas należy.

- Czyli wpadać tu co noc i zadawać głupie pytania.
- Żeby uzyskiwać zełgane odpowiedzi - ryknął Dundy.
- Wolnego! - ostrzegł go Spade.

Dundy zmierzył go wzrokiem i spojrzał prosto w oczy.

- Jeżeli mówisz, że między tobą a żoną Archera nic nie było, to łżesz.

Wyraz zaniepokojenia pojawił się w małych oczkach Toma. Spade zwilżył wargi koniuszkiem języka i spytał:

- Czy to właśnie ta informacja sprowadza cię tu o tej niezwyklej porze?
- Między innymi.
- To znaczy...?

Dundy ściągnął w dół kąciki ust.

- Wpuść nas - skinął znacząco w stronę drzwi, w których stał Spade.

Spade zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Kąciki ust Dundy'ego uniosły się w uśmiechu ponurego zadowolenia.

- W tym musi coś być - powiedział do Toma. Tom przestąpił z nogi na nogę i nie patrząc na żadnego z mężczyzn rzekł:

- Bo ja wiem?
- Co to ma znaczyć? - spytał Spade. - Zabawa w zgadywanki?

- Dobrze, Spade, idziemy - Dundy zapiął płaszcz. - Będziemy tu wpadać od czasu do czasu. Może i masz rację, że zbywasz nas niczym. Przemyśl to sobie.

- Dobra - rzekł Spade uśmiechając się. - Zawsze będziesz mile widziany, a jak nie będę zajęty, to zaproszę cię do pokoju.

Nagle z pokoju Spade'a rozległ się krzyk:

- Na pomoc! Na pomoc! Policja! Na pomoc! Był to wysoki, przenikliwy głos Joela Cairo. Porucznik Dundy, który już stał tyłem do Spade'a, odwrócił się i rzekł zdecydowanie.

- Wchodzimy.

Doszły ich uszu odgłosy krótkiej walki, uderzenia i stłumionego okrzyku. Twarz Spade'a skrzywiła się w grymasie niewesołego uśmiechu.

- Proszę bardzo - rzekł i odstąpił na bok.

Gdy detektywi weszli, zamknął drzwi od korytarza i udał się za nimi.

## 8. Tere fere

Brigid O'Shaughnessy siedziała skulona na fotelu obok stolika. Ramionami zasłaniała twarz, nogi miała podkurczone tak, że kolana zakrywały jej brodę. W szeroko rozwartych oczach widać było przerażenie.

Joel Cairo stał pochylony nad nią z rewolwerem, który mu przedtem Spade wykręcił z dłoni. Drugą ręką trzymał się za czoło. Krew wyciekała mu spomiędzy palców i spływała na oczy. Krew sącząca się z rozciętej wargi namalowała trzy faliste dróżki na jego podbródku.

Cairo nie zważał na detektywów. Patrzył złowrogo na dziewczynę skuloną naprzeciwko niego. Usta jego poruszały się spazmatycznie, lecz nie wypływał z nich żaden zrozumiały dźwięk.

Dundy, który wszedł pierwszy, szybko podskoczył do Caira, jedną ręką chwycił Lewantyńczyka za przegub dłoni, a drugą sięgnął po własny rewolwer w tylnej kieszeni spodni i ryknął:

- Co się tu dzieje?

Cairo odjął zakrwawioną dłoń od czoła i zamachał nią przed twarzą porucznika. Skórę na czole miał rozdartą na trzy cale.

- O, co mi zrobiła! - zawołał. - Patrzcie!

Dziewczyna opuściła nogi na podłogę i popatrywała ostrożnie to na Dundy'ego, który trzymał Caira za przegub dłoni, to na Polhousa, stojącego trochę za nimi, to na Spade'a, opartego o framugę drzwi. Twarz Spade'a była spokojna. Kiedy ich wzrok się spotkał, w szarozłoty oczach zamigotała na mgnienie złośliwa wesołość i natychmiast znikła.

- Czy to pani zrobiła? - spytał Dundy dziewczynę, wskazując ruchem głowy rozcięte czoło Caira.

Spojrzała znów na Spade'a. Nie odpowiedział ani drgnieniem na prośbę w jej oczach. Stał oparty o framugę drzwi i patrzył na ludzi w pokoju z miną nie zainteresowanego widza. Dziewczyna skierowała wzrok na Dundy'ego. Oczy miała szeroko otwarte, ściemniałe i przejęte.

- Byłam zmuszona - powiedziała niskim, drżącym głosem. - Byłam z nim sama w pokoju, kiedy mnie zaatakował. Nie mogłam... starałam się go odepchnąć. Nie... nie mogłam zmusić się, by pociągnąć za cyngiel.

- Och, ty kłamczucho! - wrzasnął Cairo, usiłując bezskutecznie wyrwać rękę z pistoletem z uchwytu Dundy'ego. - Ty parszywa kłamczucho! - Obrócił się twarzą do Dundy'ego. - Ona kłamie. Przyszedłem tu w dobrej wierze, a oni mnie napadli. I kiedy zadzwoniliście, on wyszedł porozmawiać z wami, a ją zostawił z rewolwerem i wtedy ona powiedziała, że mnie zabiją, jak pójdziecie, więc zawołałem o pomoc, a ona uderzyła mnie tym rewolwerem.

- Proszę mi to dać - rzekł Dundy i wziął rewolwer z dłoni Cairra. - A teraz wyjaśnimy sobie całą rzecz. Po co pan tu przyszedł?

- On mnie wezwał - Cairo odwrócił głowę, żeby obrzucić Spade'a wyzywającym spojrzeniem. - Zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyszedł.

Spade łypnął sennie okiem na Lewantyńczyka i nic nie powiedział.

- Po co mu pan był potrzebny? - spytał Dundy.

Cairo wstrzymał się z odpowiedzią, póki nie otarł zakrwawionego czoła i brody jedwabną chusteczką w lawendowe paski. Zdołał przez ten czas opanować trochę wzburzenie i stał się bardziej ostrożny.

- Powiedział, że chce... że chcą się ze mną zobaczyć. Nie wiedziałem po co.

Tom Polhaus schylił głowę, wywęszył zapach chypre'u rozchodzący się od chusteczki i zwrócił pytające spojrzenie na Spade'a. Spade mrugnął okiem i dalej skręcał papierosa.

- No i co się wtedy stało? - pytał Dundy.

- I wtedy napadli na mnie. Najpierw ona mnie uderzyła, a on chwycił za gardło i wyciągnął mi rewolwer z kieszeni. Nie wiem, co by się potem stało, gdybyście nie nadeszli. Z pewnością zamordowaliby mnie. A jak poszedł wam otworzyć, dał jej rewolwer, żeby mnie pilnowała.

Brigid O'Shaughnessy porwała się z fotela krzycząc:

- Czemu nie każecie mu powiedzieć prawdy? - i zdzieliła Cairra po twarzy.

Cairo zawył. Dundy wolną ręką pchnął dziewczynę z powrotem na fotel i zagrzmiął:

- Dostyc tego dobrego!

Spade zapalając papierosa uśmiechnął się łagodnie poprzez dym i rzekł do Toma:

- Impulsywna.

- O tak! - zgodził się Tom.

Dundy spojrzał groźnie na dziewczynę i zapytał:

- A co, pani zdaniem, powinniśmy uważać za prawdę?

- Nie to, co on powiedział - odparła. - Wcale nie to, co on powiedział. - Zwróciła się do Spade'a: - Prawda?

- A skąd ja mogę wiedzieć? - rzekł Spade. - Przecież byłem w kuchni i przygotowywałem omlet, kiedy to wszystko się stało.

Zmarszczyła czoło i przypatrywała mu się pilnie oczyma lekko przyćmionymi mgiełką zmieszania. Dundy, nadal spoglądając na nią groźnie, zignorował uwagę Spade'a i zapytał:

- Jeżeli kłamie, to czemu właśnie on dał się o pomoc, a nie pani?

- Och, bo się strasznie przeraził, jak go uderzyłam - odparła, spoglądając pogardliwie na Lewantyńczyka.

Cairo poczerwieniał.

- Tfu! Jeszcze jedno kłamstwo! - wykrzyknął.

Kopnęła go w nogę tak, że wysoki obcas jej niebieskiego pantofla trafił go w goleń tuż pod kolanem. Dundy odciągnął Cairra do tyłu, a wielki Tom podszedł do Brigid burcząc:

- Grzecznie, siostrzyczko. Tak się nie robi.

- To każcie mu powiedzieć prawdę - rzekła wyzywająco.

- Zrobimy to na pewno - obiecał. - Tylko się nie rzucaj.

Patrząc na Spade'a twardymi, błyszczącymi zadowoleniem oczyma, Dundy zwrócił się do swego podwładnego:

- Chyba dobrze zrobimy, Tom, jeśli aresztujemy to całe bractwo.

Tom skinął głową posępnie. Spade ruszył na środek pokoju, rzucając w przejściu niedopałek do popielniczki na stole. Jego uśmiech i ruchy były świetnie opanowane.

- Nie śpiesz się - powiedział. - Wszystko można wytłumaczyć.

- No pewno - zgodził się Dundy z drwiną. Spade skłonił się przed dziewczyną.

- Panno O'Shaughnessy, pozwoli pani sobie przedstawić porucznika Dundy i sierżanta-detektywa Pol-hausa. - Skłonił się przed Dundy. - Panna O'Shaughnessy jest moją pracownicą.

Joel Cairo wtrącił z oburzeniem:

- To nieprawda! Ona...

Spade przerwał mu głośno, lecz mimo to uprzejmym tonem:

- Pracuje od niedawna, ściśle mówiąc od wczoraj. A to pan Joel Cairo, przyjaciel, a w każdym razie znajomy Thursby'ego. Przyszedł do mnie dzisiaj po południu i chciał mi zlecić odnalezienie czegoś, co jakoby Thursby miał przy sobie, kiedy go sprzątnięto. Nie chciałem się tego podjąć, gdyż sposób, w jaki mi to przedstawił, wydawał mi się śmieszny. Wówczas pan Cairo wyciągnął rewolwer... ale nie mówmy o tym, chyba że dojdzie do wzajemnych oskarżeń. W każdym razie po omówieniu tej sprawy z panną O'Shaughnessy pomyślałem, że może uda nam się coś z niego wydobyć na temat zabójstwa Milesa i Thursby'ego, więc poprosiłem, aby tu wpadł. Być może, byliśmy zbyt szorstcy w stawianiu pytań, lecz nie zrobiliśmy mu krzywdy, nic, co usprawiedliwiałoby wołanie o pomoc. Po raz drugi musiałem odebrać mu broń.

W miarę jak Spade mówił, lęk napływał do poczerwieniałej twarzy Caira. Wzrok jego niespokojnie wędrował to w górę, to w dół, od podłogi do łagodnej twarzy Spade'a. Dundy odwrócił się do Caira i spytał szorstko:

- I co pan na to?

Prawie minutę Cairo nie mógł wydusić z siebie odpowiedzi, stojąc ze wzrokiem utkwionym w pierś porucznika. Gdy uniósł wzrok, widać w nim było nieufność i ostrożność.

- Nie wiem, co powiedzieć - mruknął. Jego zakłopotanie wydawało się szczere.

- Niech pan spróbuje zrelacjonować fakty - podsunął mu Dundy.

- Fakty? - Oczy Caira poruszyły się niespokojnie, nie oderwał jednak spojrzenia od twarzy porucznika. - A jaką mam pewność, że uwierzycie faktom?

- Dostyc tego kręcenia. Wystarczy, żeby pan złożył zaprzysiężone oskarżenie, że ci dwoje dali panu wycisk, a pójdą do kryminału.

- No dalej, Cairo - rzekł Spade wesoło. - Uszczęśliw go. Powiedz, że się zgadzasz, a wtedy my złożymy zaprzysiężone oskarżenie przeciwko tobie i będzie miał nas wszystkich w rękę.

Cairo odchrząknął i rozejrzał się nerwowo po pokoju, nie patrząc nikomu w oczy. Dundy sapnął nosem i powiedział:

- Brać kapelusze.

Zatroskane oczy Caira spojrzwały pytająco na Spade'a, który odpowiedział wyrazem drwiny i siadł na poręczu bujaka.

- No, moi mili - rzekł uśmiechając się do dziewczyny i Lewantyńczyka z zadowoleniem - ślicznie to odegraliśmy.

Po kwadratowej, surowej twarzy Dundy'ego przesunął się leciutki cień. Powtórzył:

- Brać kapelusze.

Spade skierował uśmiech do porucznika, usadowił się wygodniej na oparciu bujaka i spytał od niechcienia:

- Czy naprawdę nie znasz się na żartach?

Tom Polhaus poczerwieniał. Nasepiony Dundy ani drgnął, tylko usta poruszyły mu się drwiąco, kiedy mówił:

- Nie, ale zdążymy pomówić o tym na komendzie.

Spade wstał i wsadził ręce do kieszeni. Stał wyprostowany, żeby móc patrzeć na porucznika bardziej z wysoka. Uśmiechał się urągliwie i każdy jego rys wyrażał pewność siebie.

- Wsadź nas, Dundy - rzekł - to wyśmiejemy cię we wszystkich gazetach w San Francisco. Nie sądzisz chyba, że którekolwiek z nas złoży zaprzysiężone oskarżenie przeciwko drugiemu. Opamiętaj się. Nabrano cię. Kiedy zadzwoniliście, powiedziałem do Caira i panny O'Shaughnessy: „Znowu te cholerne gliny. Zaczynają się naprzykrzać. Zrobmy im kawał. Jak usłyszycie, że będą odchodzić, niech jedno z was wrzaśnie, a zobaczymy, jak długo dadzą się nabierać”. No i...

Brigid O'Shaughnessy pochyliła się w fotelu i zaczęła śmiać się histerycznie. Cairo drgnął i uśmiechnął się. Był to martwy uśmieszek, który zdołał jakoś przylepić do twarzy. Tom, łypiąc okiem spode łba, mruknął:

- Daj spokój, Sam.

- Ale tak było - rzekł Spade ze śmiechem. - Chcieliśmy...

- A rozcięte czoło i usta - spytał Dundy drwiąco - to niby skąd?

- Zapytaj go - zaproponował Spade. - Może skaleczył się przy goleniu.

Cairo odezwał się, zanim zdołano go zapytać, a mięśnie twarzy drżały mu nerwowo z wysiłku, aby zatrzymać uśmiech.

- Upadłem. Chcieliśmy udąć, że wydzieramy sobie rewolwer, kiedy będziecie wchodzili, ale upadłem. Zaczepiłem nogą o brzeg dywanu i upadłem, gdy udawaliśmy, że się bijemy.

- Tere fere - rzekł Dundy.

- Możesz wierzyć albo nie - powiedział Spade. - W każdym razie to jest nasza wersja i będziemy przy niej obstawali. Tak czy inaczej, gazety ją zamieszczą i będzie śmiech, czy kto uwierzy, czy nie. I co zrobisz? Czy to zbrodnia zakpić sobie z gliniarza? Do nikogo z nas nie możesz się przyczepić. Wszystko, co ci powiedzieliśmy, to kawał. Co nam możesz zrobić?

Dundy obrócił się tyłem do Spade'a i chwycił Caira za barki.



- Nie ujdzie ci to na sucho - warknął potrząsając Lewantyńczykiem. - Darłeś się o pomoc i będziesz ją miał.

- Nie, proszę pana - wybełkotał Cairo. - To był kawał. On mówił, że jesteście jego przyjaciółmi i poznacie się na żartach.

Spade roześmiał się. Dundy obrócił Caira szorstko, chwyciwszy go jedną ręką za kark, a drugą za przegub dłoni.

- To zabiorę cię i tak za bezprawne posiadanie broni - rzekł. - A was też i zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

Cairo zwrócił zaniepokojone oczy na Spade'a.

- Nie bądź głupi, Dundy. Z rewolwerem też kawał. To mój rewolwer. - Rozejrzał się. - Szkoda, że to kaliber trzydzieści dwa, bo jeszcze byś wpadł na pomysł, że właśnie z niego zastrzelono Thursby'ego i Milesa.

Dundy puścił Caira, obrócił się na pięcie i jego prawa pięść wylądowała na podbródku Spade'a. Brigid O'Shaughnessy wydała krótki okrzyk.

Uśmiech Spade'a zgasł w momencie uderzenia, ale natychmiast powrócił, trochę jakby senny. Spade zrobił mały krok do tyłu, aby odzyskać równowagę; tęgie, spadziste ramiona naprężyły się pod marynarką. Nim jednak jego pięść zdążyła dotrzeć do Dundy'ego, stanął między nimi Tom Polhaus, krępując ruch ramion Spade'a swoim beczkowatym brzuchem i własnymi ramionami.

- Nie, nie, na miłość boską! - błagał.

Po długiej chwili bezruchu mięśnie Spade'a rozprężyły się.

- No to zabieraj go stąd, szybko! - Uśmiech znów znikł z jego twarzy, była teraz ponura i troszkę blada.

Tom, stojąc tuż przed Spade'em i trzymając ręce na jego ramionach, odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na porucznika Dundy. Małe oczka Toma były pełne wyrzutu.

Dundy stał z zaciśniętymi pięściami, mocno wparty lekko rozstawionymi nogami w podłogę, ale wyraz okrucieństwa w jego twarzy łagodziły wytrzeszczone oczy, ukazujące białko między tęczówkami a górnymi powiekami.

- Weź ich nazwiska i adresy - rozkazał.

Tom spojrzał na Caira, który szybko powiedział:

- Joel Cairo, hotel „Belvedere”.

Zanim Tom zdążył zapytać Brigid, Spade powiedział: Możesz zawsze skomunikować się z

panną O'Shaughnessy przeze mnie.

Tom spojrział na Dundy'ego. Dundy ryknął:

- Weź jej adres!

- Ona posługuje się adresem mego biura. Dundy zrobił krok w stronę dziewczyny.

- Gdzie pani mieszka? - spytał. Spade zwrócił się do Toma:

- Zabierz go stąd. Mam już tego dosyć.

Tom spojrział Spade'owi w oczy, surowe i połyskujące, i mruknął: - Spokojnie, Sam. - Zapiął płaszcz, spytał Dundy'ego pozornie obojętnym tonem: - To wszystko? - i ruszył w stronę drzwi.

Dundy nie zdołał ukryć niezdecydowania. Cairo ruszył pośpiesznie ku drzwiom.

- Ja też już pójdę - rzekł - jeśli pan Spade będzie tak uprzejmy i da mi mój płaszcz i kapelusz.

- Po co ten pośpiech? - spytał Spade.

- To wszystko było tylko dla kawału - powiedział Dundy - jednak boi się pan z nimi zostać.

- Ależ nie - odparł Lewantyńczyk, wiercąc się niespokojnie i nie patrząc na żadnego z nich - tylko już jest dosyć późno i... i ja już pójdę. Wyjdę z panami, jeśli nie macie, panowie, nic przeciwko temu.

Dundy zacisnął usta i nic nie powiedział. Jego zielone oczy połyskiwały. Spade podszedł do szafy w przedpokoju, wyjął płaszcz i kapelusz Caira i przyniósł do pokoju. Twarz miał bez wyrazu. Głos również był bez wyrazu, kiedy podawszy płaszcz Lewantyńczykowi, rzekł do Toma:

- Powiedz mu, żeby zostawił rewolwer.

Dundy wyjął rewolwer z kieszeni płaszcza i położył na stole. Wyszedł pierwszy, a za nim Cairo. Tom zatrzymał się koło Spade'a i mruknął:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Sam - a nie otrzymawszy odpowiedzi, westchnął i wyszedł również.

Spade udał się za nimi do przedpokoju i stał tam, póki Tom nie zamknął za sobą drzwi od korytarza.

## 9. Brigid

Spade wrócił do pokoju i usiadł w rogu kanapy z łokciami na kolanach, twarzą w dłoniach i wzrokiem wbitym w podłogę. Nie spojrział nawet na Brigid O'Shaughnessy, która uśmiechała się do niego słabo z fotela. Oczy mu pałały. Zmarszczki pomiędzy brwiami pogłębiły się. Nozdrza poruszały się przy oddechu.

Brigid O'Shaughnessy, widząc, że nie zamierza podnieść na nią wzroku, przestała się uśmiechać i patrzyła na niego ze wzrastającym niepokojem.

Nagle do jego twarzy napłynęła wściekłość i zaczął mówić szorstkim, gardłowym głosem. Klął Dundy'ego na czym świat stoi, bez przestanku przez całe pięć minut, klął nieprzyzwoicie, bluźnierczo, kończąc i rozpoczynając na nowo.

Potem odjął ręce od twarzy, popatrzył na dziewczynę, uśmiechnął się potulnie i rzekł:

- Dziecinada, co? Wiem, ale, rany, naprawdę nie cierpię dostać w pysk i nie oddać. - Delikatnie dotknął palcami podbródka. - Choć wcale mnie tak mocno nie uderzył. - Roześmiał się i rozsiadł wygodnie na kanapie, zakładając nogę na nogę. - Niezbyt wysoka cena za zwycięstwo. - Ściągnął brwi.: - Zapamiętam to sobie.

Dziewczyna uśmiechnięta wstała z fotela i usiadła obok niego na kanapie.

- Jest pan najgwałtowniejszym człowiekiem, jakiego znam - powiedziała. - Czy zawsze postępuje pan tak arogancko?

- Przecież pozwoliłem mu się uderzyć.

- No tak, ale to funkcjonariusz policji.

- Nie o to chodzi - wytłumaczył Spade. - Chodzi o to, że kiedy go poniosło i uderzył mnie, przeciągnął strunę. Gdybym mu oddał, nie mógłby się wycofać. Musiałby wtedy doprowadzić całą rzecz do końca i poszlibyśmy z naszą idiotyczną opowieścią na komendę. - Popatrzył w zamyśleniu na dziewczynę i spytał: - Co pani zrobiła Joelowi?

- Nic - zaczerwieniła się. - Chciałam go nastraszyć, żeby siedział cicho, póki nie odejdą, i nie wiem, czy go za bardzo nastraszyłam, czy on był za bardzo uparty, dość, że krzyknął.

- I wtedy rąbnęła go pani rewolwerem?

- Musiałam. Napadł na mnie.

- Pani sama nie wie, co robi. - Uśmiech Spade'a nie skrywał rozdrażnienia. - Tak jak powiedziałem: porusza się pani po omacku.

- Przepraszam - powiedziała głosem pełnym skruchy.

- Nie szkodzi. - Wyjął tytoń i bibułkę z kieszeni i zaczął zwijać skręta. - No, porozmawiała pani z Cairem, a teraz może pani rozmawiać ze mną.

Przyłożyła koniuszek palca do ust i zaczęła patrzeć przed siebie rozszerzonymi oczami, potem je zmrużyła i szybko spojrzała na Spade'a. Był pochłonięty zwijaniem papierosa.

- O tak... - zaczęła - oczywiście...

Odjęła palec od ust i wygładziła suknię na kolanach. Spade poślinił bibułkę i skleił papierosa.

- No więc? - spytał sięgając po zapalniczkę.

- Ale ja - powiedziała robiąc przerwy pomiędzy słowami, jakby pieczołowicie je dobierała - nie miałam czasu dokończyć z nim rozmowy. - Oderwała wzrok od swoich kolan i spojrzała na Spade'a szczerymi oczyma. - Przeszkadzono nam, zanim zaczęliśmy rozmawiać.

Zapalił papierosa i roześmiał się z ustami pełnymi dymu.

- Czy mam zadzwonić i poprosić, żeby wrócił?

Potrząsnęła z powagą głową. Patrzyła na niego zaciekawiona. Spade wyciągnął rękę za jej plecami i położył dłoń na gładkim, nagim ramieniu. Oparła się o jego bark.

- No więc słucham - powiedział.

Zwróciła głowę ku niemu, uśmiechając się z żartobliwym zuchwalstwem.

- I po to trzyma pan tu rękę? - spytała.

- Nie.

Puścił jej ramię i cofnął rękę.

- Jest pan zupełnie nieobliczalny.

Skinął głową i powiedział grzecznym tonem:

- Słucham.

- Ach, jak już późno! - wykrzyknęła wskazując palcem budzik ustawiony na książce, który pokazywał za dziesięć trzecią.

- Aha, mieliśmy dość pracowity wieczór.

- Muszę już iść. - Wstała z kanapy. - To okropne. Spade nie ruszył się z miejsca. Potrząsnął głową i rzekł:

- Najpierw musi mi pani opowiedzieć.

- Ależ proszę spojrzeć na zegarek - protestowała - to zajęłoby parę godzin.

- Więc zajmie, trudno.
- Chyba nie jestem pana więźniem? - spytała rozweselona.
- No, a co będzie z tym chłopcem przed domem? Może nie poszedł jeszcze spać.

Znikło całe jej rozweselenie.

- Sądzi pan, że jeszcze czeka?
- Bardzo prawdopodobne. Zadrzała.
- Czy mógłby pan sprawdzić?
- Mógłbym zejść na dół i zobaczyć.
- Och, to... proszę pójść.

Spade chwilę przyglądał się jej twarzy badawczo, a potem wstał i powiedział:

- Dobrze. - Wyjął płaszcz i kapelusz z szafy. - Wrócę za jakieś dziesięć minut.
- Niech pan będzie ostrożny - prosiła, odprowadzając go do drzwi.
- Dobrze - odparł i wyszedł.

Post Street była pusta. Spade doszedł do pierwszej przecznicy na wschód, przeszedł na drugą stronę ulicy, przemierzył dwa bloki na zachód, znowu przeszedł na drugą stronę ulicy i wrócił do domu nie zauważwszy nikogo oprócz dwóch mechaników naprawiających samochód w garażu.

Kiedy otworzył drzwi swojego mieszkania, Brigid O'Shaughnessy stała w przedpokoju z rewolwerem Caira w ręku.

- Jeszcze jest - powiedział Spade.

Zagryzła wargę i wróciła do bawialni. Spade wszedł za nią, położył płaszcz i kapelusz na krześle, powiedział:

- Więc będziemy mieli czas porozmawiać - i wyszedł do kuchni.

Postawił dzbanek z kawą na ogniu i właśnie kroił bułkę paryską, kiedy Brigid podeszła do drzwi kuchni, stanęła i przyglądała mu się zamyślonymi oczami. Palcami lewej dłoni gładziła rewolwer, który wciąż trzymała w prawej ręce.

- Tam jest obrus - powiedział Spade wskazując nożem do krajania chleba w stronę kredensu.

Nakryła do stołu, podczas gdy on smarował owalne kromki pasztetówką i kładł na nie peklowaną wołowinę. Następnie nalał do filiżanek kawę, dodał do niej troszeczkę brandy z pękatej

butelki i usiedli do stołu. Siedzieli obok siebie na jednej z ławek. Brigid położyła rewolwer przy sobie.

- Może pani zaczynać między jednym kęsem a drugim - powiedział.

Wykrzywiła się do niego.

- Ale pan natarczywy - poskarżyła się i ugryzła kanapkę.

- Tak, i wściekły, i nieobliczalny. Co to za ptak ten sokół, który doprowadza wszystkich do białej gorączki?

Przełknęła kęs bułki z wołowiną, spojrzała uważnie na wygryzione w kanapce małe półkole i spytała:

- A gdybym panu nie powiedziała? Gdybym nie powiedziała ani słowa? Co by pan zrobił?

- O ptaku?

- Nie, w ogóle.

- Byłbym tak zaskoczony - rzekł ukazując w uśmiechu wszystkie zęby - że nie wiem, co mógłbym zrobić.

- No, ale co? - przeniosła uwagę z kanapki na jego twarz. - Chciałabym wiedzieć, co by pan zrobił.

Potrząsnął głową. W jej uśmiechu była drwina.

- Jakieś szaleństwo, coś nieobliczalnego?

- Może. Ale nie wiem, co pani chce zyskać przez to ukrywanie. Sprawa tak powoli wychodzi na jaw. Niewiele o niej wiem, ale trochę wiem, a jeszcze trochę się domyślam i jeśli jutro okaże 'się tak owocne jak dzień dzisiejszy, to wkrótce będę wiedział więcej niż pani.

- Przypuszczam, że tak - powiedziała, znów patrząc z poważną miną na kanapkę. - Ale tak już mam tego dosyć, tak nie cierpię o tym mówić. Czy nie byłoby... czy nie byłoby więc wszystko jedno, gdyby pan jednak sam się dowiedział?

Spade roześmiał się.

- Nie wiem. Musi się pani zastanowić. Jak ja chcę w coś wniknąć, to biorę klucz francuski i walę dziko i nieobliczalnie w sam środek maszynerii. Mnie ten sposób odpowiada, tylko czy pani jest pewna, że żaden z odłamków nie trafi w panią?

Poruszyła niespokojnie nagimi ramionami i nic nie powiedziała. Przez kilka minut jedli milcząc - on flegmatycznie, ona w zamyśleniu. Potem powiedziała ściszym głosem:

- Boję się pana i w tym sęk.

- To nieprawda.

- Prawda - obstawała. - Znam dwóch ludzi, których się boję, i obu dziś widziałam.

- Rozumiem, że boi się pani Cairra - rzekł Spade. - On jest poza pani zasięgiem.

- A pan nie?

- Nie pod tym względem - powiedział z uśmiechem.

Zaczerwieniła się. Wzięła kawałek bułki z paszтетówką. Położyła na swoim talerzyku. Zmarszczyła białe czoło i powiedziała:

- Jak pan wie, jest to czarna figurka, gładka i połyskująca, figurka ptaka, sokoła albo kruka, mniej więcej tych rozmiarów - rozłożyła ręce na jakieś trzydzieści centymetrów.

- Czemu jest taka ważna?

Wypiła łyk kawy i potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nigdy nie chcieli mi powiedzieć. Obiecali mi pięćset funtów, jeśli pomogę im ją odzyskać. A później, jak pozbyliśmy się Joela, Floyd powiedział, że da mi siedemset pięćdziesiąt.

- Więc figurka musi być warta co najmniej siedem tysięcy pięćset dolarów?

- Och, wiele więcej - powiedziała Brigid. - Nawet nie udawali, że chcą się ze mną równo podzielić. Po prostu najęli mnie do pomocy.

- W jaki sposób miała im pani pomóc?

Znowu podniosła do ust filiżankę. Spade, nie odrywając spojrzenia żółtoszarych oczu od jej twarzy, zaczął skręcać papierosa. Za nimi bulgotał na piecyku dzbanek z kawą.

- Wydostać ją z rąk człowieka, który ją miał - powiedziała wolno, odstawiając filiżankę - pewnego Rosjanina nazwiskiem Kemidow.

- W jaki sposób?

- Och, ależ to nieważne - zaproponowała - na nic się panu nie przyda - uśmiechnęła się zuchwale - i wcale pana nie powinno obchodzić.

- To było w Konstantynopolu? Zawahała się, skinęła i powiedziała:

- Na morzu Marmara.

- No i co się potem stało? - spytał, celując w nią papierosem.

- To wszystko. Już powiedziałam. Obiecali mi pięćset funtów za pomoc, więc im pomogłam, a wtedy stwierdziliśmy, że Joel Cairo chce nas opuścić i zabrać sokoła. Uprzedziliśmy go zatem i zrobiliśmy dokładnie to samo z nim. Ale to wcale nie poprawiło mojej sytuacji, bo Floyd nie miał najmniejszego zamiaru zapłacić mi sumy, którą obiecał. Dowiedziałam się o tym, kiedy przyjechaliśmy tutaj. Powiedział, że pojedziemy do Nowego Jorku, tam sprzeda sokoła i wypłaci mi moją część, ale wiedziałam, że kłamie. - Jej oczy pociemniały z oburzenia, stały się fioletowe, - I dlatego przyszedłam do pana, żeby mi pan pomógł dowiedzieć się, gdzie jest sokół.

- A przypuśćmy, że dostałaby go pani, to co wtedy?

- Wtedy mogłabym panu Floydowi Thursby'emu dyktować warunki.

Spade zerknął na nią i zasugerował:

- Ale pani nie wiedziałaby, gdzie się udać, żeby dostać więcej pieniędzy, niż on pani proponował, tę większą sumę, za jaką spodziewał się sprzedać sokoła?

- Nie wiedziałabym.

Spade patrzył kwaśno na popiół, który strącił z papierosa na talerz.

- Co sprawia, że ten ptak ma tak wielką wartość? - dopytywał się. - Musi pani przecież coś o tym wiedzieć, a przynajmniej domyślać się.

- Nie mam pojęcia. Spojrzał na nią.

- Z czego jest zrobiony?

- Z porcelany albo jakiegoś czarnego kamienia. Nie wiem. Nigdy nie miałam go w ręku. Widziałam tylko raz przez kilka minut. Floyd mi go pokazał.

Spade zdusił niedopałek na talerzu i pociągnął łyk kawy z filiżanki. Nie miał już kwaśnej miny. Otarł usta serwetką i rzucił ją zgniecioną na stół; powiedział obojętnym tonem:

- Pani naprawdę kłamie.

Podniosła się, stanęła przy końcu stołu, spoglądając na niego z góry pociemniałymi, zawstydzonymi oczami i lekko czerwieniąc.

- Kłamię. Zawsze kłamałam.

- Nie ma się czym chwalić. To dziecinne. - Jego głos brzmiał pogodnie. Wyszedł spomiędzy ławki i stołu. -

Czy było choć źdźbło prawdy w tym, co mi pani powiedziała?

Zwiesiła głowę. Na ciemnych rzęsach zamigotały łzy.



- Troszeczkę - szepnęła.

- Ile?

- Nie... niedużo.

Spade ujął ją pod brodę i unióśł głowę. Roześmiał się patrząc w wilgotne oczy i powiedział:

- Doleję brandy do kawy i spróbujemy jeszcze raz. Zamknęła oczy.

- Och, jestem już taka zmęczona - powiedziała drżącym głosem - tak mam już dość wszystkiego, i siebie samej, i wymyślania coraz to nowych kłamstw. Już nawet sama nie wiem, co jest kłamstwem, a co prawdą. Chciałabym...

Podniosła ręce do twarzy Spade'a i mocno przycisnęła półotwarte usta do jego ust, przywierając doń całym ciałem. Spade objął ją i przycisnął do siebie. Jego mięśnie napięły się pod niebieskimi rękawami. Dłonią z palcami zatopionymi w rudych włosach podtrzymywał jej głowę, a drugą gładził smukłe plecy. Jego oczy płonęły żółtawo.

## **10. Otomana w hotelu „Belvedere”**

Rozpoczynający się dzień przemienił ciemność nocy w lekką mgiełkę, gdy Spade się ocknął. Regularny oddech leżącej u jego boku Brigid świadczył, że jest pogrążona w głębokim śnie. Spade cichutko wstał z łóżka, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Ubrał się w łazience. Potem przeszukał ubranie dziewczyny, wyjął z kieszeni jej płaszcza płaski mosiężny klucz i wyszedł.

Poszedł do „Coronet”, sam sobie otwierając kluczem drzwi do budynku, a potem do mieszkania Brigid. Na oko nie było w jego działaniu nic skrytego - szedł śmiało. Natomiast starał się poruszać jak najciszej, aby nikt go nie słyszał.

W mieszkaniu dziewczyny zapalił wszystkie światła. Przeszukał je od ściany do ściany. Jego oczy i palce poruszały się bez widocznego pośpiechu, ale też i bez ociągania się, i powracania do rzeczy raz przejranej, sondując, badając i zgłębiając z biegłością eksperta. Każda szuflada, szafka, kącik, pudełko, torba, kuferek - zamknięte czy nie zamknięte - zostały otwarte, po czym ich zawartość zbadana dotykiem palców i wzrokiem. Każda sztuka ubrania została zrewidowana dłońmi szukającymi zniekształceń i uszami, nasłuchującymi szelestu papieru pod palcami. Ściągnął pościel z łóżka. Zajrzał pod dywany i pod każdy mebel. Spuścił rolety, żeby zobaczyć, czy nic nie ukryto na zewnątrz. Dłubał widelcem w kremach i pudrach na toalecie. Oglądał butelki i rozpylacze pod światło. Zbadał talerze, patelnie, rondle, jedzenie i schowki na jedzenie. Wysypał śmieci z kosza na rozłożone na ziemi gazety. Otworzył pokrywę od zbiornika w toalecie, spuścił wodę i zajrzał do środka. Zbadał metalowe pokrywy spustu wanny, umywalki, zlewu i wanienki do prania.

Nie znalazł czarnego ptaka. Nie znalazł też nic, co mogło mieć z czarnym ptakiem jakikolwiek

związek. Jedyńm pismem, jakie znalazł, było wydane przed tygodniem pokwitowanie wpłaconej przez Brigid O'Shaughnessy należności za miesiąc komornego. Jedyńą rzeczą, nad którą zatrzymał się dłużej w swych poszukiwaniach, była spora garść wcale ładnej biżuterii w polichromowanym pudełku zamkniętym w szufladzie toaletki.

Skończywszy pracę zaparzył sobie filiżankę kawy i wypił. Otworzył okno kuchenne, zadrapał szczyrykiem zamek - okno wychodziło na schody przeciwpożarowe - wziął kapelusz i płaszcz z kozetki w bawialni i wyszedł tą samą drogą, którą wszedł.

W drodze do domu wstąpił do sklepu, który właśnie otwierał zaspany, trzęsący się tłusciuch, i kupił pomarańcze, jaja, bułki, masło i śmietankę.

Wszedł cichutko do swego mieszkania, lecz nim zdążył zamknąć za sobą drzwi, usłyszał głos Brigid:

- Kto tam?
- Młody Spade ze śniadaniem.
- Och, nastraszyłeś mnie!

Drzwi do pokoju, które przed wyjściem zamknął, stały otworem. Dziewczyna siedziała na brzeżku łóżka, drżąca, z prawą ręką pod poduszką. Spade położył sprawunki na stole kuchennym i wszedł do pokoju. Usiadł na łóżku, pocałował ją w ramię i rzekł:

- Chciałem zobaczyć, czy ten szczeniak ciągle tkwi na posterunku, i przynieść coś na śniadanie.
- Jest jeszcze?
- Nie ma go.

Westchnęła i oparła się o niego.

- Zbudziłam się i zobaczyłam, że ciebie nie ma, a potem usłyszałam, jak ktoś wchodzi. Przeraziłam się.

Spade odgarnął palcami rude włosy z jej twarzy i powiedział:

- Przepraszam. Myślałem, że będziesz spała, jak wrócę. Czy całą noc miałaś ten rewolwer pod poduszką?
- Nie. Sam wiesz, że nie. Wskoczyłam z łóżka i wzięłam go widząc, że ciebie nie ma.

Kiedy kąpała się i ubierała, przygotowywał śniadanie i wrzucił płaski mosiężny kluczyk do kieszeni jej palta. Wyszła z łazienki gwizdząc „En Cuba”.

- Posłać łóżko? - spytała.

- Bardzo proszę. Jajka będą za parę minut. Śniadanie stało na stole, kiedy weszła do kuchni.

Usiedli tak samo jak wieczorem i zaczęli jeść z apetytem.

- Porozmawiamy o ptaku? - spytał Spade. Odłożyła widelec i popatrzyła na Spade'a. Ściągnęła brwi, usta miała zaciśnięte.

- Jak możesz mnie dziś, właśnie dziś, prosić, żebym o tym mówiła? - zaprotestowała. - Nie chcę i nie będę.

- Uparte dziewczyszko - rzekł ze smutkiem i włożył do ust kawałek bułki.

Młodzieńca, który śledził Spade'a, nie było w pobliżu, kiedy Spade i Brigid wsiadali do oczekującej taksówki. Za taksówką nie jechał żaden samochód. Nie widać też było nikogo w pobliżu „Coronet”, gdy taksówka tam przyjechała.

Brigid O'Shaughnessy nie chciała, żeby Spade wszedł z nią do mieszkania.

- Już i tak wystarczy, że wracam do domu o tej porze w wieczorowej sukni, a cóż dopiero gdybym przyszła w towarzystwie. Obym tylko nikogo nie spotkała.

- Zjemy razem obiad?

- Dobrze.

Pocałowali się. Ona weszła do domu, a on kazał szoferowi jechać do hotelu „Belvedere”.

Wszedłszy do hotelu zobaczył młodzieńca, który go przedtem śledził, siedzącego w hallu na otomanie, z której było widać windy. Młodzieniec czytał gazetę.

W recepcji Spade dowiedział się, że Caira nie ma. Zmarszczył brwi i ścisnął palcami dolną wargę. W oczach zamigotały mu żółte błyski. Podziękował urzędnikowi i odszedł.

Wolnym krokiem przeszedł przez hall do otomany, z której widać było windy, i usiadł tuż koło młodzieńca czytającego gazetę.

Młody człowiek nie podniósł oczu znad gazety. Widziany z tak bliska, wyglądał na mniej niż dwadzieścia lat. Rysy miał drobne, proporcjonalne do całej postaci, regularne. Cerę bardzo jasną. Białość policzków pokrywał mu lekki cień puszczającego się zarostu i rumieńce. Ubranie ani nie było nowe, ani też najlepszego gatunku, lecz znamionowała je surowa męska elegancja.

- Gdzie on jest? - spytał. Spade niby od niechcienia, wsypując tytoń na zgiętą brunatną bibułkę.

Chłopiec opuścił gazetę i rozejrzał się niby celowo powolnym ruchem, jakby hamując wrodzoną żywość. Spojrzał małymi, orzechowymi oczyma spod długich, podwiniętych rzęs na pierś Spade'a.

- Co? - spytał bezbarwnym, opanowanym i chłodnym jak jego szczenięca twarz głosem.

- Gdzie on jest? - Spade był pochłonięty skręcaniem papierosa.

- Kto?

- Pedzio.

Orzechowe oczy podniosły się do węzła kasztanowego krawata Spade'a i tam utkwily.

- Co ty sobie myślisz? - spytał chłopiec. - Że trafiłeś na frajera?

- Co myślę, to myślę - Spade polizał brzeżek bibułki i uśmiechnął się uprzejmie do chłopca. - Nowy Jork, co?

Chłopiec patrzył w węzeł krawata Spade'a i nie odpowiadał. Spade pokiwał głową, jakby chłopiec przytaknął, i spytał:

- Wykopali, co?

Chłopiec patrzył jeszcze przez chwilę w krawat Spade'a, potem podniósł gazetę i udawał, że czyta.

- Zjeżdżaj stąd - powiedział kątem ust.

Spade zapalił papierosa, rozsiadł się wygodnie na otomanie i rzekł pogodnym, niedbałym tonem:

- Jeszcze będziesz musiał ze mną porozmawiać, chłopaczku, chcesz czy nie chcesz. I nie tylko ty. Możesz powiedzieć o tym swojemu G.

Chłopiec szybko odłożył gazetę i odwrócił się do Spade'a, patrząc mu w krawat posępnymi, orzechowymi oczyma. Ręce chłopca leżały płasko na brzuchu.

- Uważaj, bo się doigrasz. - I dodał cichym, bezbarwnym tonem, w którym brzmiała groźba: - Powiedziałem, żebyś zjeżdżał. Zjeżdżaj!

Spade odczekał, aż kluchowaty mężczyzna w okularach i blondynka na chudych nogach znajdą się poza zasięgiem głosu. Zaśmiał się wówczas i powiedział:

- Takie numery przechodzą może na Seventh Avenue, ale nie tutaj. Tu nie Nowy Jork, chłopczyku, to mój grajdół. - Zaciągnął się papierosem i wydmuchnął podłużny, rozrzedzony obłoczek dymu. - No więc gdzie on jest?

Chłopiec powiedział dwa słowa: pierwsze zaczynało się na „od...”, drugie było zaimkiem zwrotnym „się”.

- Od takiego gadania można stracić zęby. - Głos Spade'a był nadal uprzejmy, lecz twarz mu stężała. - Musisz być grzeczny, jeżeli chcesz się tutaj kręcić.

Chłopiec powtórzył swoje dwa słowa. Spade wrzucił papierosa do wysokiego, kamiennego dzbanka obok otomany i skinął na mężczyznę, który od kilku minut stał przy kiosku z wyrobami tytoniowymi. Mężczyzna kiwnął głową i podszedł. Był w średnim wieku i średniego wzrostu, z krągłą, poślizniętą twarzą, silnie zbudowany i schludnie ubrany w ciemny garnitur.

- Jak się masz, Sam.

- Jak się masz, Luke. Uścisnęli sobie dłonie i Luke rzekł:

- Paskudna sprawa z Milesem.

- Jeszcze jak - rzekł Spade. Kiwnął głową w stronę siedzącego obok chłopca. - Czemu pozwalasz byle bandzirom wałęsać się po hallu ze spluwami w kieszeniach?

- Co? - Luke przyjrzał się chłopcu bystrymi, piwnymi oczami w surowej twarzy. - Co ty tu robisz? - spytał.

Chłopiec wstał. Wstał Spade. Chłopiec patrzył na dwóch mężczyzn - to na jednego, to na drugiego - na węzły ich krawatów. Krawat Luke'a był czarny. Stojąc przed nimi chłopiec wyglądał jak uczeń.

- No, to jak nie masz tu żadnego interesu, spływaj i nie wracaj - powiedział Luke.

- Zapamiętam was sobie - rzekł chłopiec i wyszedł. Patrzyli za nim, jak wychodził. Spade zdjął kapelusz i otarł wilgotne czoło chustką.

- Co to za typek? - spytał detektyw hotelowy.

- Cholera wie - odparł Spade - po prostu wpadł mi w oko. Wiesz coś o Joelu Cairo z sześćset trzydziestego piątego?

- Ach, ten! - detektyw zrobił oko.

- Dawno tu jest?

- Cztery dni. Dziś piąty.

- Co powiesz o nim?

- Bo ja wiem, Sam. Nie mam nic przeciwko niemu, tylko mi się jego wygląd nie podoba.

- Dowiesz się, czy nocował w domu?

- Spróbuję - obiecał detektyw i odszedł. Spade usiadł oczekując powrotu Luke'a.

- Nie - zameldował Luke powróciwszy - nie spał w swoim pokoju. A bo co?

- Nic.

- Nie ukrywaj. Wiesz, że potrafię trzymać język za zębami, a jeśli coś jest nie tego, powinniśmy wiedzieć, żeby móc ściągnąć rachunek.

- Nic w tym guście - zapewnił go Spade. - Prawdę mówiąc, pracuję dla tego faceta. Powiedziałbym ci, gdyby było coś nie w porządku.

- Spodziewam się. Mieć go na oku?

- Dziękuję, Luke. Nie zawadzi. W obecnych czasach nigdy się nie wie za wiele o ludziach, dla których się pracuje.

Dwadzieścia jeden po jedenastej, według zegara nad drzwiami windy, nadszedł od ulicy Joel Cairo. Czoło miał zabandażowane, ubranie wymięte - widać długo go nie zdejmował - twarz poszarzała, usta i powieki ociężałe. Spade zaczepił go przed recepcją.

- Dzień dobry - powiedział spokojnie.

Cairo wyprostował zmęczony grzbiet, twarz mu zeszywniała.

- Dzień dobry - odpowiedział bez entuzjazmu. Zapadło milczenie.

- Chodźmy gdzieś, gdzie można swobodnie porozmawiać - rzekł Spade.

Cairo zadarł głowę.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł. - Nasze poufne rozmowy mają zbyt nieodpowiedni dla mnie charakter, abym je pragnął kontynuować. Daruje pan moją szczerość, ale tak jest.

- Ma pan na myśli ubiegły wieczór? - Spade zrobił niecierpliwy gest głową i dłońmi. - A cóż, u licha, innego mogłem zrobić? Sądziłem, że pan to zrozumie. Skoro rozpoczyna pan z nią bójkę czy też daje się przez nią wciągnąć w bójkę, to muszę stanąć po jej stronie. Ja nie wiem, gdzie jest ten cholerny ptak. Pan też nie wie. Za to ona wie. Jakże, do diabła, mamy go zdobyć, jeżeli nie będziemy z nią w zgodzie?

Cairo zawahał się i rzekł z powątpiewaniem:

- Pan zawsze ma w pogotowiu wytłumaczenie. Spade skrzywił się.

- No, dobrze, możemy porozmawiać tutaj. - Poprowadził go do otomany. Kiedy usiedli, spytał: - Dundy zaciągnął pana na komendę?

- Tak.

- Długo znęcali się nad panem?

- Niemal do tej pory i na domiar wbrew mojej woli. - Ból i oburzenie odmalowały się w twarzy i głosie Cairra. - Nie omieszkam przedstawić tej sprawy konsulowi generalnemu Grecji i adwokatowi.

- Niech pan to zrobi. Zobacz pan, co to panu da. Co pan pozwolił z siebie wydusić? Uśmiech Cairra wyraził zadowolenie.

- Nic a nic. Trzymałem się linii, którą pan obrał uprzednio, w swoim mieszkaniu. - Uśmiech znikł nagle z jego twarzy. - Jakkolwiek wolałbym, aby pan wymyślił bardziej sensowną bajeczkę. Czuję się zdecydowanie śmiesznie powtarzając ją.

Spade uśmiechnął się drwiąco.

- Z pewnością - rzekł - ale właśnie absurdalność jest jej zaletą. Na pewno nic pan nie lapnął?

- Może pan być pewien, panie Spade, że nie. Spade zabębnił palcami po skórzanym siedzeniu otomany.

- Będzie pan jeszcze miał do czynienia z Dundym. Niech pan tylko nie puszcza pary, a wszystko będzie dobrze. I nie ma co się martwić absurdalnością naszej bajeczki. Sensowna zaprowadziłaby nas wszystkich pod klucz. - Wstał. - Chce się pan zapewne przespać, skoro przez całą noc odpierał pan szturm policji. Do zobaczenia.

Kiedy Spade wchodził do biura, Effie Perine właśnie mówiła do słuchawki: „Nie, jeszcze nie”. Odwróciła się do niego i ułożyła usta w bezgłośny wyraz: „Iva”. Potrząsnął głową.

- Dobrze, poproszę, żeby zadzwonił, jak tylko przyjdzie - powiedziała głośno i odłożyła słuchawkę na widełki. - Już trzeci raz dziś dzwoni.

Spade wydał pomruk zniecierpliwienia. Dziewczyna wskazała oczami drugi pokój biura.

- Jest panna O'Shaughnessy. Czeka niemal od dziewiątej.

Spade skinął głową, jakby się tego spodziewał, i spytał:

- Co jeszcze?

- Dzwonił sierżant Polhaus. Nie zostawił żadnej wiadomości.

- Połącz mnie z nim.

- I dzwonił pan G. Oczy Spade'a zaświeciły.

- Kto?

- G. Tak się przedstawił - mówiła rzeczowym, beznamiętnym tonem. - Gdy oznajmiłam, że ciebie nie ma, powiedział: „Proszę mu przekazać, że dzwonił G, który otrzymał jego wiadomość, i że będzie jeszcze dzwonił”.

Spade poruszył ustami, jakby próbując czegoś, co bardzo mu smakowało.

- Dziękuję ci, kochanie - rzekł. - Połącz mnie z Tomem Polhausem.

Wszedł do drugiego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Brigid O'Shaughnessy, ubrana jak podczas pierwszej wizyty w biurze, wstała i szybko podeszła do niego..

- Ktoś był w moim mieszkaniu! - wykrzyknęła. - Wszystko jest wywrócone do góry nogami.

- Czy coś zginęło? - Spade wydawał się w miarę zaskoczony.

- Nie sądzę. Nie wiem. Bałam się tam zostać. Przebrałam się jak najszybciej i przyjechałam tu. Och, na pewno ten chłopak cię wyśledził, jak szedłeś do mnie!

Spade potrząsnął głową.

- Nie, mój aniele. - Wyjął z kieszeni wczesno-popołudniową gazetę, rozłożył i pokazał jej kolumnę z nagłówkiem: KRZYK PŁOSZY WŁAMYWACZA.

Młoda kobieta nazwiskiem Carolina Beale, zajmująca samotnie mieszkanie przy Sutter Street, zbudziła się o czwartej nad ranem i usłyszała szmer czyichś kroków w sypialni. Krzyknęła. Włamywacz zbiegł. Tego samego ranka dwie inne kobiety samotnie mieszkające w tym domu zauważyły ślady obecności włamywacza w mieszkaniach. W żadnym z mieszkań nic nie zginęło.

- To tam, gdzie go zostawiłem - wyjaśnił Spade. - Wszedłem do tego budynku i dałem nura tylnymi drzwiami. Dlatego dokonano włamania do mieszkań samotnych kobiet. Wybrał z listy lokatorów samotne kobiety szukając ciebie pod przybranym nazwiskiem.

- Ale przecież obserwował twoje mieszkanie, kiedy tam byliśmy - zaproponowała.

Spade wzruszył ramionami.

- Nic nie pozwala sądzić, że pracuje sam. Mógł też pójść na Sutter Street sądząc, że pozostaniesz u mnie na noc. Jest wiele możliwości, ale ja go nie zaprowadziłem do „Coronet”.

Nie zadowolilo jej to.

- Ale tak czy owak, ktoś znalazł moje mieszkanie.

- No tak. - Patrzył ze zmarszczonymi brwiami na jej stopy. - Ciekawym, czy to mógłby być Cairo. Nie było go całą noc w hotelu, wrócił dopiero parę minut temu. Powiedział mi, że całą noc odpowiadał na krzyżowe pytania policji. Bardzo jestem ciekaw. - Odwrócił się, otworzył drzwi i spytał Effie Perine: - Dzwoniłaś do Toma?



- Nie ma go. Za parę minut spróbuję znowu.

- Dziękuję. - Spade zamknął drzwi.

Brigid O'Shaughnessy popatrzyła na niego chmurnymi oczami.

- Widziałeś się dziś z Joelem?

- Tak. Zawahała się.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - uśmiechnął się do niej. - Dlatego, moja droga, że muszę trzymać w garści wszystkie ogniwa tej zwariowanej sprawy, bo inaczej się w niej nie połapię. Objął ją ramieniem i poprowadził do swego fotela przy biurku. Pocałował ją w czubek nosa i posadził na fotelu, a sam usiadł przed nią na biurku. - Teraz musimy znaleźć dla ciebie nowe mieszkanie, prawda?

Skinęła głową z emfazą.

- Ja już tam nie wrócę.

Postukał dłonią w biurko i przybrał wyraz zamyślenia.

- Mam pomysł - rzekł. - Poczekaj chwilkę. Wyszedł z pokoju zamykając drzwi za sobą. Effie Perine sięgnęła po słuchawkę mówiąc:

- Spróbuję znowu.

- Zaczekaj. Czy twoja kobieca intuicja wciąż jeszcze ci mówi, że to dziewczę jest niewinne?

Spojrzała na niego bystro.

- Wierzę, że bez względu na okoliczności, w jakich się znalazła, jest niewinna. Czy o to ci chodzi?

- O to mi chodzi. Czy zdobyłabyś się na to, żeby jej pomóc?

- W jaki sposób?

- Przyjąć ją na parę dni do siebie?

- Do domu?

- Tak. Znowu włamano się do jej mieszkania. To już w tym tygodniu drugi raz. Byłoby lepiej dla niej, gdyby nie zostawała sama. Pomogłabyś bardzo biorąc ją do siebie.

Effie Perine pochyliła się i zapytała z przejęciem:

- Czy jest w prawdziwym niebezpieczeństwie, Sam?

- Sądzę, że tak.

Przesunęła paznokciem po ustach.

- Mama by się wystraszyła na amen. Będę musiała jej powiedzieć, że ona jest świadkiem czy kimś, kogo chcesz trzymać w ukryciu aż do ostatniej chwili.

- Jesteś kochana - rzekł Spade. - To lepiej zabierz ją teraz, od razu. Ja wezmę od niej klucz i przywiozę, co trzeba, z jej mieszkania. Zaraz, zaraz. Lepiej, żeby was nie widziano razem. Jedź teraz do domu. Weź taksówkę, ale upewnij się, czy nikt cię nie śledzi. Chyba ci to nie grozi, ale na wszelki wypadek upewnij się. Ja wyślę ją drugą taksówką za parę chwil.

## 11. Grubas

Gdy Spade, wysławszy Brigid do domu Effie Perine, wchodził do biura, rozległ się dzwonek telefonu. Spade podniósł słuchawkę.

- Halo... Tak, tu Spade... Tak, otrzymałem. Czekałem na telefon... Kto...? Pan Gutman? Ach, tak, oczywiście...! Im prędzej, tym lepiej... Dwanaście C... Dobra. Powiedzmy, za piętnaście minut... Doskonale.

Spade usiadł na rogu biurka koło telefonu i zaczął zwijać papierosa. Jego usta przybrały kształt „v” na znak zadowolenia. Oczy, obserwujące ruchy palców, błyszczały. Drzwi się otworzyły i weszła Iva Archer.

- Jak się masz, kochanie - rzekł Spade w miarę uprzejmym tonem i z takim samym wyrazem twarzy.

- Och, przebacz mi, Sam! Przebacz! - zawołała dławiącym się głosem.

Stała w progu mnąc w rękach chusteczkę z czarnym brzeżkiem i patrząc na niego wystraszonymi, zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami. Spade nie ruszył się ze swego miejsca na rogu biurka.

- Ach, głupstwo! Nic nie szkodzi. Nie ma o czym mówić.

- Ale, Sam - zawodziła żałośnie - to ja posłałam policję do ciebie. Byłam szalona, nieprzytomna z zazdrości, więc powiedziałam im przez telefon, że jeśli przyjdą do ciebie, dowiedzą się czegoś o zabójstwie Milesa.

- Czemu tak pomyślałaś?

- Och, wcale nie myślałam! Byłam szalona, Sam, chciałam ci zaszkodzić.

- Nabawiłaś mnie dużych kłopotów - objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej. - Ale już jest wszystko dobrze, tylko niech ci więcej takie wariackie pomysły nie strzelają do głowy.

- Nigdy - obiecała. - Ale nie byłeś dla mnie wczoraj wieczorem miły. Byłeś zimny i obcy i chciałeś się mnie pozbyć, a ja przyjechałam do ciebie i tak długo czekałam, żeby cię ostrzec...

- Przed czym?

- Przed Philem. Dowiedział się, że... że ty mnie kochasz, i Miles mówił mu, że chciałam się z nim rozwieść, choć on oczywiście nie miał pojęcia po co, i teraz Phil myśli, że my, że ty zabiłeś jego brata, żebyśmy mogli się pobrać. Mówił mi, że jest o tym przekonany, i poszedł wczoraj z tym na policję.

- Ładna historia - rzekł Spade łagodnie. - A ty przysłałaś mi ostrzec, a ponieważ byłem zajęty, wściekłaś się i pomogłaś temu durnemu Philowi namącić wody.

- Przepraszam cię - zaskomlała - wiem, że mi nie wybaczysz. Przepraszam, przepraszam cię, tak mi przykro...

- No myślę - zgodził się Spade. - Ze względu na mnie i na siebie samą. Czy Dundy przychodził już do ciebie po donosie Phila? Albo ktoś inny z komendy?

- Nie - z przerażenia otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy.

- To przyjdzie - rzekł - i Ippiej by było, żeby cię tu nie zastali. Czy powiedziałaś im, kto jesteś, jak dzwoniłaś?

- Och, nie! Po prostu powiedziałam, że jeśli przyjdą zaraz do twego mieszkania, to dowiedzą się czegoś o zabójstwie, i odłożyłam słuchawkę.

- Skąd dzwoniłaś?

- Ze składu aptecznego koło ciebie. Och, Sam, najdroższy...

Poklepał ją po ramieniu i powiedział przyjaznym tonem:

- To było głupie, ale już się stało. Biegnij teraz do domu i wymyśl, co powiedzieć policji. Na pewno będziesz miała z nią do czynienia. Może najlepiej byłoby wszystkiemu zaprzeczyć. - Patrzył ze ściągniętymi brwiami w jakiś odległy punkt. - A może lepiej porozum się najpierw z Sidem Wise. - Zdjął rękę z jej ramienia, wyjął wizytówkę z kieszeni, napisał kilka słów i wręczył jej. - Możesz powiedzieć Sidowi wszystko. - Ściągnął brwi. - Albo prawie wszystko. Gdzie byłaś w nocy, kiedy zabito Milesa?

- W domu - odparła bez wahania. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Byłam - upierała się.

- Nie byłaś - rzekł - ale jeżeli przy tym obstajesz, mnie to nie przeszkadza. Idź, zobacz się z Sidem. To jest zaraz na następnym rogu, taki różowawy dom, pokój osiemset dwadzieścia siedem.

- Starła się zgłębić niebieskimi oczami jego oczy.

- A czemu sądzisz, że nie byłam w domu? - zapytała wolno.

- Bo wiem, że nie byłaś.

- Ale byłam, właśnie że byłam. - Jej usta skrzywiły się, a oczy pociemniały z gniewu. - Effie ci to powiedziała - rzekła z oburzeniem. - Widziałam, jak węszy po kątach i ogląda moje ubranie. Wiesz, że ona mnie nie lubi, Sam. Czemu jej wierzysz wiedząc, że jest gotowa na wszystko, aby mi tylko dokuczyć?

- Och, kobiety! - rzekł Spade i spojrzął na zegarek. - Musisz maszerować, najdroższa. Jestem już i tak spóźniony na spotkanie. Rób, co chcesz, ale ja na twoim miejscu powiedziałbym Sidowi prawdę albo w ogóle bym nie gadał. Przemilcz to, o czym nie chcesz mówić, ale nic nie zmyślaj.

- Ja nie kłamię, Sam - zaprotestowała.

- Diabła tam nie kłamiesz - powiedział i wstał; Stała na palcach, żeby zbliżyć twarz do jego twarzy.

- Nie wierzysz mi? - Wyszepiała.

- Nie wierzę.

- I nie przebaczysz mi tego, co zrobiłam?

- Ależ przebaczam. - Schylił się i pocałował ją w usta. - No, już dobrze. Zmykaj.

Objęła go.

- Nie pójdziesz ze mną do Sida Wise? -

- Nie mogę i tylko bym przeszkadzał. - Wyplątał się z objęć i pocałował w rękę nad rękawiczką. Wziął ją za ramiona, obrócił twarzą do drzwi i leciutko pchnął.

- Zmykaj - rozkazał.

Mahoniowe drzwi apartamentu dwanaście C w hotelu „Aleksandria” otworzył chłopak, z którym Spade rozmawiał w hallu hotelu „Belvedere”. Spade powiedział mu pogodnie: „Jak się masz?”. Chłopiec nie odezwał się ani słowem. Odstąpił na bok otworzywszy drzwi.

Spade wszedł. Na jego spotkanie wyszedł opasty mężczyzna. Był bardzo tusty, z bułowatymi,

różowymi policzkami, szyją i podbródkami, z wielkim, jajowatym, pulchnym brzuchem, który zdawał się stanowić cały jego tułów, i uczepionymi doń stożkami rąk i nóg. Kiedy kroczył na spotkanie Spade'a, wszystkie te ogromne buły podnosiły się i opadały przy każdym kroku, jak złęczone banieczki mydlane, które jeszcze nie oderwały się od słomki. Oczy, pomniejszone przez otaczające je poduchy tłuszczu, miał ciemne i błyszczące. Czarne kędziorki skąpo okrywały wielką czaszkę. Ubrany był w czarną marynarkę ze ściętymi połami, czarną kamizelkę, czarny satynowy krawat z różową perłą, szare kamgarnowe spodnie w paski i lakierki. Głos jego brzmiał jak gardłowy pomruk.

- Ach, pan Spade! - rzekł entuzjastycznie i wyciągnął rękę jak tłustą różową rozgwiazdę.

- Jak się pan miewa - rzekł Spade z uśmiechem, ściskając jego dłoń.

Trzymając rękę Spade'a grubas odwrócił się, wziął go pod ramię i poprowadził po zielonym dywanie do zielonego, krytego pluszem fotela obok stolika, na którym stał syfon wody sodowej, kilka szklanek i butelka johnnie walkera na tacy, pudełko cygar corona del ritz, dwie gazety i małe brzydkie żółte steatytowe pudełko.

Spade usiadł w zielonym fotelu. Grubas zaczął napełniać dwie szklanki whisky i wodą sodową. Chłopak znikł. Drzwi w trzech ścianach pokoju były zamknięte. W czwartej ścianie, za plecami Spade'a, były dwa okna wychodzące na Geary Street.

- Dobrze zaczynamy, proszę pana - mruknął grubas odwracając się od Spade'a ze szklanką w dłoni. - Nie ufam ludziom, którzy krzyczą: „Dosyć, dosyć”, gdy im się nalewa. Jeżeli ktoś musi uważać, aby nie wypić za dużo, to znaczy, że kiedy wypije, nie ufa nawet samemu sobie.

Spade wziął szklankę i zrobił ponad nią coś jakby ukłon. Grubas podniósł swoją pod światło i śledził z aprobatą musujące banieczki.

- No, za szczere wypowiedzi i obopólne zrozumienie.

Wypili i odstawili szklanki. Grubas spojrział bystro na Spade'a i spytał:

- Czy pan jest milczkiem? Spade potrząsnął głową.

- Lubię mówić.

- Coraz lepiej! - wykrzyknął grubas. - Nie ufam milczkom. Zazwyczaj wybierają nieodpowiednią porę na gadanie i mówią nieodpowiednie rzeczy. Mówienie jest sztuką, której nie da się wykonywać mądrze, jeśli się nie ćwiczy. - Promieniał. - Zgodzimy się, proszę pana, bez najmniejszych wątpliwości. - Postawił szklankę na stole i podsunął pudełko cygar Spade'owi. - Może cygarko?

Spade wziął cygaro, przyciął i zapalił. Tymczasem grubas przysunął sobie drugi zielony fotel na dogodną odległość i postawił popielniczkę, aby obaj mogli do niej sięgnąć. Następnie wziął ze stolika szklankę, cygaro z pudełka i usadowił się na fotelu. Buły tłuszczu przestały podrygiwać. Westchnął z ukontentowaniem.

- No więc, skoro pan lubi mówić, to pogadajmy. A z miejsca panu powiem, że lubię rozmawiać z ludźmi, którzy lubią mówić.

- Doskonale. Czy będziemy mówili o czarnym ptaku?

Grubas roześmiał się i buły tłuszczu zaczęły się trząść.

- Czy będziemy mówili? - spytał. - Będziemy - zapewnił. Różowa twarz promieniała zachwytem. - Takich ludzi lubię. Ludzi podobnych do mnie. Bez żadnych ogródek, kawa na ławę. „Czy będziemy mówili o czarnym ptaku?” Będziemy. To mi się podoba. Lubię ten sposób załatwiania interesów. Ależ tak, rozmawiajmy o ptaku, ale najpierw proszę mi odpowiedzieć, choć to może niepotrzebne pytanie, chcę jednak, abyśmy się od początku dobrze rozumieli. Występuje pan tutaj jako przedstawiciel panny O'Shaughnessy?

Spade wydmuchnął długie, ukośne pasmo dymu ponad głową grubasa. W zamyśleniu spojrzął ze zmarszczonymi brwiami na popiół cygara.

- Nie mogę powiedzieć „tak” i nie mogę powiedzieć „nie” - rzekł wolno. - Jeszcze nie jestem tego pewien. - Popatrzył na grubasa i czoło mu się wypogodziło. - To zależy.

- Od czego?

Spade potrząsnął głową.

- Gdybym wiedział od czego, powiedziałbym „tak” lub „nie”.

Grubas pociągnął ze szklanki, przełknął i zasugerował:

- Może od Joela Cairo?

Szybkie: - Może - Spade'a było wymijające. Pociągnął łyk ze szklanki.

Grubas pochylił się do przodu, na ile pozwalał mu bardzo tłusty brzuch. Zarówno jego uśmiech, jak i mruczący głos były przymilne.

- Można by zatem powiedzieć, że rzecz polega na tym, które z nich będzie pan reprezentował?

- Można i tak powiedzieć.

- To będzie albo on, albo ona?

- Tego nie powiedziałem.

Oczy grubasa zabłysły. Głos zniżył do gardłowego szeptu.

- A któż jeszcze?

Spade wymierzył cygarem we własną pierś.

- Ja - powiedział.

Grubas odchylił się do tyłu i odetchnął głęboko z zadowoleniem.

- To cudowne - zamruczał. - Cudowne! Nie ma to jak ludzie, którzy mówią prosto z mostu, że dbają o siebie. Bo przecież wszyscy dbamy o siebie. Nie ufam ludziom, którzy mówią, że o siebie nie dbają.. A najwięcej nie ufam ludziom, którzy szczerze mówią, że nie dbają o siebie, bo tacy ludzie to osły, co postępują wbrew naturze ludzkiej.

Spade dmuchnął dymem z wyrazem uprzejmej uwagi na twarzy i rzekł:

- No właśnie! A teraz porozmawiajmy o czarnym ptaku.

Grubas uśmiechnął się życzliwie.

- Porozmawiajmy - rzekł. Zmrużył oczy tak, że spomiędzy poduch tłuszczu widać było tylko czarne błyski. - Panie Spade, czy ma pan pojęcie, ile można zarobić na tym ptaku?

- Nie.

Grubas pochylił się znowu i oparł różową, bułową dłoń na oparciu fotela Spade'a.

- Ha, więc gdybym panu powiedział - gdybym wymienił tylko połowę sumy! - nazwałby mnie pan kłamcą.

Spade uśmiechnął się.

- Nie, nie nazwałbym pana kłamcą, choćbym nawet to sobie pomyślał. Ale jeśli nie chce pan ryzykować, proszę mi powiedzieć, co to jest, a ja sam sobie wyliczę, ile to warte.

Grubas roześmiał się.

- Nie mógłby pan tego zrobić. Na to trzeba ogromnego doświadczenia z tego rodzaju rzeczami, a... - tu uczynił efektowną pauzę - jest to rzecz w swoim rodzaju jedyna. - Buły tłuszczu zaczęły uderzać jedna o drugą w takt jego śmiechu. Nagle przestał się śmiać, ale mięsiste usta pozostały nadal otwarte. Wpatrywał się w Spade'a z napięciem, z jakim patrzą krótkowidze: - Chciał pan powiedzieć, że pan nie wie, co to jest?

Pod wpływem zdumienia głos przestał brzmieć gardłowo. Spade zrobił niedbały gest cygarem.

- Do licha - rzekł beztrąsko - wiem, jak to wygląda. Wiem, jaką cenę ma W waszym życiu. Ale nie wiem, co to.

- Ona panu nie powiedziała?

- Panna O'Shaughnessy?

- Tak. Śliczna dziewczyna.

- Aha. Nie powiedziała.

Oczy, grubasa znów zmieniły się w czarne błyski wydostające się spoza zwałów tłuszczu. Powiedział niewyraźnie:

- Ona musi wiedzieć. - A potem spytał: - Cairo też panu nie powiedział?

- Cairo jest cwany. Chce go kupić, ale nie chce mi powiedzieć, czego jeszcze nie wiem.

Grubas zwilżył językiem wargi.

- Ile chce panu za niego zapłacić?

- Dziesięć tysięcy dolarów. Grubas roześmiał się z pogardą.

- Dziesięć tysięcy! I to dolarów, nie funtów. Cały Grek! Hm! I co pan na to?

- Powiedziałem, że jeżeli mu ptaka dostarczę, to chcę zobaczyć te dziesięć tysięcy.

- Ach, tak, jeżeli! Pięknie! - Grubas zmarszczył brwi, na ile mu pozwalało mięsiste czoło. - Oni muszą wiedzieć - rzekł półgłosem. - Wiedzą? Jak pan myśli? Wiedzą, co to jest ten ptak?

- Nic panu tu nie mogę pomóc - wyznał Spade. - Za mało mam danych, by móc cokolwiek wnieść. Cairo nie powiedział, że wie, i nie powiedział, że nie wie. Ona powiedziała, że nie wie, ale sądzę, że kłamie.

- To całkiem rozsądne - rzekł grubas, ale najwyraźniej myślał o czymś innym. Podrapał się w głowę. Zmarszczył brwi tak mocno, że na czole porobiły mu się czerwone bruzdy. Wiercił się w fotelu, na ile pozwalały mu jego tusza i rozmiar mebla. Zamknął oczy, otworzył je nagle szeroko i rzekł do Spade'a: - Może nie wiedzą. - Z nalanej twarzy zaczął znikać wyraz zatroskania, który szybko został zastąpiony wyrazem niewypowiedzianej szczęśliwości. - Jeśli nie wiedzą - zawołał - jeśli nie wiedzą, to ja jestem jedynym człowiekiem na świecie, który wie!

Usta Spade'a ściągnęły się w uśmiechu.

- Rad więc jestem, że trafiłem pod właściwy adres - rzekł.

Grubas uśmiechnął się również, ale jakoś, niewyraźnie. Wyraz szczęścia uleciał z jego twarzy i oczy stały się ostrożne. Twarz ta była uśmiechniętą maską baczących oczu, zawieszoną pomiędzy myślami grubasa a Spade'em. Oczy, unikając wzroku Spade'a, przesunęły się na szklankę przy jego łokciu. Twarz rozjaśniła się.

- Rany boskie - powiedział - pańska szklanka jest pusta.



Podniósł się, podszedł do stolika i zaczął brząkać szkłem przygotowując napój.

Spade siedział nieruchomo, póki grubas nie wręczył mu z pompą i paradą oraz żartobliwym: - Ach, takie lekarstwo nikomu nie zaszkodzi - napełnionej szklanki. Wówczas wstał, stanął tuż koło grubasa i patrząc w dół na niego twardym wzrokiem, uniósł szklankę. Głos jego zabrzmiał wyzywająco:

- Za szczere wypowiedzi i obopólne zrozumienie. Grubas zachichotał. Wypili. Grubas usiadł. Trzymał szklankę obiema rękami przy brzuchu i uśmiechał się do Spade'a.

- Otóż, proszę pana, to zadziwiające, lecz najprawdopodobniej żadne z nich nie wie dokładnie, czym jest ten ptak, a zatem nie wie tego nikt na całym bożym świecie oprócz pańskiego kornego sługi Caspera Gutmana.

- Doskonale. - Spade stał na rozstawionych nogach, jedną rękę włożył do kieszeni spodni, w drugiej trzymał szklankę. - A jak powie pan mnie, będziemy wiedzieli tylko my dwaj.

- Matematycznie bez zarzutu, proszę pana - oczy grubasa zamrugały - ale - uśmiech rozszerzył się - nie wiem na pewno, czy panu powiem.

- Nie bądź pan głupi - rzekł Spade cierpliwie. - Pan wie, co to jest. Ja wiem, gdzie to jest. I właśnie dlatego tu jesteśmy.

- A więc, proszę pana, gdzie to jest?

Spade zignorował pytanie. Grubas ściągnął usta uniósł brwi i przechylił głowę w lewo.

- Widzi pan - powiedział łagodnie - ja mam panu powiedzieć, co ja wiem, a pan nie chce mi powiedzieć, co pan wie. To niesprawiedliwe, proszę pana. O nie, nie sędzę, żebyśmy w ten sposób do czegoś doszli.

Twarz Spade'a pobladła i stała się surowa. Zaczął mówić gwałtownie, cichym, rozwścieczonym głosem:

- Zastanów się pan, i to szybko. Powiedziałem temu gówniarzowi, że nim skończycie, będziecie musieli pogadać ze mną. A teraz mówię: albo gadacie dziś, albo nie gadacie wcale. Po co ja tu tracę czas? Po diabła? Chryste Panie! Co mi, na przykład, z tego, że wiem, co jest w skarbcu? Dam sobie radę bez pana. Cholera z panem! Może i pan dałby sobie radę beze mnie, ale trzeba się było trzymać ode mnie z daleka. Teraz już przepadło. Tu, w San Francisco, nic pan beze mnie nie zrobi. Radzę się zdecydować, i to jeszcze dziś: albo spółka, albo nic.

Odwrócił się i w gniewie cisnął szklankę na stół. Szlanka uderzyła w drzewo, pękła i posypały się odłamki szkła, chlusnęła whisky na stół i podłogę. Spade, ślepy i głuchy na to, co się z nią stało, odwrócił się znów twarzą do grubasa.

Grubas poświęcił losowi szklanki tyleż uwagi co Spade. Siedział ze ściągniętymi ustami, uniesionymi brwiami i pochyloną lekko w lewo głową, z wyrazem łagodności na różowej twarzy, z

którym wysłuchał gniewnego przemówienia Spade'a. Spade, wciąż wściekły, mówił dalej:

- I jeszcze jedno, nie chcę...

Drzwi z lewej strony Spade'a otworzyły się. Wszedł chłopiec, który wpuścił Spade'a. Zamknął za sobą drzwi, stanął przed nimi z rękami płasko zwisającymi po bokach i patrzył na Spade'a. Oczy miał rozwarłe szeroko, z tak rozszerzonymi źrenicami, że wydawały się czarne. Przebiegł wzrokiem tułów Spade'a od barków do kolan i zatrzymał się na chusteczce, której kasztanowy brzeżek wyglądał z kieszonki na piersi brązowej marynarki.

- I jeszcze jedno - powtórzył Spade spoglądając złowrogo na chłopca - niechaj ten bandzior trzyma się z dala ode mnie, póki się pan nie zdecyduje. Bo ja go wykończę. Nie lubię go. On mnie denerwuje. Niech mi tylko wejdzie w drogę, zabiję jak psa.

Usta chłopca skrzywiły się w ponurym uśmiešku. Nie podniósł wzroku znad chusteczki Spade'a i nie rzekł ani słowa. Grubas powiedział pobłażliwie:

- Muszę przyznać, proszę pana, że posiada pan bardzo gwałtowne usposobienie.

- Usposobienie! - Spade roześmiał się jak szaleniec. Podszedł do krzesła, na którym leżał jego kapelusz, wziął go i włożył na głowę. Wyciągnął ramię i wymierzył palec wskazujący w brzuch grubasa. Jego gniewny głos wypełnił pokój: - Niech pan to sobie przemyśli, i to dobrze. Ma pan czas do piątej trzydzieści. Spółka albo nic. - Opuścił ramię, popatrzył jeszcze przez chwilę groźnie na łagodną twarz grubasa, potem na chłopaka i podszedł do drzwi, przez które wszedł. Z ręką na klamce odwrócił się i rzekł szorstko: - Piąta trzydzieści. Potem kłapa.

Chłopiec, patrząc w pierś Spade'a, powtórzył dwa słowa, które wypowiedział w hallu hotelu „Belvedere”. Powiedział je niegłośno. Z goryczą. Spade wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

## 12. Huśtawka

Spade jechał windą z piętra Gutmana na dół. Usta miał suche i szorstkie, twarz bladą i wilgotną od potu. Gdy wyjął chusteczkę, żeby obetrzeć twarz, spostrzegł, że ręka mu drży. Uśmiechnął się i powiedział: - Ho, ho! - tak głośno, że windziarz odwrócił głowę i spytał przez ramię:

- Słucham pana?

Udał się przez Geary Street do „Pałace Hotel” na lunch. Twarz zatraciła bladość, usta przestały być suche i ręce już nie drżały, gdy usiadł przy stole. Jadł z apetytem, ale bez pośpiechu, a potem ruszył do biura Sida Wise.

Gdy wszedł, Wise siedział i obgryzał paznokiec patrząc w okno. Odjął rękę od ust, okręcił się

na krzesła twarzą do Spade'a i powiedział:

- Sie masz, Sam. Przysuń sobie krzesło.

Spade przysunął krzesło do wielkiego, zarzuconego papierami biurka i usiadł.

- Była pani Archer? - spytał.

- Tak. - W oczach Wise'a zamigotał ledwie dostrzegalny błysk. - Żenisz się z tą panią, Sammy?

Spade westchnął z poirytowaniem przez nos.

- Rany! Teraz i ty zaczynasz? - jęknął. Króciutki, zmęczony uśmiech uniósł kąciki ust adwokata.

- Jeżeli nie - rzekł - to czeka cię robota. Spade podniósł wzrok znad papierosa, którego skręcał, i powiedział cierpko:

- Raczej chyba ciebie. Od tego jesteś. Co ona ci powiedziała?

- O tobie?

- O wszystkim, co powinienem wiedzieć.

Wise przejechał palcami po włosach, zsypując sobie łupież na ramiona.

- Powiedziała mi, że chciała uzyskać rozwód z Milesem, żeby móc...

- Wiem o tym - przerwał mu Spade. - Możesz to pominąć. Przejdź do części, której nie znam.

- Skąd mogę wiedzieć, ile ona...

- Przestań się migać, Sid - przysunął płomień zapalniczki do papierosa. - Powiedz, co chciała zataić przede mną.

Wise spojrzał na Spade'a z wyrzutem.

- Słuchaj, Sammy - zaczął - to nie... Spade wzniosł oczy ku sufitowi i jęknął:

- Boże drogi, to jest mój adwokat, który się na mnie wzbogacił, a ja mam padać na kolana i błagać, żeby mi powiedział parę słów! - Spojrzał na Sida. - A po cóż ci ją, do licha, przysłałem?

Wise zrobił grymas zmęczenia.

- Jeszcze jeden taki klient jak ty - żalił się - a znajdę się w domu wariatów. Albo w więzieniu San Quentin.

- Będziesz więc w towarzystwie większości swoich klientów. Czy powiedziała ci, gdzie była w noc zabójstwa męża?

- Tak.

- Gdzie?

- Śledziła go.

Spade wyprostował się i zamrugł oczami. Wykrzyknął z niedowierzaniem:

- Och, te kobiety! - a potem roześmiał się i spytał: - No i co widziała?

Wise potrząsnął głową.

- Niewiele. Gdy przyszedł tego wieczora na obiad, powiedział, że ma randkę w hotelu „St. Mark” i że to dla niej okazja, żeby dostać rozwód, na którym tak jej zależy. Myślała z początku, że mówi tylko tak, by jej dokuczyć. Wiedział...

- Znam tę rodzinną historię - przerwał Spade. - Pomiń to. Powiedz, co zrobiła.

- Powiem, jeżeli dasz mi mówić. Po jego wyjściu pomyślała, że może ma jednak tę randkę. Znasz Milesa. Byłoby całkiem do niego podobne...

- Charakter Milesa też możesz pominąć...

- Powinienem nic ci nie mówić - rzekł adwokat. - Wsiadła w samochód, pojechała do „St. Mark” i czekała w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Widziała go, jak wychodził z hotelu, i zauważyła, że śledził dziewczynę i mężczyznę (mówi, że to ta sama dziewczyna, z którą widziała ciebie wczoraj wieczorem), którzy wyszli z hotelu tuż przed nim. Wiedziała więc, że jest na służbie i że tylko sobie z niej zakpił. Przypuszczam, że była rozczarowana i wściekła; takie przynajmniej odniosłem wrażenie, kiedy mi opowiadała. Podpatrywała go jeszcze przez chwilę, żeby się upewnić, że śledzi tę parę, i pojechała do twego mieszkania. Nie było cię w domu.

- Która to była godzina? - spytał Spade.

- Jak przyjechała do ciebie? Między wpół do dziesiątej a dziesiątą, za pierwszym razem.

- Za pierwszym razem?

- Tak. Pojeździła z pół godziny po mieście i spróbowała drugi raz. To byłoby więc, powiedzmy, wpół do jedenastej. Ciebie wciąż nie było, więc pojechała z powrotem do śródmieścia i poszła do kina, żeby zabić czas do północy, bo spodziewała się zastać ciebie po północy. Spade zmarszczył brwi.

- Poszła do kina o wpół do jedenastej?

- Tak mówi. Do tego na Powell Street, które jest otwarte do pierwszej w nocy. Nie chciała wracać do domu, bo nie chciała tam być, jak Miles wróci. To, zdaje się, zawsze doprowadzało go do szału, zwłaszcza gdy wracał koło północy. Siedziała w kinie aż do zamknięcia. - Teraz Wise zaczął

mówić wolniej i w jego oczach ukazywały się sardoniczne błyski. - I wtedy, powiada, postanowiła nie jechać już do ciebie. Nie wiedziała, czyby ci się podobało, gdyby przyszła tak późno. Poszła zatem do „Taita”, tego na Ellis Street, zjadła coś i pojechała do domu, sama.

Wise kołysał się na krześle i czekał, co powie Spade. Twarz Spade'a była bez wyrazu.

- Wierzysz jej? - spytał.

- A ty nie?

- Bo ja wiem? Skąd mogę wiedzieć, czy to nie jest opowiadanie, którą razem ułożyliście, żeby mnie zbyć.

Wise się uśmiechnął.

- Nie ufasz nieznanym, co, Sammy?

- Nie, nie ufam. No i co dalej? Milesa nie było w domu. Musiała być już co najmniej druga i on już nie żył.

- Milesa nie było w domu - rzekł Wise. - To, zdaje się, ją rozwścieczyło. To, że nie był tam przed nią i nie wściekał się, że jej jeszcze nie ma. Wsiadła więc znów w samochód i pojechała do ciebie.

- A mnie nie było w domu. Oglądałem wtedy zwłoki Milesa. Chryste, cóż za huśtawka! No i co dalej?

- Wróciła, a Milesa wciąż nie było i gdy się rozbierała, przyszła twoja sekretarka z wiadomością o jego śmierci.

Spade nie odezwał się, póki nie skręcił starannie papierosa. Zapalając go powiedział:

- Myślę, że to całkiem niezłe sprawozdanie. Zgadza się ze wszystkimi znanymi faktami. Powinno grać.

Wise szesał palcami nową porcję łupieżu na ramiona. Przyjrzał się twarzy Spade'a zaciekawionymi oczami i spytał:

- A ty nie wierzysz? Spade wyjął papierosa z ust.

- Ani wierzę, ani nie wierzę, Sid. Nie mam o tym zielonego pojęcia.

Kwaśny uśmiech wykrzywił usta adwokata. Wzruszył ze znużeniem ramionami i rzekł:

- Masz rację: nabrałem cię. Czemu nie poszukasz sobie uczciwego adwokata, któremu mógłbyś ufać?

- Tacy adwokaci gryzą ziemię. - Spade wstał. Spojrzał drwiąco na Sida. - Robisz się obraźliwy? Mało mam na głowie, żebym musiał jeszcze pamiętać, aby być grzecznym wobec ciebie? Co złego zrobiłem? Zapomniałem klęknąć wchodząc tutaj?

Sid Wise uśmiechnął się łagodnie.

- Ty jesteś skurczybyk, Sammy.

Effie Perine stała na środku pokoju, kiedy Spade wszedł do biura. Spojrzała nań zatroskanymi oczyma i spytała:

- Co się stało? Spade zmartwiał.

- Z czym?

- Czemu ona nie przyjechała?

Spade dwoma krokami znalazł się przy Effie i chwycił ją za ramiona.

- Nie ma jej u ciebie? - krzyknął w jej przerażoną twarz.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Czekałam, czekałam i nic, a ponieważ nie mogłam dodzwonić się do ciebie, więc przyjechałam.

Spade puścił ją i wsadził ręce do kieszeni.

- Nowa huśtawka - powiedział głośnym, gniewnym głosem i wyszedł do swego pokoju. Po chwili wrócił. - Zadzwoń do matki - rozkazał. - Może już przyjechała.

Chodził po pokoju, kiedy dziewczyna telefonowała.

- Nie - powiedziała odkładając słuchawkę. - Czy... czy wysłałeś ją taksówką?

Jego chrząknięcie prawdopodobnie miało oznaczać potwierdzenie.

- Czy jesteś pewien, że... Ktoś musiał ją śledzić! Spade przestał krążyć po pokoju. Wziął się pod boki i spojrzał gniewnie na dziewczynę. Wrzasnął wściekłym głosem:

- Nikt jej nie śledził! Myślisz, że jestem uczniak? Sam wsadziłem ją do taksówki i przejechałem z nią ze dwanaście bloków, żeby się upewnić, a później, jak wysiadłem, jeszcze sprawdzałem na przestrzeni chyba sześciu.

- No tak, ale...

- Ale nie dojechała. Już mi to mówiłaś. Wierzę ci. Sądzisz, że ci nie dowierzam?

Effie Perine parsknęła pogardliwie.

- Zachowujesz się stanowczo jak uczeń.

Spade wydał gardłowy, szorstki dźwięk i ruszył ku drzwiom.

- Znajdę ją, choćby zapadła się pod ziemię - rzekł. - Siedź tu, póki nie wrócę albo nie dam znać. Na miłość boską, trzeba coś zrobić!

Wyszedł i w połowie drogi do wind zawrócił. Effie Perine siedziała przy biurku, gdy otworzył drzwi.

- Powinnaś być na tyle mądra, żeby nie zwracać na mnie uwagi, kiedy w ten sposób mówię.

- Jeżeli sądzisz, że zwracam na ciebie uwagę, to jesteś wariat - odparła - tylko - skrzyżowała ręce i dotknęła dłońmi ramion, a jej, usta poruszyły się niepewnie - nie będę mogła włożyć wieczorowej sukni co najmniej przez dwa tygodnie, ty brutalu!

Uśmiechnął się pokornie, powiedział:

- Jestem okropny, kochanie - i uklonił się z przesadną elegancją.

Na rogu na postoju były dwie taksówki. Kierowcy stali obok, rozmawiając z sobą. Spade spytał:

- Gdzie jest ten kierowca, taki blondyn z czerwoną twarzą, który był tu w południe.

- Ma pasażera - odparł jeden z kierowców.

- A wróci tu?

- Chyba tak.

Drugi kierowca spojrzał w kierunku wschodnim.

- O, właśnie jedzie.

Spade podszedł na róg i zaczekał przy krawężniku, póki czerwony na twarzy kierowca nie zaparkował. Wówczas podszedł do niego i powiedział:

- Wiozł mnie pan dziś w południe z pewną panią. Pojechaliśmy przez Stockton Street, a potem Sacramento do Jones Street i ja tam wysiadłem.

- Tak - odparł kierowca. - Pamiętam.

- Kazałem jechać na Ninth Avenue. Nie zawiózł jej pan tam. Gdzie wobec tego ją pan zawiózł?

Kierowca potarł brudną dłońią policzek i spojrzał podejrzliwie na Spade'a.

- Ja tam nic nie wiem.

- Nie obawiaj się pan - uspokoił go Spade wręczając swą wizytówkę. - A jak to nie wystarczy, możemy pojechać do waszego biura i załatwić sprawę z kierownikiem.

- Nie, to wystarczy. Zawiozłem ją do przystani promu.

- Samą?

- No tak.

- Zajeżdżaliście gdzie przedtem?

- Nie. To było tak: jak wyrzuciłem pana, pojechałem dalej Sacramento, a koło Polk zastukała w szybę i powiedziała, że chce gazetę, no to zatrzymałem się na rogu, gwizdnąłem na chłopaka i przyniósł jej gazetę.

- Jaką gazetę?

- „Cali”. Potem pojechałem jeszcze dalej Sacramento i tylko minąłem Van Ness, znowu zastukała w szybę i kazała się wieźć do przystani promów.

- Była podniecona albo co?

- Nie zauważyłem.

- A jak przyjechaliście do przystani?

- Zapłaciła i poszła.

- Czy ktoś na nią czekał?

- Jak nawet czekał, to nie widziałem.

- W którą stronę poszła?

- Na przystani? Nie wiem. Może na schody albo w stronę schodów.

- Wzięła gazetę ze sobą?

- Tak, wsadziła ją pod ramię, jak płaciła.

- Białą czy różową stroną na zewnątrz?

- Cholera, szefie, nie pamiętam. Spade podziękował kierowcy, powiedział:

- Masz pan na tytoń - i dał mu srebrnego dolara.



Spade kupił egzemplarz „Cali” i wszedł do hallu biurowca, żeby, osłonięty od wiatru, móc spokojnie przejrzeć gazetę.

Szybko przebiegł oczyma nagłówki na pierwszej stronie, potem drugiej, trzeciej. Zatrzymał się chwilę na „ARESZTOWANO PODEJRZANEGO O FAŁSZERSTWO” na czwartej stronie, i na piątej na „MŁODY CZŁOWIEK SZUKA ŚMIERCI OD KULI”. Na szóstej i siódmej stronie nic go nie zainteresowało. Na ósmej „UJĘCIE 3 MŁODYCH WŁAMYWACZY Z SAN FRANCISCO PO KRÓTKIEJ STRZELANINIE” przykuło na chwilę jego uwagę, a potem już nic, aż dopiero strona trzydziesta piąta, na której były wiadomości o pogodzie, statkach, towarach, finansach, urodzinach, ślubach, rozwodach, zgonach. Przeczytał listę zmarłych, pomiął stronę trzydziestą szóstą i siódmą - wiadomości finansowe - nie znalazł nic godnego uwagi na trzydziestej ósmej i ostatniej stronie, westchnął, złożył gazetę, wsunął do kieszeni płaszcza i zwinął sobie skręta.

Pozostał jeszcze z pięć minut w hallu biurowca, paląc papierosa i wodząc dookoła chmurnym wzrokiem. Potem poszedł do Stockton Street, zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do „Coronet”.

Otworzył sobie drzwi budynku i mieszkania kluczykiem, który mu dała Brigid O'Shaughnessy. Niebieska suknia, którą miała na sobie ubiegłego wieczora, wisiała na poręczy w nogach łóżka. Niebieskie pończochy i pantofle leżały na podłodze. Polichromowana szkatułka na biżuterię stała teraz pusta na toalecie. Spade zmarszczył czoło patrząc na nią i zwilżył językiem usta, następnie przeszedł przez pokoje rozglądając się, lecz niczego nie dotykając, **do** czym wyszedł z domu i wrócił do śródmieścia.

W drzwiach budynku, w którym mieściło się jego biuro, Spade natknął się twarzą w twarz na chłopaka od Gutmana. Chłopiec stanął na drodze Spade'a, tarasując wejście, i powiedział:

- Chodź. Chce cię widzieć.

Chłopiec trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Kieszenie były bardziej wypchane, niżby je mogły wypchać same tylko dłonie. Spade uśmiechnął się i rzekł drwiąco:

- Nie spodziewałem się ciebie przed piątą dwadzieścia pięć. Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.

Chłopiec uniósł wzrok do wysokości ust Spade'a i rzekł z wysiłkiem, jak człowiek cierpiący:

- Czepiaj się dalej, to ci niedługo nafaszeruję łeb ołowiem.

Spade zachichotał.

- Im marniejszy oprych, tym groźniejszy w pysku - powiedział wesoło. - Idziemy.

Szli Sutter Street ramię przy ramieniu. Chłopiec nie wyjmował rąk z kieszeni płaszcza. Przeszli w milczeniu mniej więcej jeden blok. Potem Spade zapytał uprzejmie:

- Kiedyś ostatni raz podkradał babom bieliznę ze sznurka?

Chłopiec niczym nie okazał, że słyszał pytanie.

- Czyś ty kiedy... - zaczął Spade i urwał.

W żółtawych oczach ukazały się leciutkie błyski. Nie powiedział już do chłopca ani słowa.

Weszli do hotelu „Aleksandria”, pojechali na dwunaste piętro i skierowali się korytarzem ku apartamentowi Gutmana. W korytarzu nie było nikogo.

Spade zwolnił nieco, tak że gdy znajdowali się około piętnastu stóp od drzwi Gutmana, był może półtorej stopy za chłopcem. Pochylił się nagle w bok i chwycił chłopca od tyłu za obie ręce tuż poniżej łokci. Skręcił ramiona chłopca do przodu tak, że dłonie w kieszeniach uniosły płaszcz do góry. Chłopiec mocował się i skręcał, lecz w uchwycie Spade'a był bezsilny. Wierzgnął w tył, lecz cios przeszedł między rozstawionymi nogami Spadek.

Spade podniósł chłopca do góry i z całej siły grzmotnął z powrotem na nogi. Uderzenie to nie wywołało wielkiego łoskotu na grubym dywanie. W momencie uderzenia dłonie Spade'a chwyciły chłopca za przeguby rąk. Chłopak, mocno zacisnąwszy zęby, nie przestawał się szarpać, lecz nie mógł się wyrwać z rąk napastnika. Zgrzytnął zębami i dźwięk ten zmieszał się z przyspieszonym oddechem Spade'a, w chwili gdy miażdżył chłopcu dłonie.

Przez długą chwilę trwali tak w bezruchu i napięciu. Potem ramiona chłopca zwiotczały. Spade puścił go i odstąpił do tyłu. W obu dłoniach trzymał ciężkie pistolety.

Chłopiec odwrócił się twarzą do Spade'a. Twarz ta była upiornie blada. Trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Patrzył w pierś Spade'a i nie mówił nic. Spade wsunął pistolety do kieszeni i uśmiechnął się szyderczo.

- Chodź - powiedział. - To ci przysporzy względów u twego szefa.

Podeszli do drzwi Gutmana i Spade zapukał.

### **13. Cesarski dar**

Gutman otworzył drzwi. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego tłustą twarz. Wyciągnął dłoń i powiedział:

- Ach, proszę wejść! Dziękuję, że pan był łaskaw przyjść. Proszę wejść.

Spade uściskał mu dłoń i wszedł. Chłopiec za nim. Grubas zamknął drzwi. Spade wyjął pistolety z kieszeni i podał je Gutmanowi.

- Proszę. Nie powinien mu pan pozwalać z tym biegać. Może zrobić sobie krzywdę.

Grubas roześmiał się wesoło i wziął pistolety. - No, no - powiedział - a cóż to? - Spoglądał na chłopca, to na Spade'a. Spade wyjaśnił:

- Jakiś cherlawy pętał mu je zabrał, ale kazałem oddać.

Poblady chłopiec wziął pistolety z rąk Gutmana i schował do kieszeni. Nie powiedział ani słowa. Gutman znów się roześmiał.

- No, no, proszę pana - rzekł - warto pana znać, zdumiewająca postać. Proszę wejść. Niechże pan siada i da mi kapelusz.

Chłopiec wyszedł z pokoju przez drzwi z prawej strony od wejścia.

Grubas usadził Spade'a w zielonym pluszowym fotelu przy stoliku, wcisnął mu cygaro, podał ogień, nalał do szklanek whisky i wodę sodową, włożył szklankę w rękę Spade'a i sam trzymając drugą usiadł naprzeciw.

- Spodziewam się - powiedział - że mi pan to wybaczy...

- Głupstwo - przerwał mu Spade. - Mówmy o czarnym ptaku.

Grubas przechylił głowę w lewo i patrzył na Spade'a zachwyconymi oczami.

- Dobrze - zgodził się. - Mówmy. - Pociągnął łyk ze szklanki. - Będzie to najbardziej zdumiewająca historia, jaką pan kiedykolwiek słyszał, a mówię to świadom, że człowiek pańskiego pokroju i w pańskim zawodzie musi znać wiele zdumiewających historii.

Spade skinął głową uprzejmie. Grubas wzniosł wzrok ku górze i spytał:

- Co panu wiadomo o zakonnikach szpitala świętego Jana w Jerozolimie, zwanych później między innymi rycerzami z Rodos?

Spade machnął cygarem.

- Niewiele. Tylko tyle, ile pamiętam z lekcji historii w szkole: krzyżowcy czy coś takiego.

- Bardzo dobrze. Czy pamięta pan, że Sulejman Wspaniały wygnał ich z Rodos w 1523 roku?

- Nie.

- Otóż wygnał ich, a oni osiedlili się na Krecie. I pozostali tam przez siedem lat, aż do 1530 roku, kiedy to udało im się skłonić cesarza Karola V, aby im dał - tu Gutman uniósł w górę trzy pulchne palce i jął na nich wyliczać: - Maltę, Gozp i Trypolis.

- Tak?

- Tak, proszę pana, lecz na następujących warunkach: musieli składać cesarzowi rokrocznie

haracz w postaci - uniósł palec - jednego sokoła, na znak, że Malta wciąż należy do Hiszpanii, a jeśli kiedykolwiek opuszczą wyspę, to wróci do Hiszpanii. Rozumie pan? Dawał im ją, ale pod warunkiem, że sami będą ją zamieszkiwali i nie będą mogli jej nikomu oddać ani odprzedać.

- Tak.

Grubas spojrział przez ramię na troje drzwi, przysunął swój fotel do Spade'a i zniżył głos do ochryplego szeptu:

- Czy ma pan pojęcie, jak bezmiernie zakon był w owym czasie bogaty?

- O ile pamiętam - rzekł Spade - byli dość nadziani.

Gutman uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dość nadziani, proszę pana, to łagodne słowa na określenie ich bogactwa. - Jego szept stał się cichszy i bardziej mruczący. - Tarzali się w bogactwie! Nie ma pan pojęcia, nikt nie ma pojęcia w jakim. Lata całe żerowali na Saracenach, biorąc któż wie jak wielkie łupy w klejnotach, szlachetnych metalach, jedwabiach, kości słoniowej - wszystkim, co Wschód miał najcenniejszego. To jest historia, proszę pana. Wiemy wszyscy, że święta wojna była dla nich, podobnie jak dla templariuszy, w przeważającym stopniu sprawą grabieży.

Otóż Karol V dał im Malte, a chciał za nią tylko jednego marnego' ptaka rocznie, po prostu dla formy. Czyż więc nie byłoby naturalne, gdyby ci niezmiernie bogaci rycerze zaczęli szukać sposobu wyrażenia mu wdzięczności? Tak też się stało, proszę pana, wpadli na szczęśliwy pomysł, aby pierwszego roku wysłać Karolowi nie jakieś tam mizerne ptaszysko, ale wspaniałego złotego sokoła, inkrustowanego od dzioba po ogon najpiękniejszymi klejnotami. A proszę pamiętać, że klejnoty mieli bardzo piękne, najpiękniejsze w Azji. - Tu Gutman przestał szeptać. Jego ciemne oczy badały spokojną twarz Spade'a. Zapytał:

- No i co pan powie na to?

- Cóż mogę powiedzieć?

Grubas uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To są fakty. Fakty historyczne, nie z podręcznikowej historii, nie z opowieści pana Wellsa, ale właśnie historyczne. - Pochylił się do przodu. - Archiwa zakonne, poczynawszy od dwunastego wieku, pozostają do dziś na Malcie. Nie są one wprawdzie nietknięte, lecz to, co pozostało, zawiera przynajmniej trzy - uniósł w górę trzy palce - wzmianki dotyczące inkrustowanego sokoła. Jest o nim wzmianka w *Les archives de l'ordre de Saint Jean J. Delaville Le Roulx*, wprawdzie wymijająca, ale zawsze wzmianka. Ponadto w nie opublikowanym, bo nie ukończonym w momencie śmierci autora, suplementie do *DeWorigine ed istituto del sacro militar ordine* Paoliego jest wyraźne i nieomyślne stwierdzenie faktów, które panu podaję.

- Dobra - rzekł Spade.

- Dobra. Wielki Mistrz Villiers de l'Isle Adam kazał niewolnikom tureckim w zamku Anioła wykonać tego trzydziestocentymetrowego, inkrustowanego ptaka i wysłał go Karolowi, który przebywał w Hiszpanii. Posłał ptaka galerą dowodzoną przez francuskiego rycerza imieniem Cormier czy Corvere, członka zakonu. - Głos Gutmana znów przeszedł w szept. - Galera nie dopłynęła do Hiszpanii. - Uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami i spytał: - Słyszał pan o Barbarossie, Miedzianobrodym, Chajr-ad-Din? Nie? Słynny admirał korsarzy, płynący wówczas do Algieru. Otóż, proszę pana, porwał on galerę i porwał sokoła. Ptak popłynął do Algieru. To fakt. Jest to fakt, który zamieścił w swych listach z Algieru francuski historyk Pierre Dan. Napisał on, że ptak pozostawał tam z górą sto lat, póki nie wywiózł go sir Francis Verney, awanturnik angielski, który przez pewien czas kumał się z algierskimi korsarzami. Może to nieprawda, ale Pierre Dan był o tym przekonany.

Z pewnością nie ma nic o ptaku w *Pamiętnikach rodu Verneyów w siedemnastym wieku* pani Frances Verney. Sprawdziłem. I pewne jest, że sir Francis nie posiadał ptaka, gdy umarł w 1615 roku w szpitalu w Messynie. Był bez grosza. Lecz, proszę pana, nie da się zaprzeczyć, że ptak trafił na Sycylię. Przeszedł w posiadanie Wiktora Amadeusza II wkrótce po jego koronacji w 1713 roku i został przezeń złożony w darze żonie, poślubionej w Chambery po abdykacji króla. To jest fakt, proszę pana. Ręczy za to Carutti, autor *Regno di Vittorio Amadeo II*.

Możliwe, że oni - to jest Amadeusz z żoną - wzięli ptaka z sobą do Turynu, gdy Amadeusz chciał odwołać swoją abdykację. Jakkolwiek to było, sokół stał się własnością pewnego Hiszpana z armii, która zajęła Neapol w 1734 roku, ojca Don Jose Monino y Redondo, księcia Florida-Blanca, który był ministrem Karola III. Prawdopodobnie ptak pozostawał własnością rodziny przynajmniej do końca walk karlistowskich w latach czterdziestych. Następnie pojawił się w Paryżu, właśnie gdy Paryż był pełen karlistów, którzy musieli opuścić Hiszpanię. Jeden z nich zapewne przywiózł go z sobą, lecz bez względu na to, kto to był, mało jest prawdopodobne, że znał prawdziwą wartość ptaka. Sokół bowiem został - niewątpliwie dla ostrożności w okresie zamieszek karlistowskich w Hiszpanii - pomalowany czy też pokryty powłoką z emalii i wyglądał jak dość osobliwa czarna statuetka. Tak zamaskowany ptak przez siedemdziesiąt lat przechodził z rąk do rąk sprzedawców i właścicieli, zbyt głupich, aby zajrzeć, co jest pod powłoką.

Grubas urwał, aby uśmiechnąć się i pokiwać głową z żalem. Po chwili mówił dalej:

- Siedemdziesiąt lat temu cudowny okaz, można powiedzieć, był jak piłka, którą kopano po ryzostokach Paryża, aż wreszcie w 1911 roku kupiec grecki, Charilaos Konstantinides, znalazł go w jakimś obskurnym sklepiku. Charilaos szybko zorientował się, co on przedstawia, i nabył sokoła. Najgrubsza powłoka emalii nie zdołałaby ukryć istotnej jego wartości przed wzrokiem i węchem Greka. Otóż, proszę pana, właśnie Charilaos odkrył dzieje ptaka i zidentyfikował go. Dowiedziałem się o tym i wydusiłem z niego większość faktów historycznych, a od tego czasu zdołałem samodzielnie dodać do nich jeszcze kilka szczegółów.

Charilaos nie śpieszył się ze spieniężeniem swego znaleziska. Wiedział, że chociaż wartość ptaka jest i tak niezmierna, daleko większą, nieprawdopodobną cenę będzie mógł uzyskać ustalwszy autentyczność ptaka ponad wszelkie wątpliwości. Możliwe, że chciał zrobić interes z jednym ze współczesnych następców starego zakonu, jak angielski zakon świętego Jana Jerozolimskiego, pruski *johanniterorden* lub włoskie czy niemieckie *langues* Najwyższego Zakonu Maltańskiego - wszystkie są bowiem bogate.

Grubas uniósł szklankę, uśmiechnął się spostrzegłszy, że jest pusta, i wstał, aby nalać whisky sobie i Spade'owi.

- Zaczyna mi pan trochę wierzyć? - spytał dolewając wody sodowej z syfonu.

- Nie powiedziałem, że nie wierzę.

- Nie - Gutman zachichotał - ale jaką pan miał minę!

Usiadł, pociągnął łyk ze szklanki i otarł usta białą chusteczką.

- Ażeby zabezpieczyć ptaka podczas badań historycznych, Charilaos ponownie go pomalował. Również w rok po nabyciu przezeń sokoła, a chyba w trzy miesiące, odkąd zdradził mi swój sekret, będąc w Londynie przeczytałem w „Timesie”, że dokonano włamania w jego mieszkaniu, jego zaś samego zamordowano. Nazajutrz byłem już w Paryżu. - Potrząsnął głową smutnie. -

Ptak przepadł. Szalałem. Nie wierzyłem, aby ktokolwiek wiedział, czym on jest. Byłem przekonany, że Grek powiedział tylko mnie. Ale z mieszkania ukradziono mnóstwo rzeczy i to pozwoliło mi przypuszczać, że złodziej wziął po prostu ptaka wraz z innymi przedmiotami, nie wiedząc, co on przedstawia. Bo zapewniam pana, złodziej, który by znał jego wartość, nie wziąłby z sobą nic innego, chyba że byłyby to klejnoty koronne.

Zamknął oczy i uśmiechnął się z zadowoleniem do własnych myśli. Spojrzał po chwili i rzekł:

- To było siedemnaście lat temu. Tak, proszę pana, siedemnaście lat szukałem tego ptaka. I znalazłem. Chciałem go mieć, a nie należę do ludzi, którzy się łatwo zniechęcają, gdy czegoś zapragną. - Uśmiechnął się szeroko. - Odnalazłem go w domu generała rosyjskiego, niejakiego Kemidowa, na przedmieściu Konstantynopola. Nie wiedział nic o ptaku. Był dla niego po prostu czarną emaliowaną figurką, ale upór, zwykły upór nie pozwalał mu go sprzedać. Być może, w swojej gorliwości postąpiłem niezręcznie, ale jeśli tak, to nie bardzo. Nie wiem. Wiedziałem tylko, że chcę mieć ptaka, i bałem się, że ten głupi żołdak zacznie przyglądać się bliżej, swojej własności i zeskrobie emalię. Wysłałem więc kilku - hm - agentów, by zdobyli dla mnie ptaka. No i, proszę pana, zdobyli go, lecz nie dla mnie. - Wstał i postawił szklankę na stoliku. - Będę go jednak miał. Niech pan pozwoli swoją szklankę.

- A więc ptak nie należy do nikogo z was - spytał Spade - tylko do generała Kemidowa?

- Należy? - rzekł grubas jowialnie. - Otóż, proszę pana, równie dobrze mógłby pan powiedzieć, że należy do króla hiszpańskiego, ale nie wiem, czy można przypisać prawa własności komukolwiek, prócz tego, kto go posiada. Przedmiot tej wartości, który przechodził w podobny sposób z ręki do ręki, jest najwyraźniej własnością tego, kto go ma w danej chwili.

- Więc jest teraz własnością panny O'Shaughnessy?

- Nie, proszę pana, chyba że jako mojego agenta. Spade rzekł ironicznie:

- Och!

Patrząc w zamyśleniu na korek od butelki, który trzymał w ręku, Gutman spytał:

- Czy jest jakaś wątpliwość, że ona go ma?

- Niewielka.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem dokładnie.

Grubas z łomotem postawił butelkę.

- Przecież powiedział pan, że wie. Spade zrobił niedbały gest dłonią.

- Chciałem powiedzieć, że wiem, gdzie mam szukać, gdy przyjdzie pora.

Zwały tłuszczu na twarzy Gutmana ułożyły się w trochę pogodniejszy wyraz.

- I naprawdę pan wie? - spytał.

- Tak.

- Gdzie?

Spade uśmiechnął się i odparł:

- Niech pan zostawi to mnie. To moja sprawa.

- Do kiedy?

- Aż będę gotów.

Grubas wydał usta i uśmiechając się, już tylko z lekkim niepokojem spytał:

- Gdzie jest teraz panna O'Shaughnessy?

- W moich rękach, bezpieczna i usunięta na ubocze. Gutman uśmiechnął się z aprobatą.

- Bez wątpienia - rzekł. - Zanim jednak przystąpimy do omawiania warunków, chciałbym zapytać, w jakim czasie może pan, a raczej chce pan dostarczyć sokoła?

- Za parę dni. Grubas skinął głową-

- To mi odpowiada... ale, ale zapomniałem o napojach. - Podeszedł do stołu, nalał whisky, dolał wody sodowej, postawił jedną szklankę u łokcia Spade'a, podniósł swoją do góry. - Za pomyślne rokowania i duże zyski dla nas obu.

Wypili. Grubas usiadł.

- Co pan ma na myśli mówiąc o pomyślnych rokowaniach? - spytał Spade.

Gutman uniósł swoją szklankę pod światło, popatrzył na nią z lubością, pociągnął łyk i rzekł:

- Chcę panu zrobić dwie propozycje, obie równie sprawiedliwe. Niech pan wybiera. Dam panu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w chwili doręczenia mi sokoła i drugie dwadzieścia pięć tysięcy, jak tylko znajdę się w Nowym Jorku; albo dam panu jedną czwartą - dwadzieścia pięć procent - ceny, za którą sprzedam sokoła. Proszę bardzo: albo prawie natychmiast pięćdziesiąt tysięcy dolarów, albo dużo, dużo większa suma w ciągu, powiedzmy, paru miesięcy.

Spade popił whisky i spytał:

- Jak dużo większa?

- Dużo, dużo - powtórzył grubas. - Któż to wie, o ile większa? Mógłbym powiedzieć sto tysięcy czy ćwierć miliona, ale czy uwierzy mi pan, jak wymienię prawdopodobne minimum?

- Czemu nie?

Grubas oblizał wargi i zniżył głos do pomruku.

- Co by pan powiedział na pół miliona? Spade zmrużył oczy.

- Więc sądzi pan, że ten interes jest wart dwa miliony?

Gutman uśmiechnął się pogodnie.

- Słusznie pan mówi - odparł.

Spade opróżnił szklankę i postawił na stole. Włożył cygaro do ust, wyjął, spojrzął na nie i znowu włożył w usta. Jego szarozółte oczy były lekko mętne.

- To cholerna kupa forsy. Grubas zgodził się:

- Tak, cholerna kupa forsy. - Pochylił się i poklepał Spade'a po kolanie. - Jest to murowane minimum. Albo Charilaos Konstantinides był skończonym idiotą. A przecież nie był.

Spade znów wyjął cygaro z ust, spojrzął na nie z niesmakiem, położył na popielniczce. Mocno zamknął oczy i zaraz otworzył. Zrobiły się jeszcze bardziej mętne.

- To... to minimum, tak? A maksimum? - spytał. Wyraźnie powiedział „sz” zamiast „s” w słowie maksimum.

- A maksimum? - Gutman wyciągnął rękę dłonią do góry. - Nie chcę zgadywać. Pomyślałby pan, że zwariowałem. Nie wiem. Nie da się przewidzieć, jak wysoki pułap może osiągnąć cena. To jedno jest pewne.



Spade podciągnął zwisającą dolną wargę i mocno zacisnął usta. Potrząsnął głową niecierpliwie. W jego oczach ukazał się ostry przeblysk strachu i zaraz zgasł, zatarty potęgującą się mętnością. Wstał pomagając sobie rękami wspartymi o poręcz fotela. Potrząsnął znów głową i zrobił jeden niepewny krok naprzód. Zaśmiało się głucho i mruknął:

- Ty draniu!

Gutman skoczył na nogi i odepchnął w tył swój fotel. Zwały tłuszczu na jego ciele podrygiwały. Oczy były jak dwie czarne dziury w tłustej, różowej twarzy. Spade kołysał głową na boki, póki przyćmione oczy nie skierowały się na drzwi. Zrobił jeszcze jeden krok. Grubas krzyknął ostro:

- Wilmer!

Drzwi się otworzyły i wszedł chłopiec. Spade zrobił trzeci krok. Twarz jego zszarzała, mięśnie szczęki miał napięte, jak guzy, pod uszami. Nie wyprostował już nóg po czwartym kroku i powieki niemal zupełnie zakryły mu oczy. Zrobił piąty krok.

Chłopiec podszedł i stanął trochę przed Spade'em, ale niezupełnie między nim a drzwiami. Prawą dłoń trzymał pod klapą marynarki, na sercu. Kąciki ust mu drgały.

Spade spróbował zrobić piąty krok. Chłopiec podstawił mu nogę. Spade potknął się i runął twarzą w dół. Chłopiec patrzył na Spade'a, trzymając wciąż rękę pod marynarką. Spade spróbował wstać. Chłopiec machnął prawą nogą w tył i kopnął Spade'a w skroń. Kopnięcie obróciło Spade'a na bok. Jeszcze raz spróbował wstać i zapadł w sen.

## 14. „La Paloma”

Pięć po szóstej rano, wychodząc z zakrętu korytarza od strony wind, Spade ujrzał żółte światło połyskujące zza matowej szyby drzwi swego biura. Zatrzymał się gwałtownie, zacisnął usta, spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę korytarza i podszedł do drzwi cichymi, szybkimi krokami.

Położył dłoń na klamce i nacisnął ją ostrożnie, żeby nie skrzypnęła. Nacisnął ją aż do oporu - drzwi były zamknięte. Nie wypuszczając klamki zmienił ręce i trzymał ją teraz lewą. Prawą ręką wyjął klucze z kieszeni, ostrożnie, żeby nie zadzwoniły. Oddzielił klucz biura od reszty kluczy i ściskając pozostałe dłońią włożył go w zamek. Dokonał tego bez szmeru. Oparł się na piętach, nabrał powietrza w płuca, pchnął drzwi i wszedł.

Przy biurku, z głową opartą na ramionach, a ramionami na blacie biurka, spała Effie Perine. Była owinięta, jak peleryną, płaszczem Spade'a.

Spade odetchnął ze stłumionym śmiechem, zamknął drzwi za sobą i podszedł do drzwi

drugiego pokoju. Pokój okazał się pusty. Podszedł do dziewczyny i dotknął jej ramienia.

Poruszyła się, uniosła sennie głowę i zatrzepotała powiekami. Nagle wyprostowała się i otworzyła szeroko oczy. Zobaczyła Spade'a, uśmiechnęła się, pochyliła do tyłu i przetarła oczy palcami.

- No, wróciłeś nareszcie - powiedziała. - Która godzina?

- Szósta. Co ty tu robisz?

Zatrzęsła się, otuliła szczelniej płaszczem Spade'a i ziewnęła.

- Kazałeś mi czekać, póki nie wrócisz albo nie zadzwonisz.

- Ach, to ty jesteś siostrą tego chłopca, który stał na płonącym pokładzie statku, tak?

- Nie zamierzałam... - urwała i zerwała się na nogi, zrzucając płaszcz na krzesło za sobą. Popatrzyła ciemnymi, podnieconymi oczami na jego skroń pod rondem kapelusza i wykrzyknęła: - Co ci się stało w głowę?

Prawa skroń Spade'a była sina i nabrzmiała.

- Nie wiem, czy upadłem, czy mnie ktoś wyrznął. To chyba nic poważnego, ale boli jak diabli. - Dotknął obolałego miejsca palcami, skrzywił się, uśmiechnął ponuro i wyjaśnił: - Poszedłem z wizytą, dałem się napoić usypiającymi kropelkami i obudziłem się dwanaście godzin później rozciągnięty na podłodze w ubikacji.

Zdjęła mu kapelusz z głowy.

- Wygląda okropnie - powiedziała. - Trzeba iść do lekarza. Nie możesz chodzić z taką głową.

- Nie jest tak źle, jak wygląda, tylko że głowa mnie boli, i to chyba bardziej od kropelek niż od uderzenia. - Poszedł za przepierzenie w kącie pokoju i puścił z kranu zimną wodę na chusteczkę. - Nic nie zaszło po moim wyjściu?

- Znalazłeś pannę O'Shaughnessy, Sam?

‘- Jeszcze nie. Nic się nie działo po moim wyjściu?

- Dzwonili z biura prokuratora okręgowego. Chce cię zobaczyć.

- Osobiście?

- Tak, tak wywnioskowałam. I przychodził chłopak z wiadomością, że pan Gutman chciałby bardzo porozmawiać z tobą przed piątą trzydzieści.

Spade zakręcił kran, wyjął chusteczkę i wyszedł zza przepierzenia przykładając ją do skroni.

- Wiem o tym - powiedział. - Spotkałem tego chłopca na dole, a to właśnie skutki rozmowy z panem Gutmanem.

- Czy to ten sam G, który dzwonił, Sam?

- Tak.

- A czego...

Spade patrzył na dziewczynę niewidzącymi oczami i mówił, jakby głośno porządkował myśli:

- Chce czegoś, co ja w jego mniemaniu mogę mieć. Przekonałem go, że jeśli przed piątą trzydzieści nie zawrze ze mną układu, to postaram się, żeby tego nie dostał. Wtedy - aha, na pewno - to wtedy, jak mu powiedziałem, że musiałby poczekać, parę dni, zaaplikował mi to świństwo. Mało prawdopodobne, by się spodziewał, że wyciągnę kopyta. Musiał wiedzieć, że za dziesięć, dwanaście godzin będę zdrów jak ryba. Więc pewnie odpowiedź jest taka: wyobraził sobie, że może to dostać bez mojej pomocy, podczas gdy ja będę bez czucia i nie będę mógł wtrącić swego nosa. - Skrzywił się. - Boże, żeby tylko się pomylił! - Jego oczy straciły wyraz zamyślenia. - Brigid nie odezwała się? Dziewczyna potrząsnęła głową przecząco i spytała:

- Czy to ma coś wspólnego z nią?

- Trochę.

- Ta rzecz, której on chce, należy do niej?

- Albo do króla hiszpańskiego. Kochanie, ty masz jakiegoś wuja, który wyklada historię czy coś takiego na uniwersytecie, prawda?

- Kuzyna. Czemu pytasz?

- Gdybyśmy zechcieli umilić mu życie rzekomo historyczną tajemnicą, która ma cztery Wieki, to czy moglibyśmy zaufać, że zachowa ją przez pewien czas dla siebie?

- O tak, to porządny człowiek.

- Dobra. Weź notes i ołówek.

Wzięła, co polecił, i usiadła. Spade jeszcze raz zmoczył chustkę, zrobił sobie okład, stanął przed Effie i podyktował jej historię sokoła, tak jak ją usłyszał od Gutmana, począwszy od daru Karola V dla szpitalników do - lecz nie dalej - przybycia pomalowanego ptaka do Paryża w czasie napływu karlistów. Zająknął się przy nazwiskach autorów i tytułach ich dzieł, które przytoczył Gutman, ale zdołał osiągnąć jakie takie podobieństwo fonetyczne. Resztę powtórzył z dokładnością specja od wywiadów.

Gdy skończył, dziewczyna zamknęła notes i uniosła w górę zarumienioną twarz.

- Fantastyczne! - powiedziała.

- Tak, albo śmieszne. Czy możesz teraz pójść i przeczytać to kuzynowi, a potem spytać, co on o tym myśli? Czy kiedykolwiek natrafił na coś, co mogłoby mieć z tym jakiś związek? Czy to jest prawdopodobne? Czy w ogóle jest możliwe? Czy też to zwykła lipa? Jeśli mu trzeba więcej czasu, żeby to sprawdzić, to niech sobie sprawdza, ale niech od razu powie, co o tym sądzi już teraz. I na miłość boską, niech nie puszcza pary z ust!

- Pójdę od razu - powiedziała. - A ty idź do lekarza, żeby ci opatrzył głowę.

- Najpierw zjemy śniadanie.

- Nie, ja zjem w Berkeley. Nie mogę się doczekać, co Ted na to powie.

- Dobra - rzekł Spade - tylko nie płacz, jak cię wyśmiej.

Po spokojnym śniadaniu w „Pałace”, przy którym przeczytał obie poranne gazety, Spade poszedł do domu, ogolił się, wykąpał, natarł lodem obolałą skroń i włożył świeże ubranie.

Poszedł do mieszkania Brigid O'Shaughnessy, do „Coronet”. Nikogo nie zastał. Nic się tam nie zmieniło od jego ostatniej bytności.

Poszedł do hotelu „Aleksandria”. Gutmana nie było. Nie było też nikogo z pozostałych mieszkańców apartamentu Gutmana. Spade dowiedział się, że tymi mieszkańcami byli: sekretarz grubasa, Wilmer Cook, i córka, Rhea, piwnooka, jasnowłosa siedemnastolatka, o której służba hotelowa mówiła, że jest śliczna. Powiedziano Spade'owi, że całe to towarzystwo przyjechało przed dziesięcioma dniami z Nowego Jorku i że jeszcze się z hotelu nie wyprowadziło.

Spade udał się do hotelu „Belvedere” i znalazł detektywa hotelowego w kawiarni.

- Dzień dobry, Sam. Siadaj i przekaś coś - Luke popatrzył, na skroń Spade'a: - Rany! Ale ci ktoś przygrzał!

- Dziękuję, już jadłem - rzekł Spade i usiadł, a potem dodał na temat skroni: - Tylko tak groźnie wygląda. Jak tam mój Cairo się prowadzi?

- Wyszedł wczoraj w niespełna pół godziny po tobie i od tej pory go nie widziałem. Znowu spędził noc poza domem.

- Nabiera złych obyczajów.

- Co chcesz, taki facet w dużym mieście... Kto ci nabił tego guza, Sam?

- W każdym razie nie Cairo. - Spade wpatrzył się z uwagą w srebrną kopulastą przykrywę, pod którą leżały grzanki Luke'a. - Czy nie można by rzucić okiem na jego pokój, skoro go nie ma?

- Czemu nie? Wiesz, że ja tobie idę zawsze na rękę. - Luke odsunął kawę, oparł się łokciami na

stole i wlepił oczy w Spade'a. - Ale coś mi się zdaje, że ty nie zawsze odpłacasz mi tym samym. Tak z ręką na sercu, Sam, co jest z tym facetem. Tylko nie myśl, że stawiam ci jakieś warunki. Wiesz, że jestem swój chłop.

Spade oderwał wzrok od srebrnej przykrywy. Spojrzenie miał jasne i szczere.

- Pewnie, że jesteś swój chłop - rzekł. - Ale ja nic nie ukrywam. Powiedziałem ci wszystko. Robię dla niego pewną robotę, ale nie podobają mi się jego przyjaciele, więc jestem trochę podejrzliwy.

- Ten chłopak, któregośmy wczoraj wyrzucili, jest jednym z nich.

- Tak, Luke..?

- Jednym z tych, którzy przeprowadzili Milesa na tamten świat.

Spade potrząsnął głową.

- Milesa zabił Thursby.

- A jego kto? Spade uśmiechnął się.

- To ma być tajemnica, ale powiem ci w zaufaniu - rzekł. - Zdaniem policji to ja.

Luke chrząknął i wstał mówiąc:

- Ty jesteś kot, co łazi własnymi drogami, Sam. Chodź, przetrząśniemy manele tego faceta.

Zatrzymali się przy recepcji, by Luke załatwił, że „zadzwonią, jeśli gość nadejdzie”, i poszli do pokoju Cairra. Łóżko było gładziutko zasłane, lecz papier w koszu na śmieci, nierówno zasłonięte firanki i parę zmiętych ręczników w łazience wskazywały, że sprzątaczką jeszcze tu nie była tego ranka.

Bagaż Cairra składał się z kwadratowego kufra, walizy i mniejszej walizki. W łazience było pełno kosmetyków: pudełeczek, puszek, słoików i buteleczek perfum, pudrów, kremów, płynów i środków wzmacniających. W szafie wisiał płaszcz i dwa garnitury nad trzema parami butów, starannie nałożonych na prawidła.

Obie walizki były otwarte. Zanim Spade przejrzał inne rzeczy, Luke zdążył otworzyć zamek kufra.

- Jak dotąd, nic - rzekł Spade, gdy zabrali się do przeglądania rzeczy w kufrze.

Nie znaleźli nic, co by mogło ich zainteresować.

- Czy szukamy czegoś konkretnego? - spytał Luke, zamykając kufer.

- Nie. Facet jakoby przyjechał tu z Konstantynopola. Chciałbym wiedzieć, czy naprawdę. Jak dotąd, nic nie wskazuje na to, że tak nie jest.

- Czym się zajmuje? Spade potrząsnął głową.

- To też chciałbym wiedzieć. - Poszedł w kąt pokoju i schylił się nad koszem do śmieci. - No, to nasza ostatnia nadzieja.

Wyjął z kosza gazetę. Oczy mu się rozjaśniły, gdy zobaczył, że to wczorajszy „Cali”. Złożony był stroną reklamową na zewnątrz. Spade przejrzał tę stronę, lecz nie znalazł nic godnego uwagi.

Przewrócił gazetę i popatrzył na stronę złożoną do wewnątrz, na której były wiadomości finansowe i okrętowe, pogoda, urodziny, śluby, rozwody i zgony. W lewym dolnym rogu był wydarty parocalowy kawałek drugiej kolumny.

Nad wydartym miejscem był nagłówek „Dziś przybyły” i parę linijek:

12:20 - „Capac” z Astorii. 5:05 - „Helen P. Drew” z Greenwood. 5:06 - „Albarado” z Bandonu.

Papier był wydarty wzdłuż następnego wiersza tak, że z pozostałych fragmentów liter można było odcyfrować: „z Sydney”.

Spade położył gazetę na biurku i zajrzał jeszcze raz do kosza. Znalazł kawałek papieru z opakowania, kawałek sznurka, dwie metki, kwit ze sklepu galanterii męskiej na tuzin par skarpetek i na dnie kosza kawałeczek papieru zwinięty w maleńką kulkę.

Rozwinął ostrożnie kulkę, wygładził papier na biurku i przyłożył do wydartego miejsca w gazecie. Boki pasowały doskonale, lecz między górną krawędzią wyrwanego papierka a wierszem, w którym dało się odcyfrować: „z Sydney”, brakowało jeszcze z pół cala - dość miejsca na sześć, siedem nazw statków. Odwrócił kartkę i stwierdził, że z drugiej strony brakującego kawałka była tylko część reklamy jakiegoś maklera giełdowego.

Luke, zaglądając mu przez ramię, spytał:

- O co chodzi?

- Wygląda, że facet interesuje się jakimś statkiem.

- No, to mu chyba wolno? - rzekł Luke, kiedy Spade składał gazetę i jej zgnieciony fragmentik i wsuwał je do kieszeni płaszcza. - Skończyłeś?

- Tak. Dziękuję ci bardzo, Luke. Zadzwoń do mnie, jak tylko on przyjdzie.

Spade udał się do administracji „Cali”, kupił egzemplarz z poprzedniego dnia, otworzył na stronie wiadomości okrętowych i porównał ze stroną, którą zabrał z kosza do śmieci w pokoju Caira. Brakujący fragment brzmiał następująco:

5:17 „Tahiti” z Sydney i Papeete.

6:05 „Admirał Peoples” z Astorii.

8:07 „Caddopaek” z San Pedro.

8:17 „Silverado” z San Pedro.

8:35 „La Paloma” z Hongkongu.

9:03 „Daisy Gray” z Seattle.

Przeczytał tę listę powoli, a skończywszy podkreślił paznokciem Hongkong, wyciął listę statków scyzorykiem, wrzucił gazetę oraz stronę wydartą z gazety Caira do kosza i wrócił do biura.

Usiadł przy biurku, poszukał numeru w książce telefonicznej i zadzwonił.

- Poproszę Kearny czternaście zero jeden... Gdzie stoi „Paloma”, która przyszła wczoraj rano z Hongkongu? - Powtórzył pytanie. - Dziękuję.

Przycisnął palcem widełki, potrzymał chwilę, puścił i powiedział:

- Proszę Davenport dwadzieścia zero dwa... Poproszę biuro detektywistyczne... Czy jest sierżant Polhaus...? Dziękuję... Halo, Tom, mówi Sam Spade... Tak, próbowałem cię złapać wczoraj po południu... Oczywiście, może zjemy razem lunch... Dobra.

Nie odejmując słuchawki od ucha, znowu nacisnął palcem widełki.

- Proszę Davenport zero jeden siedem zero... Halo, mówi Samuel Spade. Moja sekretarka dostała wczoraj telefon, że pan Bryan chce mnie widzieć. Proszę zapytać pana Bryana, jaka pora najbardziej mu odpowiada... Tak, Spade, S-p-a-d-e. - Nastąpiła długa przerwa. - Tak... Druga trzydzieści? Doskonale; Dziękuję. Wydzwonił piąty numer i powiedział:

- Halo, kochanie, mogę mówić z Sidem...? Halo, Sid, mówi Sam. Mam dziś o wpół do trzeciej spotkanie z prokuratorem okręgowym. Czy mógłbyś koło czwartej zadzwonić do mnie tutaj albo do niego, na wypadek gdybym potrzebował twojej pomocy? Do diabła z twoim sobotnim golfem! Masz pilnować, żebym nie trafił do mamra... Tak jest. Cześć.

Odepchnął telefon, ziewnął i zapalił papierosa. Palił sennie, póki nie weszła Effie Perine.

Effie weszła z uśmiechem, pałającymi oczami i rumieńcami na twarzy.

- Ted mówi, że to możliwe - zameldowała. - Mówi, że nie jest specjalistą w tej dziedzinie, ale nazwiska i daty zgadzają się, a w każdym razie żaden z autorów ani tytuły ich dzieł nie są zmyślone. Jest strasznie tym podniecony.

- To doskonale, jeżeli tylko nie jest zbyt podekscytowany, by móc wydać właściwą opinię.

- O, Ted nie jest taki! Za dobrze zna się na swojej robocie.

- Cała rodzinka Perine'ów jest wspaniała - rzekł Spade - razem z tobą i kłapciem sadzy na twoim nosie.

- On nie jest Perine, tylko Christy. - Schyliła głowę, żeby spojrzeć do lusterka. - To na pewno od tego pożaru. - Starła sadzę różkiem chusteczki.

- Co? Wasz entuzjizm podpalił Berkeley? Wykrzywiła się do niego, pocierając nos różowym puszką do pudru.

- Był pożar na jakimś statku, jak wracałam. Właśnie odciągali go od nabrzeża i zadymił cały nasz prom.

Spade oparł ręce na poręczach fotela.

- Czy byłaś dość blisko, żeby móc przeczytać nazwę statku?

- Tak. „La Paloma”. A bo co? Spade uśmiechnął się smutnie.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem co, siostrzyczko.

## 15. Każdy głupek...

Spade i sierżant detektyw Polhaus siedzieli przy jednym ze stolików dużego Johna w „States Hof Brau”, zajadając nóżki w galarecie. Polhaus, balansując kawałkiem jasnej galarety na widelcu, w połowie drogi między talerzem a ustami rzekł:

- Posłuchaj, Sam! Zapomnij o tamtej nocy. On się paskudnie zachował, ale sam wiesz, że każdy może wyjść z siebie, jak zaczniesz się z niego nabijać.

Spade spojrzał uważnie na detektywa.

- Czy po to chciałeś się ze mną zobaczyć? - spytał.

Polhaus skinął głową, włożył galaretkę do ust, przełknął i dodał:

- Głównie po to.

- Dundy cię przysłał?

Polhaus zrobił grymas zniechęcenia.

- Wiesz dobrze, że nie. Jest tak samo uparty jak ty-



Spade uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- O, wcale nie tak samo, Tom. Tylko mu się zdaje. Tom skrzywił się i odkroił nożem kawałek nóżek.

- Czy ty nigdy nie nabierzesz rozumu? - narzekał. - Na co się skarżysz? Co on ci zrobił? W końcu byłeś przecież górą. Po co żywić urazę? Tylko ściągasz sobie na łeb kłopoty.

Spade złożył ostrożnie nóż i widelec i oparł dłonie po obu stronach talerza. Uśmiechał się nieprzyjaźnie.

- W moim położeniu, kiedy gliniarze tyrają po nocach, żeby przysporzyć mi kłopotów, trochę więcej nie zaszkodzi. Nawet tego nie odczuję.

Polhaus poczerwieniał.

- Nie powiem, żebyś był dla mnie miły.

Spade wziął nóż i widelec, zaczął jeść. Jedli obaj w milczeniu. Po chwili Spade spytał:

- Widziałeś palący się statek w zatoce?

- Widziałem dym. Bądźże rozsądny, Sam! Dundy postąpił źle i wie o tym. Mało ci jeszcze?

- Więc twoim zdaniem powinienem pójść i wyrazić nadzieję, że niezbyt mocno uderzyłem go brodą w pięść?

Polhaus z wściekłością wbił widelec w galaretkę.

- Czy Phil Archer znowu przychodził z donosami?

- Diabła tam! Dundy wcale nie myślał, żeś ty zabił Milesa, ale co miał robić? Musiał iść po nitce. Sam wiesz, że na jego miejscu zrobiłbyś to samo.

- Tak? - w oczach Spade'a zamigotała złośliwość. - A z czegoś wnosi, że go nie zabiłem? Albo ty z czego wnosisz, że nie zabiłem? A może myślisz, że zabiłem?

Rumiana twarz Polhaus'a znów poczerwieniała.

- Milesa zabił Thursby - rzekł.

- Tak myślisz.

- Wiem na pewno. Ten webley był jego i z tego właśnie webleya zabito Milesa.

- Na pewno? - dopytywał się Spade.

- Z całą pewnością - odparł detektyw policyjny. - Znaleźliśmy chłopaka na posyłki z hotelu Thursby'ego, który widział ten rewolwer w jego pokoju owego ranka. Zwrócił na niego uwagę, bo jeszcze nigdy takiego nie widział. Ja sam nigdy nie widziałem. Powiadasz, że już się ich więcej nie produkuje. Mało prawdopodobne, żeby był taki drugi, a w każdym razie, jak ten nie był Thursby'ego, to co się stało z jego webleyem? I właśnie z niego strzelano do Milesa. - Podniósł kawałek chleba do ust, ale go cofnął i spytał: - Mówisz, że widywałeś je przedtem. Gdzie to było? - Włożył chleb do ust.

- W Anglii, przed wojną.

- No proszę.

Spade skinął głową i rzekł:

- Więc zabiłem tylko Thursby'ego?

Polhaus zaczął się kręcić na krześle, czerwieniejąc.

- Rany boskie, nigdy tego nie zapomnisz, czy co? - rzekł żałośnie. - To bzdura. Wiesz dobrze, że takie oskarżenie jest bez sensu. Obrażasz się, jakbyś sam nie był tajniakiem i nigdy nikogo nie ciągnął za język.

- Chciałeś powiedzieć, że tylko próbowaliście ciągnąć mnie za język, co?

Polhaus zaklął pod nosem i z pasją zajął się resztką nóżek na talerzu.

- No, dobrze - rzekł Spade. - Obaj wiemy, że to jest bezsensowne posądzenie. Ale co wie Dundy?

- Dundy jest tego samego zdania.

- Cóż go do tego skłoniło?

- Ech, Sam, przecież on nigdy nie myślał poważnie, że ty... - Uśmiech Spade'a kazał Polhausowi przerwać w pół zdania i zamiast tego powiedzieć: - Dowiedzieliśmy się o przeszłości tego faceta.

- Tak? Kto to był?

Bystre oczka Polhause przyjrzały się uważnie twarzy Spade'a.

Spade wykrzyknął ze złością.

- Boże, chciałbym mieć bodaj połowę tych wiadomości, które wy, wielcy cwaniacy, mi przypisujecie!

- Każdy by chciał - mruknął Polhaus. - Więc najpierw dał się poznać jako bandzior w St. Luis.

Zatrzymywano go mnóstwo razy za to i za owo, ale należał do bandy egańskiej i niewiele można mu było zrobić. Nie wiem, jak to się stało, że zrezygnował z tej osłony, w każdym razie przyskrzynili go raz w Nowym Jorku za obrabowanie domu gry - wsypała go dziewczyna - i odsiedział rok, nim Fallon go wyciągnął. Parę lat później odbył krótkoterminową odsiadkę za groźbę rewolwerem innej dziewczynie, która go sypnęła, ale później pokumał się z Dixie Monahanem i odtąd ilekroć wpadał, nie miał trudności z wyjściem na wolność. To działo się wówczas, gdy Dixie był niemal tak samo grubą rybą jak Nick Grek w szulerniach chicagoskich. Thursby z czasem objął rolę obstawy Monahana i prysnął razem z nim, gdy Monahan pokłócił się z resztą szulerskiej szpany o jakiś dług, którego nie mógł czy też nie chciał zwrócić. To było parę lat temu, mniej więcej w tym czasie, kiedy zamknięto klub wioślarski w Newport. Nie wiem, czy Dixie miał z tym coś wspólnego, w każdym razie wtedy właśnie zobaczono ich pierwszy raz razem.

- A Monahana potem widywano? - spytał Spade. Polhaus potrząsnął głową.

- Nie. - Jego małe bystre oczka spojrzały badawczo. - Chyba że ty go widziałeś albo wiesz, kto go widział.

Spade rozparł się w krześle i zaczął skręcać papierosa.

- Nie widziałem go - powiedział łagodnie. - To, co mówisz, jest dla mnie nowością.

- Wierzę - rzekł Polhaus.

Spade uśmiechnął się do niego i spytał:

- Skąd żeście wytrzasnęli tyle wiadomości o Thursbym?

- Trochę z kartoteki, a trochę... ot, zebrało się tu i ówdzie.

- Na przykład od Cairra? - teraz Spade z kolei przyjrzał się Polhausowi badawczo.

Polhaus odstawił filiżankę i potrząsnął głową.

- Od niego ani słowa. To przez ciebie facet jest dla nas skończony.

Spade roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że dwóch detektywów wysokiej klasy, czyli ty i Dundy, pracowało nad tym mięczakiem całą noc i nie mogło nic z niego wycisnąć?

- Co ty gadasz: całą noc! - zaprotestował Polhaus. - Niecałe dwie godziny. Stwierdziliśmy, że guzik, i puściliśmy go.

Spade zaśmiał się znowu i spojrzał na zegarek. Skinął na Johna i poprosił o rachunek.

- Mam po południu spotkanie z prokuratorem okręgowym - powiedział Polhausowi, kiedy czekali na resztę.

- Wezwał cię?

- Tak.'

Polhaus wstał odpychając krzesło.

- Nie przysłużysz mi się - rzekł - jeśli mu powiesz, że rozmawiałem z tobą w ten sposób.

Chudy młodzieniec z odstającymi uszami wprowadził Spade'a do gabinetu prokuratora okręgowego. Spade wszedł uśmiechając się swobodnie.

- Jak się masz, Bryan! - rzekł na powitanie.

Prokurator okręgowy Bryan wstał i wyciągnął rękę ponad blatem biurka. Był to jasnowłosy mężczyzna lat mniej więcej czterdziestu pięciu, w binoklach na czarnej wstążce, spoza których patrzyły niebieskie, natarczywe oczy. Miał szerokie usta mówcy i szeroką brodę z dołkiem pośrodku. Kiedy powiedział: - Jak się masz, Spade - w głosie jego zadźwięczała ukryta siła.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli. Prokurator nacisnął jeden z całej baterii perłowych guzików na biurku, powiedział chudemu młodzieńcowi, który ukazał się w drzwiach: - Poproś panów Thomasa i Healy - i kołysząc się w krześle zagadnął Spade'a uprzejmym tonem:

- Podobno nie bardzo ci się układa współzycie z tą policją?

Spade uczynił niedbały gest palcami prawej dłoni.

- Głupstwo - odparł. - Dundy trochę za bardzo się podnieca.

Drzwi się otworzyły i weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, którego Spade powitał słowami: - Halo, Thomas! - był opalonym, krępyim mężczyzną o niedbałym wyglądzie. Klepnął Spade'a po ramieniu piegowatą ręką, spytał: - Co nowego? - i usiadł obok. Drugi mężczyzna był młodszy i jakiś bez wyrazu. Usadowił się trochę na uboczu, położył na kolanie notes do stenografowania i trzymał w pogotowiu zielony ołówek. Spade rzucił okiem w jego stronę, zaśmiał się i spytał Bryana:

- Wszystko, co powiem, będzie użyte przeciwko mnie, prawda?

Prokurator uśmiechnął się.

- Nigdy nie zawadzi o tym pamiętać. - Zdjął binokle, popatrzył na nie i umieścił z powrotem na nosie. - Kto zabił Thursby'ego? - spytał.

- Nie wiem - odparł Spade.

Bryan potarł wstążkę od binokli w palcach i rzekł znacząco:

- Może i nie wiesz, ale na pewno masz bardzo trafne domysły.

- Mam, ale nie powiem. Prokurator okręgowy uniósł brwi.

- Nie powiem - powtórzył Spade. Był poważny. - Moje domysły mogą być bardzo trafne albo bardzo mylne, ale nie zbzikowałem jeszcze na tyle, aby się z nimi zdradzać wobec prokuratora, jego zastępcy i stenografisty.

- A czemuż to? Przecież nie masz nic do ukrywania?

- Każdy - odparł Spade łagodnie - ma coś do ukrywania.

- No a ty?

- Chociażby moje domysły.

Prokurator spuścił wzrok i zaraz podniósł go znów na Spade'a. Poprawił binokle na nosie.

- Jeśli przeszkadza ci obecność stenografisty - rzekł - możemy go wyprosić. Sprowadziłem go tutaj po prostu dla wygody.

- Ależ wcale mi nie przeszkadza - odparł Spade. - Niech zapisuje wszystko, co powiem. Chętnie to podpiszę.

- Nie musisz nic podpisywać - zapewnił go Bryan..

- Iw ogóle nie traktuj tego jako formalne przesłuchanie. Nie sądź, że wierzę, a co więcej, ufam teoriom, które wysuwa policja.

- Tak?

- Ani trochę.

Spade westchnął i założył nogę na nogę.

- Cieszę się. - Zaczął szukać w kieszeniach tytoniu i bibułki. - A jaka jest twoja teoria?

Bryan pochylił się w krześle i spojrzał na Spade'a twardymi, błyszczącymi oczyma.

- Powiedz mi, dla kogo Archer śledził Thursby'ego, a powiem ci, kto zabił Thursby'ego.

Spade zaśmiał się krótko, z pogardą.

- Mylisz się, tak samo jak Dundy.

- Nie zrozum mnie źle, Spade - rzekł Bryan, stukając kostkami palców w biurko. - Nie mówię że twój klient zabił albo spowodował zabójstwo Thursby'ego, ale wiedząc, kto jest lub był tym klientem, bardzo szybko dowiem się, z czyjej ręki Thursby zginął.

Spade zapalił papierosa, wyjął go z ust, wypuścił dym i powiedział jakby zaskoczony:

- Nic nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? No to spróbujmy z innej beczki: gdzie jest Dixie Monahan?

- Z tej beczki też nic - rzekł Spade z nie zmienionym wyrazem twarzy. - Nadal nic nie rozumiem.

Prokurator zdjął okulary i potrząsnął nimi dla podkreślenia swych słów:

- Wiadomo nam, że Thursby był w obstawie Monahana i wyjechał z nim, kiedy Monahan uznał za rozsądne zniknąć z Chicago. Wiemy, że Monahan zwiózł nie spłaciwszy zakładów na sumę około dwustu tysięcy dolarów. Nie wiemy, to znaczy, jeszcze nie wiemy, kim byli jego wierzyciele. - Włożył okulary i uśmiechnął się ponuro. - Ale wszyscy wiemy, co może się stać z szulerem, który ucieka nie spłaciwszy długu, i z jego obstawą, gdy ich odnajdą wierzyciele. Takie rzeczy już się zdarzały.

Spade zwilżył językiem wargi i ściągnął usta w niemiłym uśmiechu. Oczy mu błyszczały pod zsuniętymi brwiami. Żyły na poczerwiałej szyi nabrzmiały nad załamaniem kołnierza. Mówił głosem niskim, chrapliwym, zagniewanym:

- A więc myślisz, że ja go zabiłem z polecenia wierzycieli? Czy tylko go odnalazłem, żeby sami mogli go zabić?

- Ależ skąd! - zaprotestował prokurator. - Źle mnie zrozumiałeś.

- Daj Boże - rzekł Spade.

- On wcale nie miał tego na myśli - powiedział Thomas.

- Więc co miał na myśli? Bryan machnął ręką.

- Chciałem powiedzieć, że mogłeś być w to nieświadomie zamieszany. Taka rzecz...

- Rozumiem - zadrwił Spade. - Nie myślisz, że jestem niegrzeczny, tylko po prostu głupi.

- Bzdura - upierał się Bryan. - Przypuśćmy, że ktoś przyszedł do ciebie i poprosił o odnalezienie Monahana, mówiąc, że są powody, aby sądzić, że on jest w mieście. Ów ktoś mógłby przedstawić ci rzecz zupełnie fałszywie - każdy by tak zrobił - albo powiedziałby, że on jest zbiegłym dłużnikiem, nie podając ci żadnych szczegółów. Skąd mógłbyś wiedzieć, co za tym wszystkim się kryje? Skąd mógłbyś wiedzieć, że to nie jest zwykła, normalna robota dla detektywa? W takich okolicznościach na pewno nie można by było pociągnąć cię do odpowiedzialności, chyba że - zmienił ton na bardziej efektowny i zaczął mówić dobitnie i powoli - staniesz się współwinnym przez ukrywanie wiadomości o osobie mordercy lub informacji, która mogłaby doprowadzić do jego ujęcia.

Gniew zaczął znikać z twarzy Spade'a. Głos brzmiał już spokojnie, gdy spytał: To o to ci chodziło?

- Tak.
- W porządku. Wobec tego nie mam do ciebie urazy. Ale mylisz się.
- Udowodnij.

Spade potrząsnął głową.

- Nie mogę ci tego teraz udowodnić. Mogę tylko powiedzieć.
- Więc powiedz.
- Nikt nigdy mnie nie zatrudnił do jakiegokolwiek **Toboty** w związku z Dixie Monahanem.

Bryan i Thomas wymienili spojrzenia. Bryan powiedział:

- Ale sam przyznałeś, że ktoś cię najął do czegoś w związku z osobą strażnika Thursby'ego.
- Tak, jego byłego strażnika.
- Byłego?
- Tak, byłego.

- Wiadomo ci, że Thursby nie był już powiązany z Monahanem? Masz co do tego całkowitą pewność?

Spade wyciągnął rękę i wrzucił niedopałek papierosa do popielniczki na biurku.

- Mam całkowitą pewność tylko co do tego - rzekł niedbale - że mój klient nie interesował się Monahanem, że Monahan nigdy go nie obchodził. Słyszałem, że Thursby wywiózł Monahana na Wschód i tam go zgubił.

Znowu prokurator i jego zastępca wymienili spojrzenia.

Thomas, który mimo rzeczowego tonu nie potrafił ukryć podniecenia, rzekł:

- To stwarza inną możliwość. Przyjaciele Monahana mogli stuknąć Thursby'ego za to, że zostawił Monahana na lodzie.

- Nieżywi szulerzy nie mają przyjaciół - powiedział Spade.

- To stwarza dwie możliwości - odezwał się Bryan. Pochylił się do tyłu i przez chwilę siedział z zadartą głową, patrząc w sufit, po czym szybko się wyprostował. Jego twarz mówcy promieniała. - Sprawa zawęza się do trzech rzeczy. Po pierwsze: Thursby został zabity przez szulerów, których Monahan oszukał w Chicago. Nie wiedząc, że Thursby rzucił Monahana, lub nie wierząc w to, zabili go, bo był z nim związany albo żeby nie przeszkadzał im dobrać się do Monahana, ewentualnie

dlatego, że nie chciał ich naprowadzić na jego ślad. Po drugie: został zabity przez przyjaciół Monahana. Po trzeciej: zaprzedał Monahana w ręce wrogów, a potem poróżnił się z nimi i oni go zabili.

- Po czwarte - podsunął Spade z uśmiechem - umarł ze starości. Wy chyba żartujecie.

Obaj mężczyźni siedzieli z oczyma wybałuszonymi na Spade'a, lecz żaden z nich się nie odezwał. Spade popatrzył z uśmiechem na jednego, potem na drugiego i potrząsnął głową z politowaniem.

- Nabiliście sobie głowy Arnoldem Rothsteinem - rzekł.

Bryan palnął wierzchem jednej dłoni w drugą.

- Jedna z tych trzech możliwości stanowi rozwiązanie. - Już nie hamował siły swego głosu. Podniósł prawą rękę z wyciągniętym palcem i energicznym ruchem wycelował palec w pierś Spade'a. - A ty możesz udzielić nam informacji, która pozwoli wybrać właściwą możliwość.

- Tak? - spytał Spade leniwie. Twarz miał ponurą. Dotknął palcem dolnej wargi, popatrzył na palec, a potem podrapał się nim po karku. Na czoło wystąpiły mu gniewne zmarszczki. Odetchnął ciężko przez nos i powiedział poirytowanym tonem: - Nie spodobałaby ci się informacja," której mógłbym ci udzielić, Bryan. Nie mógłbyś jej wykorzystać. Obaliłaby twoją teorię o szulerach i zemście.

Bryan wyprostował się i nastroszył.

- Nie ty będziesz wyrokował w tej sprawie. Mam rację czy nie, jestem bądź co bądź prokuratorem okręgowym - powiedział surowym głosem.

Usta Spade'a zadrgały.

- Sądziłem, że to jest nieoficjalna rozmowa.

- Jestem zaprzysiężonym urzędnikiem prawa dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedział Bryan - i czy rozmowa jest oficjalna, czy nieoficjalna, nic nie może usprawiedliwić faktu, że ukrywasz przede mną świadectwo zbrodni, chyba że - tu skinął znacząco głową - masz po temu zasadnicze powody.

- Chciałeś powiedzieć, że powodem mogłaby być współwina? - spytał Spade. Mówił tonem spokojnym, niemal rozbawionym, lecz tonowi przeczył wyraz twarzy. - otóż mam lepsze powody, takie, które mi bardziej odpowiadają. Moi klienci mają prawo do pewnej dozy dyskrecji. Nie przeczę, że nie muszę jej zachowywać wobec sądu przysięgłych, ale jak dotąd, jeszcze mnie przed sąd nie powołano, a nie mam zamiaru rozgłaszać spraw moich klientów, póki nie jestem do tego zmuszony. Oskarżacie mnie razem z policją o udział w morderstwach tamtej nocy. Nie pierwszy raz mam z wami do czynienia. Żeby się od was odczepić, musiałbym pewnie przyprowadzić wam morderców zakutych w kajdanki. A jedyną szansę, żeby ich złapać, zakuć i przyprowadzić, mam tylko wtedy, kiedy trzymam się z dala od was i policji, bo ani wy, ani policja nie macie najwyraźniej



zielonego pojęcia, o co rzecz idzie. - Wstał i spojrzął przez ramię na stenografistę. - Zapisaleś, synu? Czy to może dla ciebie za szybko?

Stenografista spojrzął na niego spłoszonymi oczami i odparł:

- Nie, proszę pana, zapisałem.

- Dobry chłopak - pochwalił go Spade i znów zwrócił się do Bryana: - A teraz idźcie, jeśli chcecie, do komisji i powiedzcie, że przeszkadzam w wykonywaniu sprawiedliwości i żeby mi odebrano licencję. Już raz próbowaliście i tylko was wyśmiano.

Wziął kapelusz.

- Ale posłuchaj... - zaczął Bryan.

- Nie chcę więcej żadnych nieoficjalnych rozmówek. Nie mam nic do powiedzenia ani wam, ani policji i już mi zbrzydło wysłuchiwanie wyzwisk, którymi mnie obrzuca każdy głupek na magistrackim chlebie. Jeśli będziecie chcieli się ze mną zobaczyć, to zaaresztujcie mnie albo przyślijcie wezwanie sądowe, a przyjdę ze swoim adwokatem. - Włożył kapelusz, powiedział: - Do ewentualnego zobaczenia na śledztwie - i wyszedł.

## 16. Trzecie zabójstwo

Spade wstąpił do hotelu „Sutter” i zadzwonił do „Aleksandrii”. Gutmana nie było. Nie było nikogo z towarzystwa Gutmana. Spade zatelefonował do „Belvedere”. Caira nie było. Nie było go przez cały dzień. Spade poszedł do swojego biura.

W pierwszym pokoju czekał śniady, tłusty mężczyzna. Effie Perine, wskazując na śniadego mężczyznę, powiedziała:

- Ten pan pragnie z panem porozmawiać. Spade uśmiechnął się, uklonił i otworzył drzwi do drugiego pokoju.

- Proszę wejść. - Lecz nim podążył za interesantem, spytał Effie: - Jest coś nowego w tamtej sprawie?

- Nie, proszę pana.

Śniady mężczyzna był właścicielem kina na Market Street. Podejrzewał jednego z kasjerów oraz kontrolera o oszustwo. Spade kazał mu szybko podać szczegóły, obiecał zająć się sprawą, zażądał i otrzymał pięćdziesiąt dolarów i pozbył się interesanta w niespełna pół godziny.

Kiedy za właścicielem kina zamknęły się drzwi, do pokoju Spade'a weszła Effie. Jej opalona

twarz miała wyraz z troskania.

- Jeszcze jej nie znalazłeś? - zapytała. Potrząsnął głową i zaczął masować obolałe miejsce lekkimi, kolistymi ruchami palców.

- Jak twoja skroń?

- W porządku, tylko głowa mnie boli.

Podeszła, odsunęła jego rękę i zaczęła masować skroń czubkami szczupłych palców. Odchylił się do tyłu i oparł głowę o jej pierś nad oparciem krzesła.

- Jesteś kochana - powiedział. Pochyliła głowę i zajrzała mu w twarz.

- Musisz ją znaleźć, Sam. Już cały dzień... Poruszył się niecierpliwie, i przerwał jej:

- Nic nie muszę, ale jeżeli pozwolisz mi parę minut potrzymać tak spokojnie głowę, pójdę i znajdę ją.

- Biedna głowa - szepnęła Effie i głaskała jego skroń w milczeniu. Po chwili zapytała: - Wiesz, gdzie ona jest? Czy nie masz pojęcia?

Zadzwonił telefon. Spade podniósł słuchawkę.

- Halo... Tak, Sid, wszystko w porządku, dziękuję... Nie... Oczywiście. Wściekł się, ale ja też... On sobie uroił, że to porachunki jakiegoś szulera... Cóż? Nie pocałowaliśmy się na do widzenia. Wyrąbałem mu prosto z mostu, co o tym myślę... To już ty się martw. Tak jest. Cześć.

Odłożył słuchawkę i znów wyciągnął się na krześle. Effie wyszła zza krzesła i stanęła obok.

- Sądzisz, że wiesz, gdzie ona może być, Sam? - domagała się odpowiedzi.

- Wiem, dokąd się udała - odparł urażonym tonem.

- Dokąd? - była podniecona.

- Na ten statek, którego pożar widziałaś. Wytrzeszczyła oczy.

- Byłeś tam.

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Nie - rzekł Spade.

- Sam! - zawołała gniewnie - ona może...

- Pojechała tam z własnej woli - powiedział ostro. - Nikt jej nie porwał. Pojechała tam zamiast do twojego domu, dowiedziawszy się, że statek jest w porcie. No, więc co, u diabła? Mam biegać za

swoimi klientami i błagać, żeby pozwolili sobie pomóc?

- Ale, Sam, przecież powiedziałam ci, że statek się palił.

- To było w południe, a ja miałem spotkanie z Polhausem i Bryanem.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Sam - powiedziała - jesteś czasami najbardziej godnym pogardy mężczyzną na świecie. Dlatego, że ci w czymś nie zaufała, gotów jesteś siedzieć z założonymi rękami wiedząc, że ona jest w niebezpieczeństwie, że może...

Spade poczerwieniał. Powiedział z uporem:

- Ona sobie doskonale daje radę sama i wie, gdzie udać się po pomoc, gdy sądzi, że jej potrzebuje, albo gdy jej to odpowiada.

- To złośliwość! - wykrzyknęła. - Prosta złośliwość! Zgniewało cię, że zrobiła coś nie mówiąc ci o tym. A czemu miałaby ci mówić? Nie jesteś znowu tak bardzo uczciwy, a i z nią nie postępowałeś aż tak rzetelnie, żeby ci miała całkowicie ufać.

- Dość tego - rzekł Spade.

Ton jego głosu wzniesił niespokojny błysk w jej rozgorzałych oczach, lecz odrzuciła głowę i błysk znikł. Ściągnęła mocno usta i powiedziała:

- Jeżeli w tej chwili nie pójdziesz, to pójde ja i sprowadzę tam policję. - Jej głos zadrżał, załamał się i stał się cienki i płaczliwy. - Och, Sam, idź.

Spade wstał klnąc na czym świat stoi. Potem powiedział twardo:

- Chryste Panie! Mniej będzie mnie bolała głowa, jeżeli pójde zamiast siedzieć tu i słuchać twoich wrzasków. - Spojrzał na zegarek. - Mogłabyś już zamknąć biuro i pójść do domu.

- Nie pójde. Będę tu siedziała i czekała, aż wrócisz - powiedziała.

- Rób sobie, co chcesz - odparł Spade, włożył kapelusz, skrzywił się, zdjął i wyszedł z kapeluszem w rękę.

Półtorej godziny później, dwadzieścia po piątej, Spade wrócił. Był wesoły. Wszedł i spytał Effie:

- Co to jest, kochanie, że tak trudno z tobą wytrzymać?

- Ze mną?

- Tak, z tobą. - Dotknął palcem końca jej nosa i przycisnął. Wziął ją za łokcie, podniósł do

góry i pocałował w brodę. Postawił z powrotem na podłodze i spytał:

- Co zaszło, jak mnie nie było?

- Luke - nie pamiętam jego nazwiska - ten z „Belvedere”, dzwonił, że Cairo wrócił. To było pół godziny temu.

Spade zacisnął usta, obrócił się na pięcie i ruszył szybko ku wyjściu.

- Znalazłeś ją? - zawołała dziewczyna.

- Opowiem ci, jak wrócę - odparł nie zatrzymując się i wybiegł.

W dziesięć minut później Spade znalazł się w „Belvedere”. Zastał Luke’a w hallu. Detektyw hotelowy wyszedł na spotkanie Spade’a uśmiechając się i potrząsając głową.

- Spóźniłeś się piętnaście minut - rzekł. - Twój ptaszek uleciał.

Spade przeklinał swego pecha.

- Zapłacił rachunek i wyprowadził się z manelami - powiedział Luke. Wyjął wytarty notes z kieszeni kamizelki, poślinił palec, przewrócił parę kartek i podsunął notes Spade’owi. - Masz tu numer taksówki, którą pojechał. Tyle udało mi się dla ciebie zrobić.

- Dziękuję. - Spade przepisał numer na odwrocie koperty. - Zostawił jakiś adres?

- Nie. Przyszedł z wielką walizą, poszedł na górę, spakował się i zszedł na dół z manatkami. Zapłacił, wsiadł w taksę i odjechał. Nikt nawet nie mógł dosłyszeć, co powiedział kierowcy.

- A zabrał kufer? Luke aż otworzył usta.

- Rany! - powiedział. - Zapomniałem. Chodźmy. Poszli do pokoju Caira. Kufer był. Zamknięty, ale nie na klucz. Podnieśli wieko. Był pusty. - Co powiesz na to? - rzekł Luke. Spade nie powiedział nic.

Spade wrócił do biura. Effie spojrzała na niego z ciekawością.

- Rozmawiałem się z nim - mruknął i wszedł do pokoju.

Weszła za nim. Usiadł na krześle i zaczął zwijać papierosa. Usadowiła się na biurku przed nim i oparła czubki pantofli o róg jego krzesła.

- Co z panną O’Shaughnessy? - dopytywała się.

- Z nią też się rozmawiałem - odparł - ale była tam.

- Na tej „La Palomie”?

- „Ta” i „La” to kiepskie połączenie.

- Przestań. Bądź dla mnie miły, Sam. Powiedz. Zapalił papierosa, schował do kieszeni zapalniczkę, poklepał Effie po łydkach i rzekł:

- Tak, na „La Palomie”. Przyszła na statek wczoraj, zaraz po południu. - Ściągnął brwi. - To znaczy, że poszła tam prosto z przystani promów. To bardzo blisko stamtąd. Kapitana nie było. On się nazywa Jacobi; zapytała o niego po nazwisku. Był w mieście, coś załatwiał. To oznaczałoby, że jej nie oczekiwał, a przynajmniej nie o tej porze. Czekala na niego do czwartej. O czwartej wrócił i była z nim do kolacji, którą zjedli wspólnie w jego kajucie.

Zaciągnął się papierosem i odwrócił głowę, żeby wypluć żółty okruch tytoniu, który przylepił mu się do wargi, po czym ciągnął dalej:

- Po kolacji kapitan Jacobi miał jeszcze trzech gości. Jednym z nich był Gutman, drugim Cairo, a trzecim ten chłopak, który przyniósł ci wczoraj wiadomości od Gutmana. Ta trójka weszła, gdy Brigid była u kapitana, i wszyscy pięcioro długo rozmawiali. Trudno wydobyć coś od załogi, ale powiedziano mi, że wybuchła jakaś awantura i koło jedenastej w nocy rozległ się strzał rewolwerowy. Strażnik pobiegł do kajuty kapitana, ale kapitan wyszedł mu naprzeciw i powiedział, że nic się nie stało. W rogu kajuty jest świeży ślad po kuli, ale dość wysoko, aby móc wnosić, że kula nie przeszła przez niczyje ciało. O ile mogłem się dowiedzieć, strzelono tylko raz, ale z bliska.

Zmarszczył brwi i znowu zaciągnął się papierosem.

- Wyszli około północy wszyscy razem: kapitan i jego czworo gości, i wszyscy, zdaje się, szli normalnie. Dowiedziałem się tego od strażnika. Nie mogłem złapać celnika, który był tam wtedy na służbie. To wszystko. Kapitan jeszcze nie wrócił. Nie stawiał się na umówione spotkanie z agentami okrętowymi dziś w południe i nie mogą go znaleźć, żeby mu powiedzieć o pożarze.

- A co z pożarem? Spade wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Odkryto go dziś późnym rankiem w ładowni na rufie. Prawdopodobnie zaczął się już wczoraj. Ugasili go, ale są pewne straty. Nikt nie chce zbyt wiele mówić, póki kapitan nie wróci. To...

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi od korytarza. Spade zamilkł. Effie zeskokczyła z biurka, lecz nim doszła do drzwi pierwszego pokoju, stanął w nich jakiś człowiek i spytał:

- Gdzie jest Spade?

Dźwięk jego głosu sprawił, że Spade wyprostował się nagle na krześle. Był to głos szorstki i chrapliwy: słysząc w nim było ból i wysiłek, aby nie pozwolić słowom zatonać w bulgocącym płynie, który je zalewał. Effie Perine, przestraszona, odstaąpiła na bok.

Stał w drzwiach, w kapeluszu zgniecionym między ramą a głową - miał ponad dwa metry wzrostu. Długi czarny płaszcz o prostym kroju, jak pochwa, zapięty od kolan do szyi, uwydatniał jego chudość. Miał chude, kanciaste, sterczące ramiona. Koścista twarz, osmagana wiatrem i ze

zmarszczkami starości, była koloru mokrego piasku i zroszona potem na policzkach i brodzie. Oczy, nad dolnymi powiekami, tak obwisłymi, że aż widać było wewnętrzną różową błonkę, miał ciemne, przekrwione i szalone. Lewym ramieniem w czarnym rękawie przyciskał mocno do piersi owiniętą brązowym papierem i związaną cienkim sznurkiem paczkę kształtu elipsoidy, nieco większą od amerykańskiej futbolówki.

Wysoki mężczyzna stał w drzwiach i nic nie wskazywało na to, że dostrzega Spade'a. Powiedział:

- Pan wie...

Bulgożąca ciecz napłynęła mu do gardła i zatopiła resztę słów. Przyłożył drugą rękę do ręki trzymającej elipsoidę i tak jak stał, sztywno, nie wyciągając rąk, aby złagodzić upadek, runął naprzód, jak podcięte drzewo.

Spade, zwinnie, lecz z kamienną twarzą, skoczył z krzesła i złapał padającego. W chwili gdy go chwycił, usta mężczyzny otworzyły się i popłynęła z nich krew, a owinięta brązowym papierem paczka upadła i potoczyła się po podłodze aż do nogi biurka. Potem kolana mężczyzny ugięły się, zgiął się też cały w pasie, chude ciało zwiotczało wewnątrz płaszcza-pochwy i zaciążyło w ramionach Spade'a.

Spade ułożył go ostrożnie na lewym boku. Oczy mężczyzny, ciemne i przekrwione, ale już nie szalone, były szeroko rozwarte i nieruchome. Usta miał też otwarte, jak wówczas, kiedy trysnęła z nich krew, ale teraz krew już nie ciekła i długie ciało było nieruchome.

- Zamknij drzwi na klucz - powiedział Spade.

Podczas gdy Effie Perine, szczękając zębami, porała się z zamkiem, Spade ukląkł obok chudego mężczyzny, obrócił go na plecy i wsunął mu rękę pod płaszcz. Kiedy ją wyjął, była cała umazana krwią. Widok okrwawionej dłoni nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Uniósł rękę do góry, aby niczego nie dotknąć, wyjął drugą ręką zapalniczkę z kieszeni. Zapalił i przysunął płomień do jednego, a potem drugiego oka chudego mężczyzny. Oczy: powieki, gałki oczne, tęczówki, źrenice, ani drgnęły.

Spade zgasił zapalniczkę i schował ją do kieszeni. Ukląkł przy boku umarłego i posługując się czystą ręką rozpiął mu płaszcz. Płaszcz był wewnątrz mokry od krwi, a dwurzędowa granatowa marynarka zupełnie nią przesiąknięta. W miejscu, gdzie krzyżowały się klapy marynarki, i w obu połach płaszcza tuż pod tym punktem były poszarpane dziury.

Spade wstał i poszedł do umywalki w pierwszym pokoju biura. Effie Perine, blada i drżąca, oparta plecami o szybę drzwi-od korytarza, trzymając się kurczowo klamki, zapytała szeptem:

- Czy... czy on...

- Tak. Dostał ze sześć strzałów w pierś. Zaczął myć ręce.

- Może powinniśmy... zaczęła, ale on jej przerwał.

- Już za późno na lekarza, a poza tym muszę pomyśleć, zanim cokolwiek zrobimy. - Skończył myć ręce i teraz spłukiwał umywalkę. - Nie mógł przyjść z daleka z tymi pigułkami w środku. Żeby to... Nie mógł, do licha, jeszcze parę chwil pożyć, żeby nam coś powiedzieć? - Zmarszczył czoło, spłukał jeszcze raz ręce i wziął ręcznik. - Weź się w garść! Na miłość boską, tylko się teraz nie rozchoruj! - Rzucił ręcznik i przeczesał włosy palcami. - Trzeba obejrzyć pakunek.

Wszedł znowu do drugiego pokoju, przestąpił przez nogi zabitego i podniósł z podłogi paczkę w brązowym papierze. Kiedy poczuł jej wagę, oczy mu zalśniły. Położył pakunek na biurku, węzłem do góry. Węzeł był twardy, mocno zadziergnięty. Wyjął scyzoryk i przeciął sznurek.

Dziewczyna puściła klamkę i okrążając, jak mogła najdalej, trupa, odwróciwszy w drugą stronę głowę, podeszła do Spade'a. Kiedy tak stała przy nim oparta rękami o róg biurka i przyglądała się, jak rozplątuje sznurek i odwija brązowy papier, podniecenie zaczęło wypierać wyraz obrzydzenia z jej twarzy.

- Sądysz, że to to? - wyszeptała.

- Zaraz się przekonamy - odparł Spade, odwijając grubymi paluchami wewnętrzną warstwę opakowania z potrójnie złożonego arkusza szarego, chropowatego papieru, który krył się pod brązowym.

Spade miał twardy i tępy wyraz twarzy. Pod szarym papierem był jajowaty przedmiot, dokładnie opakowany wełną drzewną. Palce Spade'a rozdarły opakowanie i oto trzymał w ręku trzydziestocentymetrową figurkę ptaka, czarną jak węgiel i lśniącą w miejscach, gdzie pył drzewny i cząstki wełny nie przytępiały blasku emalii. Spade roześmiał się. Położył dłoń na ptaku. Trzymał w zagłębieniu rozcapierzonych palców skarb.

Objął ramieniem Effie i mocno przycisnął do siebie.

- Och! - krzyknęła. - Boli.

Puścił ją, podniósł ptaka obiema rękami i potrząsnął nim, żeby zrzucić resztki wełny drzewnej. Potem odstąpił i trzymając go przed sobą, zdmuchnął pył, obejmując ptaka triumfalnym spojrzeniem.

Effie Perine zrobiła przerażoną minę i pisnęła wskazując palcem na stopy Spade'a. Spojrzał w dół. Robiąc krok w tył, by zdmuchnąć pył z ptaka, nadepnął na dłoń trupa i zmiażdżył kawałek ciała obcasem. Szybko odsunął nogę.

Zadzwonił telefon. Spade skinął na dziewczynę. Odwróciła się do biurka i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Halo... Tak... Kto?... Ach, tak! - wytrzeszczyła oczy. - Tak... tak... Chwileczkę... - Nagle otworzyła z przerażenia usta. Zaczęła krzyczeć: - Halo! Halo! Halo! - Postukała w widełki telefonu i jeszcze dwa razy krzyknęła: - Halo! - Potem zaczęła łkać i obróciła się twarzą do Spade'a, który już był przy niej. - To była panna O'Shaughnessy! - zawołała nieopanowanie. - Wzywa ciebie. Jest w

hotelu „Aleksandria”, w niebezpieczeństwie! Mówiła takim - och, Sam! - takim okropnym głosem i coś się z nią stało, zanim skończyła mówić. Idź ją ratować, Sam!

Spade postawił sokoła na biurku i skrzywił się ponuro.

- Najpierw muszę się zająć tym facetem - rzekł wskazując palcem trupa na podłodze.

Zaczęła bić go w pierś pięściami, krzycząc:

- Nie, nie! Musisz iść do niej! Czy nie rozumiesz, Sam? On miał tego ptaka i przyniósł go do ciebie. Nie rozumiesz? Pomagał jej i za to go zabito, a teraz ona... Och, musisz iść!

- Dobra. - Spade odepchnął ją na bok i pochylił się nad biurkiem. Ułożył ptaka w gnieździe z wełny drzewnej, owinał papierem, robiąc dużą, niezgrabną paczkę. - Jak tylko wyjdę, zadzwoń na policję. Powiedz im, jak to się stało, ale nie wymieniaj żadnych nazwisk. Nic nie wiesz. Ktoś do mnie zadzwonił i musiałem wyjść, ale nie powiedziałem dokąd. - Zaklął, bo sznurek był splątany, szarpnął go i zaczął związywać paczkę. - A o tym zapomnij. Opowiedz wszystko, jak było, tylko zapomnij, że miał z sobą tę paczkę. - Zagryzł usta. - Chyba żeby cię przycisnęli. Jeśli wywnioskujesz, że Wiedzą o niej, będziesz musiała powiedzieć. Ale to mało prawdopodobne. Jeżeli wiedzą, powiedz, że zabrałem paczkę z sobą, nie rozpakowując. - Związał supeł i wyprostował się trzymając paczkę pod pachą. - Krótko mówiąc: wszystko się stało, jak się stało, ale bez tego, chyba że już o tym wiedzą. Nie zaprzeczaj, po prostu o tym nie wspominaj. I ja sam odbierałem telefon, nie ty. Nie wiesz o nikim, kto jest w jakimkolwiek związku z tym jegomościem. Nie wiesz o nim nic i nie możesz nic mówić o mnie, zanim się ze mną nie porozumiesz. Zrozumiałaś?

- Tak, Sam. A kto... a wiesz, kto to jest? Uśmiechnął się chytrze.

- Zdaje się, że to kapitan Jacobi, dowódca „Palomy”. Włożył kapelusz. Spojrzał w” zamyśleniu na trupa, a potem rozejrzał się po pokoju.

- Spiesz się, Sam - błagała dziewczyna.

- Dobrze - odparł z roztargnieniem. - Będę się śpieszył, ale nie zaszkodzi uprzątnąć te parę skrawków wełny drzewnej z podłogi, zanim przyjedzie policja. I może należałoby skomunikować się z Sidem. Albo nie. - Potarł dłonią brodę. - Zaczekamy. Będzie lepiej wyglądało. Radziłbym ci trzymać drzwi zamknięte, póki policja nie przyjdzie. - Poklepał ją po policzku. - Jesteś strasznie równy kumpel, siostrzyczko - powiedział i wyszedł.

## 17. Sobotni wieczór

Niosąc pod pachą paczkę Spade kroczył rażno i tylko spojrzenia bezustannie rzucone na boki wskazywały, iż ma się na baczności. Z budynku, w którym mieściło się jego biuro, wyszedł przez zaułek i wąskie podwórko na Kearny i Post Street, gdzie zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.



Taksówka zawiozła go na dworzec Pickwick Stage przy Fifth Street. Tam zostawił paczkę w przechowalni, włożył kwit do koperty ze znaczkiem, napisał na kopercie M. F. Holland oraz numer skrytki w jednym z urzędów pocztowych w San Francisco, zakleił i wrzucił do skrzynki. Z dworca taksówka zawiozła go do hotelu „Aleksandria”.

Poszedł wprost do apartamentu dwanaście C i zastukał do drzwi. Kiedy zastukał po raz drugi, drzwi otworzyła drobna, jasnowłosa dziewczyna w lśniącym żółtym szlafroku, dziewczyna o twarzy białej i jakiejś niewyraźnej, uczepona rozpaczliwie obiema dłońmi klamki. Z trudem łapiąc oddech spytała:

- Pan Spade?

- Tak - odparł Spade i podtrzymał ją widząc, że się chwieje.

Jej ciało wygięło się do tyłu nad jego ramieniem i głowa poleciała w tył. Krótkie jasne włosy opadły w dół, a szyja wygięła się w łuk od brody do piersi.

Spade przesunął ramię trochę w górę i pochylił się, żeby drugą ręką ująć ją pod kolana, lecz poruszyła się i z jej rozchylonych ust, prawie nieruchomych, wypłynęły niewyraźne słowa:

- Nie! Po... mi cho...

Spade pomógł jej chodzić. Zamknął kopniakiem drzwi i prowadził ją od ściany do ściany po zielonym dywanie. Jedną ręką trzymał ją w pół, podpierając dłonią pod pachę, drugą ścisnął ją za rękę, podtrzymując, kiedy się potykała i chwiała. Popychał ją naprzód, lecz dbał, aby chwiejne nogi same niosły ciężar ciała. Chodzili tak i chodzili tam i z powrotem, dziewczyna chwiejnie, nieskoordynowanymi krokami, on pewnie i prosto, nie tracąc ani trochę równowagi przy jej potknięciach. Jej twarz była biała jak kreda, jego - pochmurna, a oczy surowe, pilnie uważające na wszystko dokoła. Powtarzał wciąż monotennie:

- O tak! Lewa, prawa, lewa, prawa. O tak! Raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy, zwrot. - Potrząsnął nią, gdy zawrócili. - Teraz z powrotem. Raz, dwa, trzy, cztery. Głowa do góry. O tak! Brawo! Lewa, prawa, lewa, prawa. Teraz znowu zwrot. - Znów nią potrząsnął. - No, proszę. Chodzić, chodzić, chodzić, chodzić. Raz, dwa, trzy, cztery. Teraz zawracamy. - Potrząsnął nią tym razem mocniej i przyśpieszył kroku. - O to chodzi. Lewa, prawa, lewa, prawa. Spieszmy się. Raz, dwa, trzy...

Przeszedł ją dreszcz i głośno przełknęła ślinę. Spade zaczął masować jej ramię i bok i przybliżył usta do jej ucha.

- Doskonale. Raz, dwa, trzy, cztery. Szybciej, szybciej, szybciej, szybciej! O tak! Raz, dwa, raz, raz! Podnosić nogi. O tak! Teraz zwrot. Lewa, prawa, lewa, prawa. Co oni ci zrobili? Dali narkotyk? To samo co mnie?

Powieki jej drgnęły, ukazując na chwilę przymglone, złotobrazowe oczy, i zdołała powiedzieć:

- Ta...

Chodzili po pokoju, dziewczyna niemal biegnąc, żeby nadążyć za Spade'em, Spade klepiąc i masując obiema dłońmi jej ciało poprzez żółty jedwab i bez przerwy mówiąc, ze wzrokiem wciąż twardym, powściągliwym i czujnym.

- Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, zwrot. Doskonale. Raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy, cztery. Głowa do góry. O tak! Raz, dwa...

Powieki jej uniosły się odrobinę, a oczy pod nimi poruszyły się w jedną i drugą stronę.

- Świetnie - rzekł rażno, już nie monotonicznie. - Trzymaj oczy otwarte. Otwórz oczy szeroko... szeroko!

Potrząsnął nią. Wydała jęk protestu, lecz jej powieki uniosły się trochę wyżej, choć oczy pozostały nadal bez wewnętrznego blasku. Uderzał ją otwartą dłonią po policzku, szybko, raz po raz. Jęknęła znowu i spróbowała mu się wyrwać. Trzymając ją ramieniem, ciągnął za sobą od ściany do ściany.

- Chodzić, chodzić! - mówił ostrym tonem, a potem spytał: - Kto ty jesteś?

- Rhea Gutman - zabrzmiało głucho, ale zrozumiale.

- Jego córka?

- Tak - tym razem nie opuściła ostatniej litery.

- Gdzie Brigid?

Obróciła się i kurczowo chwyciła go obiema dłońmi za rękę. Szybko wyrwał rękę i popatrzył na nią. Na wierzchu dłoni miał cienką, czerwoną linię zadrapania, ponad półtora cala długą.

- Co, u licha! - burknął i zbadał jej dłonie.

W lewej nie było nic. W zaciśniętej prawej, gdy ją przemocą otworzył, była długa, stalowa szpilka z główką z nefrytu.

- Co, u licha! - mruknął jeszcze raz i podsunął jej szpilkę pod oczy.

Ujrzawszy szpilkę zaskomlała i rozchyliła szlafrok. Odsunęła kremową bluzkę od pizamy i obnażyła ciało pod lewą piersią - białe ciało, poznaczone cienkimi, czerwonymi liniami i małutkimi, czerwonymi kropkami od ukłuć i zadrapanień szpilką.

- Żeby... nie... zasnąć... przed pana... przyjściem. Powiedziała, że pan przyjdzie... Tak długo...

Zachwiała się. Spade chwycił ją mocniej i powiedział:

- Proszę chodzić.

Odwróciła się z wysiłkiem twarzą do niego.

- Nie... najpierw powiem... spała... ocalić ją...

- Brigid? - spytał Spade.

- Tak... zabrali... Bur... Burlingame... Ancho dwadzieścia sześć... Szybko... za późno...

Głowa dziewczyny opadła na ramię, ale Spade szarpnął jej głowę do góry.

- Kto ją tam zabrał? Twój ojciec?

- Tak... Wilmer... Cairo... - skurczyła się i poruszyła powiekami, ale nie mogła otworzyć oczu -  
...zabić.

Głowa jej znów opadła i znowu Spade pchnął ją do góry.

- Kto strzelał do Jacobiego?

Sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała pytania. Czyniła żalosne wysiłki, żeby utrzymać głowę prosto i otworzyć oczy.

- Iść... ratować... - wymamrotała. Potrzęsnał ją brutalnie.

- Nie śpij, póki nie przyjdzie lekarz.

Strach rozwarł jej oczy i rozproszył na chwilę otępiałość twarzy.

- Nie, nie! - zawołała bełkotliwie. - Ojciec... zabije... niech pan przysięgnie... dowie się... to dla niej... obieca... zasnę... wszystko dobrze... rano.

Potrzęsnał ją znowu.

- Jesteś pewna, że wystarczy, jeżeli się prześpisz?

- Ta... - głowa znów opadła.

- Gdzie twoje łóżko?

Spróbowała podnieść rękę, ale wysiłek ten stał się dla niej za wielki, nim zdołała cokolwiek wskazać. Z westchnieniem zmęczonego dziecka rozprężyła się i osunęła w dół.

Spade podtrzymał ją, wziął na ręce i niosąc z łatwością, podszedł do najbliższych drzwi. Przekreślił klamkę, pchnął drzwi nogą i wszedł do korytarzyka, który wiódł obok otwartych drzwi łazienki do pokoju sypialnego. Zajrzał do łazienki i widząc, że jest pusta, poniósł dziewczynę do pokoju. Tam również nikogo nie było. Jednakże zorientował się po porzucanych częściach

garderoby oraz po przedmiotach na szyfonierce, że był to pokój zamieszkiwany przez młodą kobietę.

Zaniósł młodą z powrotem do pokoju z zielonym dywanem i otworzył przeciwległe drzwi. Minąwszy je wszedł do innego korytarzyka obok pustej łazienki, a stamtąd do sypialni, tym razem kobiecej. Odsunął kołdrę, położył młodą na łóżku, zdjął jej pantofle, podniósł ją trochę, żeby obciągnąć żółty szlafrok, ułożył poduszkę pod głową i przykrył młodą kołdrą. Zmarszczył brwi i zaciskając usta rozejrzał się dokoła. Zmrok zaczynał przyciemniać pokój. Spade stał tak w mrocznym pokoju z pięć minut, wreszcie wzruszył niecierpliwie ramionami i wyszedł pozostawiając zewnętrzne drzwi apartamentu otwarte.

Udał się do urzędu „Pacific Telephone and Telegraph Company” na Powell Street i wykręcił Davenport 2020.

- Proszę pogotowie ratunkowe... Halo, w hotelu „Aleksandria”, apartament dwanaście C, jest młoda odurzona silną dawką narkotyku... Tak, dobrze byłoby, żeby ktoś ją zbadał... Mówi Hooper z hotelu „Aleksandria”.

Odłożył słuchawkę na widełki i roześmiał się. Potem wykręcił inny numer i powiedział:

- Halo, Frank. Mówi Sam Spade... Możesz mi dać samochód z szoferem, który potrafi trzymać język za zębami...? Natychmiast... Tylko na parę godzin... Dobra. Niech zajedzie - po mnie do „John’s Grill” na Ellis Street, jak najszybciej.

Wykręcił jeszcze jeden numer - numer swego biura - potrzymał przez chwilę słuchawkę przy uchu nic nie mówiąc i odłożył na widełki.

Poszedł do „John’s Grill” i zamówił kotlet, pieczony kartofel i sałatkę z pomidorów. Zjadł szybko i właśnie palił papierosa nad filiżanką kawy, kiedy wszedł silnie zbudowany młody mężczyzna w kraciastej czapce na bakier, z bladawymi oczyma i czerwoną, surową twarzą i ruszył do jego stolika.

- Gotowe panie Spade. Wóz czeka z pełnymi bakami.

- Świetnie. - Spade dopił kawę i wyszedł za kierowcą. - Wie pan, gdzie w Burlingame jest albo ulica, albo bulwar Ancho?

- Nie, ale jeżeli w ogóle jest, to znajdziemy.

- Dobra - rzekł Spade siadając koło kierowcy. - Potrzebny nam numer dwadzieścia sześć, a im szybciej zajedziemy, tym lepiej, tylko nie pod drzwi frontowe.

- Tak jest.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Potem kierowca spytał: - To prawda, że stuknęli pańskiego współnika?

- Aha.

Kierowca mlasnął językiem.

- Ciężki fach. Nie zamieniłbym się z panem.

- No, kierowcy też nie żyją wiecznie.

- Może i racja - zgodził się kierowca. - Ale wszystko jedno, wolę już swój zawód.

Spade siedział patrząc przed siebie i odtąd póki kierowca nie znudził się gadaniem, odpowiadał tylko grzecznościowym „tak” lub „nie”.

W składzie aptecznym w Burlingame kierowca dowiedział się, jak dojechać do Ancho Avenue. Dziesięć minut później zatrzymał limuzynę przy ciemnym rogu ulicy, zgasił światła i wskazał ręką pobliski blok.

- To tu - powiedział. - Powinno być po drugiej stronie, trzeci albo czwarty dom.

- Dobra - rzekł Spade i wysiadł z samochodu. - Niech pan nie gasi motoru. Może trzeba będzie szybko odjeżdżać.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Daleko przed nim świeciła samotna latarnia. Po obu stronach ulicy płonęły światła w oknach domów. Wysoko w górze cieniutki sierp księżyca jaśniał zimnym i słabym blaskiem. Z otwartego okna po drugiej stronie ulicy płynęły dźwięki radia.

Spade zatrzymał się przy drugim domu od rogu. Na jednym ze słupków furtki, uderzająco grubych w stosunku do płotu, jaśniały w skąpym odbłasku dwie cyfry z jasnego metalu: „2” i „6”. Nad nimi była przybita biała kartka. Przysunąwszy twarz do kartki Spade odczytał: „Na sprzedaż lub do wynajęcia”. Nie było furtki między słupkami. Spade poszedł cementowym chodnikiem do domu. Długo stał nasłuchując u stóp schodów na ganek. Z domu, pogrążonego w ciemnościach, nie dochodził żaden dźwięk, tylko na drzwiach bieląca jeszcze jedna kwadratowa kartka.

Podszedł do drzwi i znowu nasłuchiwał. Cisza. Spróbował zajrzeć przez szybkę. Wewnątrz była absolutna ciemność. Podszedł na palcach do jednego okna, potem do drugiego. Nie było za nimi firanek, tylko nieprzenikniona ciemność. Spróbował otworzyć któreś z okien - były zamknięte. Spróbował otworzyć drzwi. Również zamknięte.

Zszedł z ganku i stąpając ostrożnie po ciemku w nie znanym terenie, obszedł dom dookoła przez zachwaszczony ogródek. Boczne okna były za wysoko, by mógł ich dosięgnąć z ziemi. Drzwi od tyłu i jedyne okno od tyłu, którego dosięgnął, były zamknięte.

Spade podszedł do furtki i osłaniając płomień dłońmi, oświetlił zapalniczką kartkę na słupku. Było na niej wydrukowane nazwisko i adres pewnego pośrednika handlu nieruchomościami z San Mateo i wypisana niebieską kredką informacja: „Klucz pod nr 31”.

Wrócił do samochodu i spytał kierowcę:

- Ma pan latarkę?

- Mam - podał ją Spade'owi. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Zobaczymy - Spade wsiadł do samochodu. - Pojedziemy pod numer trzydziesty pierwszy. Może pan zapalić reflektory.

Numer trzydziesty pierwszy był szarym, kwadratowym domkiem po przeciwnej stronie ulicy, ale trochę dalej niż dwudziesty szósty. W oknach na parterze paliło się światło. Spade wszedł na ganek i zadzwonił. Otworzyła mu ciemnowłosa, kilkunastoletnia dziewczynka. Spade uklonił się z uśmiechem i powiedział:

- Czy mogę poprosić o klucz od domu pod dwudziestym szóstym?

- Zawołam tatusia - odparła na to i poszła w głąb domu wołając: - Tata!

Za chwilę pojawił się gruby mężczyzna o czerwonej twarzy i bujnych wąsach, z gazetą w ręku. Spade powtórzył pytanie. Grubas spojrzał z powątpiewaniem.

- Prąd jest wyłączony. Nic pan nie zobaczy. Spade poklepał się po kieszeni.

- Mam latarkę - rzekł.

Wyraz wątpliwości na twarzy grubasa powiększał się. Odchrząknął niespokojnie i zaczął miać gazetę w dłoni. Spade pokazał mu swoją wizytówkę, schował z powrotem do kieszeni i powiedział cicho:

- Doniesiono nam, że tam może być coś ukryte. Usłyszawszy to grubas rzekł z przejęciem w głosie i na twarzy:

- Chwileczkę, pójdę z panem.

Wrócił za moment, niosąc mosiężny klucz uwiązany na czerwono-czarnej tasiemce. Spade skinął na kierowcę, kiedy przechodzili koło samochodu, i kierowca przyłączył się do nich.

- Czy ktoś oglądał dom w ostatnich czasach? - spytał Spade.

- O ile mi wiadomo, to nie - odparł grubas. - Nikt nie zgłaszał się do mnie po klucz od paru miesięcy.

Grubas kroczył przodem, niosąc klucz, póki nie doszli do ganku. Przy drzwiach wcisnął klucz Spade'owi w rękę mówiąc: - Proszę bardzo - i odstąpił na bok.

Spade przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Wewnątrz była cisza i ciemność. Wszedł do środka, trzymając nie zapaloną latarkę w lewej ręce. Kierowca wszedł zaraz za nim, a na końcu, w pewnej odległości od nich, grubas. Przeszukali dom od piwnic po strych, najpierw z ostrożnością, następnie, nic nie znalazłszy, śmiało. Dom był pusty i nic nie wskazywało, że w ciągu ostatnich tygodni ktoś go odwiedzał.

- Dziękuję, to wszystko - rzekł Spade i wysiadł z limuzyny przed hotelem „Aleksandria”. Wszedł do hotelu, udał się do recepcji, gdzie stał wysoki młody człowiek o ciemnej, ponurej twarzy.

- Dobry wieczór, panie Spade - rzekł młodzieniec.

- Dobry wieczór. - Spade odciągnął go na bok. - Czy Gutmanowie, ci z dwunastego C, są w domu?

- Nie - odparł młody człowiek rzucając szybkie spojrzenie na Spade'a. Potem rozejrzał się, zawahał, spojrzał znów na Spade'a i szepnął: - Śmieszna rzecz wydarzyła się dziś wieczór w związku z nimi, proszę pana. Ktoś zadzwonił do pogotowia, że w ich apartamencie jest chora dziewczyna.

- A nie było?

- Nie. Nikogo nie było na górze. Wyszli trochę wcześniej.

- Oj, ci kawalarze, zawsze muszą robić jakieś figle! Dziękuję bardzo.

Wszedł do kabiny telefonicznej, wykręcił numer i powiedział:

- Halo... Czy to pani Perine? Czy zastałem Effie? Tak, proszę... Dziękuję bardzo.

- Halo, mój aniele! Co dobrego? Świetnie, świetnie! Zaczekaj, będę za dwadzieścia minut... Tak jest.

Pół godziny później Spade dzwonił do drzwi dwupiętrowego budynku z cegły przy Ninth Avenue. Otworzyła mu Effie Perine. Jej chłopięca twarz była zmęczona, lecz uśmiechnięta.

- Witaj, szefie! - powiedziała. - Wejdz. - Ściszyła głos. - Jeśli mama ci coś powie, Sam, bądź dla niej miły. Jest bardzo zdenerwowana.

Spade uśmiechnął się uspokajająco i poklepał ją po ramieniu. Chwyciła go za rękaw.

- Co z panną O'Shaughnessy?

- Nic - mruknął. - Wywiedli mnie w pole. Jesteś pewna, że to był jej głos?

- Najzupełniej.

Zrobił nieprzyjemną minę.

- Okpili nas.

Wprowadziła go do jasno oświetlonego saloniku, westchnęła i usiadła ciężko na tapczanie, uśmiechając się do Spade'a mimo zmęczenia. Usiadł koło niej i spytał:

- Jak ci poszło? Nic nie mówiono o paczce?

- Nic. Powiedziałam im, co kazałeś, przyjęli jak rzecz całkiem zrozumiałą, że ten telefon miał coś wspólnego z zabójstwem i w związku z nim wyszedłeś.

- Był Dundy?

- Nie. Hoff i O'Gar, i kilku innych, których nie znam. Rozmawiałam także z komendantem.

- Zabrali cię na komisariat?

- Tak, i zadawali mi mnóstwo pytań, ale tylko, ot, w granicach normalnego przesłuchania.

Spade zatarł, dłonie.

- Doskonale - powiedział i zmarszczył brwi - ale na pewno wymyślą jeszcze całe mnóstwo, żeby zapytać mnie, jak się spotkamy. A już bez wątpienia ten cholerny Dundy i Bryan to zrobią. - Wzruszył ramionami. - Czy oprócz policji był ktoś, kogo znasz?

- Tak - wyprostowała się. - Ten chłopak, który przyniósł wiadomość od Gutmana. Nie wszedł do środka, ale policjanci zostawili otwarte drzwi od korytarza, jak przyszli, i widziałam go na korytarzu.

- Nie powiedziałaś nic?

- Nie. Przecież zabroniłeś mówić. Zresztą nie zwracałam na niego uwagi i po chwili znikł.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz cholerne szczęście, siostrzyczko, że gliniarze zdążyli przyjść wcześniej od niego.

- Czemu?

- Ten chłopak to kawał drania. Czy zabity to Jacobi?

- Tak.

Uścisnął jej dłonie i wstał.

- Muszę lecieć. A ty kładź się spać. Jesteś bardzo zmęczona.

Wstała.

- Sam, a co z... Położył rękę na jej ustach.

- Zaczekaj z tym do poniedziałku - rzekł. - Chcę się wymknąć, zanim twoja mama mnie przychwyci i zwymyśla za to, że ciągam jej jagnię po rynsztokach.



Brakowało parę minut do północy, gdy Spade przyszedł do domu. Właśnie wsuwał klucz do zamka drzwi od ulicy, kiedy usłyszał stukot obcasów na chodniku za sobą. Puścił klucz i okręcił się na pięcie. Na schody wbiegła Brigid O'Shaughnessy. Objęła go i ciężko dysząc oparła się na nim.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz!

Twarz miała zmęczoną, podnieconą i drżała od stóp do głów. Podtrzymał ją jedną ręką, drugą poszukał klucza, otworzył drzwi i niemal wniósł ją do środka.

- Czekaaś na mnie? - spytał.

- Tak. - Dyszała ciężko. - W drzwiach... na... ulicy.

- Możesz iść? Czy mam cię wnieść? Potrząsnęła głową opartą o jego ramię.

- Przejdzie mi... jak... będę mogła... gdzie usiąść. Wjechali windą na piętro Spade'a i podeszli do drzwi mieszkania. Puściła jego ramię i gdy otwierał drzwi, stała obok niego, dysząc, z rękami przy piersi. Zapalił światło w przedpokoju. Weszli. Zamknął drzwi i objąwszy ją wpół, poprowadził do saloniku. Kiedy znaleźli się o krok od drzwi, w saloniku zabłyśło światło. Dziewczyna krzyknęła i przywarła do Spade'a.

Tuż za drzwiami stał Gutman, uśmiechając się do nich dobrotliwie. Wilmer wyszedł z kuchni za nimi. W jego małych dłoniach czarne rewolwery wydawały się ogromne. Z łazienki wyszedł Cairo. On też trzymał rewolwer w dłoni.

- Otóż, proszę pana, jak może się pan przekonać, jesteśmy tu wszyscy - rzekł Gutman. - A teraz chodźmy, usiądźmy wygodnie i porozmawiajmy.

## **18. Koziół ofiarny**

Spade, trzymając Brigid w ramionach, uśmiechnął się kwaśno nad jej głową i odparł:- Pewnie, że porozmawiamy.

Buły tłuszczu na ciele Gutmana podskoczyły, gdy zrobił trzy kaczce kroki do tyłu. Spade i dziewczyna weszli razem. Chłopiec i Cairo za nimi. Cairo zatrzymał się w drzwiach. Chłopiec schował jeden rewolwer i stanął tuż za Spade'em.

Spade odwrócił głowę i patrząc na chłopca przez ramię, rzekł:

- Zjeżdżaj. Nie będziesz mnie obszukiwać.

- Stul pysk i nie ruszaj się - rzekł chłopak. Nozdrza Spade'a zadrgały.

- Zjeżdżaj - powiedział cedząc słowa. - Spróbuj mnie dotknąć, to będziesz musiał użyć broni. A spytaj swego szefa, czy chce, żeby mnie zabito, zanim porozmawiamy.

- Daj spokój, Wilmer - rzekł grubas. Popatrzył pobłażliwie na Spade'a. - Jest pan bezsprzecznie wielce upartym człowiekiem. No, siadajmy.

- Powiedziałem panu, że nie lubię tego gówniarza - rzekł Spade i poprowadził Brigid O'Shaughnessy do kanapy przy oknach. Usiedli koło siebie, ona z głową opartą o jego lewe ramię, on obejmując ją ramieniem w pół. Przestała drżeć i ciężko oddychać. Pojawienie się Gutmana i towarzyszy jakby odebrało jej swobodę ruchów i czucie, pozostawiając jedynie świadomość tego, co się dokoła dzieje.

Gutman opadł na bujak. Cairo wybrał dla siebie fotel przy stoliku. Wilmer nie usiadł. Stał w drzwiach, tam gdzie przedtem Cairo, z rewolwerem w opuszczonej ręce, patrząc spod podwiniętych rzęs na Spade'a. Cairo położył rewolwer na stoliku obok siebie.

Spade zdjął kapelusz i cisnął go w drugi koniec kanapy. Uśmiechnął się do Gutmana. Opuszczona dolna warga i powieki, w połączeniu z motywem „v” w jego twarzy, nadawały temu uśmiechowi lubieżny wyraz satyra.

- Ta pańska córeczka ma śliczny brzuszek - rzekł - zbyt ładny, aby go drapać szpilką.

Uśmiech Gutmana był uprzejmy, lecz trochę obleśny. Chłopiec w drzwiach zrobił krótki krok naprzód, unosząc jednocześnie rewolwer na wysokość biodra. Wszyscy w pokoju zwrócili wzrok na niego. W spojrzeniu

Brigid O'Shaughnessy i Joela Cairo był dziwnie podobny wyraz nagany. Chłopiec zaczerwienił się, cofnął nogę, opuścił rewolwer i stanął jak przedtem, patrząc w pierś Spade'a spod opuszczonych rzęs, zakrywających mu oczy. Rumieniec jego był leciutki i, trwał tylko chwilę, ale wyglądał bardzo dziwnie na tej zwykle tak zimnej i opanowanej twarzy.

Gutman zwrócił tłustą twarz z błyszczącymi oczkami na Spade'a. Jego głos brzmiał jak łagodny pomruk:

- Tak, proszę pana, to przykre, ale musi pan przyznać, że podziałało.

Spade ściągnął brwi.

- Wszystko by podziałało - rzekł. - Bo chyba jasne, że chciałem się z panem zobaczyć, skoro dostałem sokoła w ręce. Klienci płacący gotówką - cóż lepszego?. Pojechałem do Burlingame spodziewając się, że trafię na podobne zebranie. Nie wiedziałem, żeście się spóźnili o pół godziny, chcąc mnie odciągnąć, by jeszcze raz dopaść Jacobiego, zanim się ze mną zobaczy.

Gutman zachichotał. Chichot ten wyrażał tylko zadowolenie.

- No więc - rzekł - nic pan nie stracił, jeśli pan tego pragnął.

- Tego pragnąłem. Kiedy będzie pan mógł dokonać pierwszej wpłaty i zabrać ode mnie sokoła?

Brigid O'Shaughnessy wyprostowała się i spojrzała na Spade'a zdziwiona. Poklepał ją po ramieniu, nie odrywając wzroku od Gutmana. Gutman zamrugał radośnie powiekami wśród wałków otaczającego oczy tłuszczu.

- Jeżeli o to chodzi - powiedział i włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Cairo pochylił się naprzód z rękami na udach, oddychając na wpół otwartymi ustami. Ciemne oczy lśniły jak lakier. Wodził nimi od Gutmana do Spade'a, od Spade'a do Gutmana. Gutman powtórzył:

- Jeżeli o to chodzi - i wyjął białą kopertę z kieszeni.

Pięć par oczu - oczy chłopca tym razem tylko na wpół ukryte pod rzęsami - patrzyło na kopertę. Obracając kopertę w obrzmiałych dłoniach, Gutman przez chwilę przyglądał się jej z obu stron. Podniósł głowę, uśmiechnął się uprzejmie i rzucił ją Spade'owi.

Koperta, chociaż nie gruba, była dość ciężka, aby dolecieć do celu. Trafiła Spade'a w pierś i opadła na kolana. Były w niej tysiąc dolarowe banknoty, gładkie, sztywne i nowe. Spade wyjął je z koperty i przeliczył. Było ich dziesięć. Podniósł głowę z uśmiechem.

- Mówiliśmy o większej sumie - powiedział łagodnie.

- Tak, proszę pana, mówiliśmy - przyznał Gutman - ale wtedy mówiliśmy, a teraz przeprowadzamy transakcję. To są prawdziwe pieniądze, obiegowe. Za jeden taki dolar można kupić więcej niż za dziesięć gadanych.

Cichy śmiech wstrząsnął wałkami tłuszczu. Kiedy ustało ich podrygiwanie, Gutman zaczął mówić poważniej, lecz jeszcze niezupełnie poważnie:

- Tym razem jest nas więcej do podziału. - Wskazał oczyma i ruchem głowy Caira. - Krótko mówiąc, sytuacja się zmieniła.

Podczas gdy Gutman mówił, Spade wyrównał brzegi dziesięciu banknotów, wsunął z powrotem do koperty i zamknął ją. Usiadł pochyłony do przodu, z rękami opartymi na kolanach, i trzymając dwoma palcami róg koperty kołysał nią między kolanami. Odpowiedział Gutmanowi niedbale:

- Tak, teraz jesteście razem, ale sokół jest w moich rękach.

Joel Cairo, ściskając dłońmi poręcze fotela, pochylił się i powiedział wysokim głosem:

- Nie sądzę, aby trzeba było panu przypominać, że chociaż sokół jest w pańskich rękach, to pan jest w naszych.

Spade uśmiechnął się.

- Staram się tym nie przejmować - rzekł. Wyprostował się, położył kopertę obok na kanapie i zwrócił się do Gutmana: - Jeszcze wrócimy do pieniędzy. Teraz należy zająć się czym innym. Trzeba się postarać o kozła ofiarnego.

Grubas zmarszczył brwi nie rozumiejąc, lecz zanim zdążył przemówić, Spade wyjaśnił:

- Policja musi mieć ofiarę: kogoś, kogo będzie mogła przyskrzynić za te trzy morderstwa. Musimy...

- Dwa, tylko dwa; nie ma wątpliwości, że to Thursby zabił pańskiego współnika.

- Dobra, więc dwa - mruknął Spade. - Cóż to za różnica? Chodzi o to, że musimy podsunąć policji...

Teraz wtrącił się Gutman, z uśmiechem zaufania i pewnością siebie.

- Otóż, proszę pana, wnioskując z tego, cośmy widzieli i słyszeli o panu, nie sądzę, abyśmy musieli tym się przejmować. Możemy z całym spokojem pozostawić policję na pańskiej głowie. Poradzi pan sobie bez naszej nieumiejętnej pomocy.

- Jeżeli pan tak sądzi - odparł Spade - to za mało pan słyszał i widział.

- No, no, panie Spade. Nie może pan teraz oczekiwać od nas, abyśmy uwierzyli, że pan się obawia policji lub nie może sobie poradzić...

Spade parsknął nosem. Pochylił się, oparł ręce na kolanach i przerwał gniewnie Gutmanowi:

- Wcale się ich nie boję i wiem, jak sobie z nimi poradzić. Właśnie to usiłuję panu wytłumaczyć. Żeby sobie z nimi poradzić, trzeba podsunąć im ofiarę, kogoś, na kim będą się mogli wyładować.

- Przyznaję, że jest to jeden ze sposobów, ale...

- Jakie tam „ale”! - rzekł Spade. - To jedyny sposób. - Oczy mu pałały pod zaczerwienionym czołem. Siniec na skroni był szkarłatny. - Wiem” co mówię. Byłem już nieraz w podobnej sytuacji i spodziewam się, że jeszcze będę. Często musiałem powiedzieć wszystkim, aż do Sądu Najwyższego włącznie, żeby szli sobie do diabła, i nikt mi nic nie zrobił. Nikt mi nic nie zrobił, bo nigdy nie zapomniałem o dniu porachunku. Nigdy nie zapomniałem, że gdy nadejdzie dzień porachunku, muszę być gotowy, aby móc wejść do głównej komendy policji i popychając przed sobą ofiarę powiedzieć: „Oto macie, bałwany, swojego przestępcę”. Jak długo jestem w stanie to zrobić, mogę gwizdać na wszystkie prawa i przepisy. Ale jeżeli raz mi się to nie uda, będę gryzł ziemię. Jak dotąd, zawsze mi się udawało. I tym razem musi się udać. Niech nikt nie ma złudzeń.

Oczy Gutmana zamigotały niespokojnie, ale reszta twarzy zachowała wśród tłustych różowych wypukłości wyraz zadowolenia z siebie i w głosie nie było niepokoju.

- Za tym systemem wiele przemawia. Boże, jak wiele! Gdyby dało się go zastosować tym

razem, pierwszy bym powiedział: „Proszę się go trzymać za wszelką cenę”. Ale mamy tu przypadek, w którym nie można go zastosować. Tak bywa z najlepszymi systemami. Zdarza się, że trzeba uczynić wyjątek, i człowiek mądry musi się z tym pogodzić. Otóż tak właśnie jest w naszym wypadku i pozwolę sobie zauważyć, że otrzymał pan bardzo dużą zapłatę za ten wyjątek. Zapewne będzie pan miał większy kłopot, niż gdyby udało się panu znaleźć kozła ofiarnego, ale... - roześmiał się i rozłożył ręce - nie należy pan do ludzi, którzy się boją odrobiny kłopotów. Zna się pan na tym i wie, że w końcu bez względu na to, co się stanie, wyjdzie pan cało. - Ściągnął usta i przykrył jedno oko. - Da pan sobie radę, proszę pana.

Oczy Spade'a nie straciły ognia. Twarz miał tępą, bez wyrazu.

- Wiem, o czym mówię - powiedział cierpliwie. - To jest mój teren i moja gra. Tym razem mógłbym z pewnością wyjść z tego cało, ale gdybym kiedyś znowu spróbował wyciąć jakąś sztuczkę, toby mnie tak szybko wzięli za kark, że udławiłbym się własnymi zębami. Wy, cwaniacy, będziecie sobie w Nowym Jorku czy Konstantynopolu, a mnie tu trzymają interesy.

- Ale z pewnością - zaczął Gutman - może pan...

- Nie mogę - powiedział Spade gwałtownie. - Nie mogę i nie chcę. - Wyprostował się. Uprzejmy uśmiech rozjaśnił mu twarz usuwając otępiały wyraz. - Słuchaj pan, panie Gutman. Mówię panu, co jest najlepsze dla nas wszystkich. Jeśli nie darny policji kozła ofiarnego, jest niemal pewne, że wcześniej czy później dowiedzą się o sokole. Wtedy będzie pan musiał ukryć się gdzieś razem z nim - choćby pan był na krańcu świata - a w ten sposób nie zrobi pan majątku. Niech więc im pan da kozła ofiarnego, a poprzestaną na tym.

- Otóż właśnie o to chodzi - odparł Gutman, którego wzrok jedynie zdradzał lekki niepokój. - Czy na tym poprzestaną? Czy kozioł ofiarny nie będzie dla nich nowym śladem, który ich doprowadzi do sokoła? Z drugiej strony, czy nie sądzi pan, że już machnęli ręką i że najlepszą dla nas rzeczą byłoby nie rozdmuchiwać sprawy na nowo?

Rozwidlona żyła na czole Spade'a zaczęła nabrzmiwać.

- Chryste! Widzę, że pan też nie ma o tym pojęcia - rzekł tłumiąc głos. - Oni nie śpią, Gutman. Przyczaili się i czekają. Niech pan spróbuje to zrozumieć. Ja siedzę w tej sprawie po szyję i oni to doskonale wiedzą. Wszystko dobrze, jeśli się czymś wykażę, gdy przyjdzie czas. Ale będzie źle, jeżeli się nie wykażę. - Znowu przybrał ton perswazji: - Słuchaj, Gutman, musimy dać im jakąś ofiarę. Na to nie ma rady. Dajmy im tego gówniarza. - Skinął głową łagodnie w stronę chłopca stojącego w drzwiach. - Przecież to on zastrzelił ich obu: Thursby'ego i Jacobiego, prawda? W każdym razie świetnie nadawałby się do tej roli. Zbierzmy konieczne dowody i oddajmy go w ręce policji.

Chłopiec w drzwiach zacisnął kąciki ust; utworzyły jakby cień uśmiechu. Propozycja Spade'a najwidoczniej nie wywołała wrażenia.. Joel Cairo siedział z na wpół otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, położył na twarzy i zdumiony. Oddychał przez usta i jego zniewieściała pierś wznosiła się i opadała przy oddechu. Wpatrywał się w Spade'a. Brigid O'Shaughnessy odsunęła się od Spade'a i obróciła na kanapie, żeby lepiej go widzieć. Była tak zmieszana i

zdumiona, jakby zaraz miała wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Gutman długą chwilę siedział nieruchomy i bez wyrazu. Potem postanowił się roześmiać. Śmiał się serdecznie i długo, póki oczy nie rozbłysły mu na powrót wesołością. Skończywszy powiedział:

- No, wie pan, ależ z pana człowiek! - Wyjął z kieszeni białą chusteczkę i otarł oczy. - Tak, proszę pana:, nigdy nie wiadomo, co pan zrobi lub powie, chyba tylko, że będzie to coś zdumiewającego.

- W tym nie ma nic śmiesznego. - Spade nie wydawał się urażony śmiechem grubasa. Mówił jak człowiek, który chce przekonać opornego, lecz w miarę rozsądnego przyjaciela. - To jest najlepsze wyjście. Mając go w rękach, policja...

- Ależ, mój drogi panie - zaprotestował Gutman.- czy pan nie - rozumie? Gdyby mi choć na chwilę przyszło na myśl... Ależ to śmieszne. Wilmer jest dla mnie jakby synem, naprawdę, lecz gdyby mi choć na chwilę przyszło na myśl zrobić, co pan proponuje, cóż powstrzymałoby Wilmera przed zdradzeniem policji wszystkich szczegółów o nas i o sokole?

Spade uśmiechnął się sztywnymi ustami.

- Gdyby było trzeba - rzekł łagodnie - mógłby zostać zabity stawiając opór przy aresztowaniu. Nie musimy jednak posuwać się aż tak daleko. Niech gada, ile wlezie. Obiecuję panu, że nikt nie wyciągnie z tego żadnych konsekwencji. To bardzo łatwo zrobić.

Na różowe, mięsiste czoło Gutmana wystąpiły zmarszczki. Opuścił głowę, opierając podbródek o kołnierz, i spytał:

- Jak?

Potem uniósł głowę z szybkością, która wprawiała w drgania zwały tłuszczu, obrócił się w stronę chłopca i ryknął śmiechem.

- Co o tym sądzisz, Wilmer? Śmieszne, co? Zimne orzechowe oczy chłopca błysnęły spod rzęs.

Powiedział cichym, wyraźnym głosem:

- Śmieszne... sukinsyn!

- Jak się teraz czujesz? - pytał tymczasem Spade Brigid O'Shaughnessy. - Trochę lepiej?

- Tak, dużo lepiej, tylko... - zniżyła głos, żeby inni nie mogli usłyszeć - boję się.

- Nie ma czego - odrzekł beztrósco i położył dłoń na jej kolanie w szarej pończosze. - Nic bardzo złego się nie stanie. Napijesz się czegoś?

- Nie, nie teraz, dziękuję. - Znowu ściszyła głos. - Bądź ostrożny, Sam.

Spade uśmiechnął się i spojrział na Gutmana, który wpatrywał się w niego. Grubas uśmiechał się miło, przez chwilę nic nie mówiąc, a potem spytał:

- Jak?

Spade udał, że nie rozumie.

- Co: jak?

Grubas uznał, że wypada się jeszcze roześmiać, a później wyjaśnił:

- Jeżeli pan mówi o tym poważnie - chodzi o pańską propozycję - uprzejmość nakazuje wysłuchać pana do końca. Otóż jak pan to załatwi, że Wilmer - przerwał na chwilę, żeby się znów zaśmiać - nie będzie mógł nam zaszkodzić?

Spade potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Nie chcę nadużywać niczyjej uprzejmości. Zapomnijmy o tym.

Grubas wydał policzki.

- No, nie, nie - zaprotestował - stawia mnie pan w niemiłym położeniu. Nie powinienem się śmiać, z całą szczerością i pokorą proszę o wybaczenie. Nie chciałbym, żeby pan odniósł wrażenie, że wyśmiewam pańską propozycję, proszę pana, niezależnie od tego, jak dalece się z panem nie zgadzam. Musi pan bowiem wiedzieć, że ogromnie podziwiam i cenię pańską przebiegłość. Otóż uważam, że propozycja pana nie może być w żaden sposób przyjęta, nawet pomijając fakt, że nie mógłbym żywić szerszych uczuć do rodzonego syna niż do Wilmera. Uznałbym jednak za osobisty zaszczyt oraz oznakę przyjęcia moich przeprosin, gdyby pan zechciał przedstawić mi tę propozycję w całości.

- Dobra - rzekł Spade. - Otóż Bryan jest jak większość prokuratorów okręgowych. Interesuje go bardziej własna kariera niż cokolwiek innego. Raczej porzuciłby wątpliwą sprawę, niżby się jej podjął na własną szkodę. Nie wiem, czy kiedykolwiek rozmyślił kogoś, kogo uważał za niewinnego, ale nie mogę sobie wyobrazić, aby wierzył, że ludzie są niewinni, jeśli może wytrzasnąć dowód ich winy. Aby uzyskać pewność skazania jednego człowieka, gotów jest puścić pół tuzina równie winnych przestępców, jeżeli próba skazania ich może pogmatwać sprawę.

I właśnie przed takim wyborem go postawimy, a na pewno połknie haczyk. Nie będzie chciał słyszeć o sokole. Stanie na głowie, żeby przekonać samego siebie, że wszystko, co gówniarz powie, jest kupą bzdur wyssanych z palca, próbą zagmatwania sprawy. Zostawcie to mnie. Już ja potrafię mu udowodnić, że jeśli zacznie się grzebać próbując zgarnąć wszystkich, będzie miał bardzo powikłaną sprawę, w której żaden sąd przysięgłych się nie wyzna, a jak zadowolony gówniarzem, z założonymi rękami uzyska wyrok skazujący.

Gutman pokiwał głową na boki powolnym gestem łagodnej nagany.

- Nie, proszę pana - rzekł - obawiam się, że to nie wystarczy. Nie rozumiem, jak nawet ten

pana prokurator zdoła powiązać Thursby'ego, Jacobi i Wilmera bez...

- Pan nie zna prokuratorów okręgowych - powiedział Spade. - Z Thursbym sprawa jest łatwa. Był bandziorem, jak i nasz gówniarz. Bryan ma już w tej chwili teorię na ten temat. Z tym nie ma kłopotu. No, a przecież mogą powiesić gówniarza tylko raz. Po co stawiać go przed sądem za zamordowanie Jacobiego, gdy go już raz skazą za Thursby'ego? Po prostu odfajkują sprawę zapisując morderstwo na jego konto. Jeżeli - co jest bardzo prawdopodobne - użył w obu przypadkach tej samej broni, kule będą pasowały. To każdego zadowolili.

- Tak, ale... - zaczął Gutman i urwał oglądając się na chłopca.

Chłopiec ruszył spod drzwi i krocząc na sztywnych nogach, wyszedł na środek pokoju i stanął między Gutmanem a Cairem. Stał lekko pochylony, z uniesionymi barkami. Ręka z rewolwerem nadal zwisała przy boku, ale knykcie palców ściskających rękojeść zbieleły. Druga dłoń była zaciśnięta w pięść. Niezatarta młodzieńczość jego twarzy nadawała nieopisanie występny, nieludzki wyraz jego płomiennej nienawiści i chłodnej złośliwości. Powiedział do Spade'a głosem pełnym pasji:

- Wstawaj, draniu, i ruszaj po spluwę!

Spade uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen szczerego i niezmaconego rozbawienia.

- Wstawaj i łap za spluwę, jeżeli się nie boisz. Mam już dość twoich kpin i więcej nie zniosę.

To rozbawiło Spade'a jeszcze bardziej. Spojrzał na Gutmana i rzekł:

- Młody Dziki Zachód. Może mu pan wyjaśni, że zabicie mnie byłoby bardzo złe dla sprawy.

Próba uśmiechu Gutmana dała w wyniku nienaturalny grymas twarzy. Oblizwał zaschłe usta suchym językiem. Głos jego brzmiał zbyt ochryple i skrzypiąco jak na ojcowski ton, który starał się przybrać.

- No, no, Wilmer - rzekł. - Tak nie wolno. Nie powinieneś przywiązywać do tego tak wielkiej wagi. Ty...

Chłopiec, nie odrywając wzroku od Spade'a, powiedział zdławionym głosem:

- To niech się odwali ode mnie, bo inaczej go stuknę i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

- Uspokój się, Wilmer. - Gutman zwrócił się do Spade'a. Twarz i głos miał już opanowane. - Pańskiego planu, jak powiedziałem na początku, nie da się przeprowadzić. Nie mówmy już na ten temat.

Spade spoglądał to na jednego, to na drugiego. Przestał się uśmiechać. Twarz miał bez wyrazu.

- Mówię, co mi się podoba - powiedział.



- Oczywiście - rzekł Gutman szybko - i to jest jedna z cech, które zawsze w panu podziwiałem. Ale ten plan jest nierealny, więc sam pan rozumie: nie ma powodu, aby do tego wracać.

- Wcale nie rozumiem - odparł Spade - a pan mi nie wytłumaczył i nie wytłumaczy. - Ściągnął brwi. - O co chodzi? Czy ja tu tylko tracę czas na gadanie z panem? Sądziłem, że pan tu decyduje. Może powinienem rozmawiać z gówniarzem? Mogę to zrobić.

- Nie, proszę pana - odrzekł Gutman. - Słusznie pan uczynił rozmawiając ze mną.

- Dobra - powiedział Spade. - Zrobię więc inną propozycję. Nie jest tak dobra jak tamta, ale lepszy rydz niż nic. Chce pan?

- Jak najbardziej.

- Dajmy im Caira.

Cairo pośpiesznie chwycił rewolwer ze stołu. Trzymał go mocno dwoma rękami na kolanach, wycelowany trochę w bok od kanapy. Twarz znowu mu zżółkła. Czarne oczy spoglądały po twarzach zebranych. Matowość tych oczu sprawiała, że wydawały się płaskie, dwuwymiarowe.

Gutman z wyrazem niedowierzania w twarzy spytał:

- Co?

- Dajmy policji Caira.

Gutman jakby chciał się roześmiać, lecz nie roześmiał się. Wreszcie wykrzyknął niepewnym tonem:

- Ależ na miłość boską, panie!

- Lepszy byłby, oczywiście, gówniarz - rzekł Spade - bo Cairo nie jest bandziorem i-nosi mniejszy rewolwer niż ten, którym zastrzelono Thursby'ego i kapitana Jacobi. Mielibyśmy większy kłopot z dowodem jego winy, ale już lepiej dać policji jego niż nikogo.

- A gdybyśmy tak dali policji pana albo pannę O'Shaughnessy - krzyknął pełnym oburzenia głosem Cairo - skoro pan się uparł, żeby im kogoś dać?

Spade uśmiechnął się do Lewantyńczyka i odrzekł spokojnie:

- Wy chcecie sokoła. Ja go mam. Kozioł ofiarny jest częścią ceny, jakiej za niego żądam. Co zaś do panny O'Shaughnessy - spojrział nieczułym wzrokiem na jej zwieszoną twarz, a potem znów na Caira i lekko wzruszył ramionami - jeśli sądzicie, że da się ją przystosować do tej roli, bardzo chętnie mogę to z wami rozpatrzyć.

Dziewczyna przyłożyła ręce do szyi, wydała zduszony okrzyk i odsunęła się od Spade'a. Cairo, podrygując z przejęcia, wykrzyknął:

- Zapomina pan, że nie jest pan w sytuacji, w której można czegoś żądać!

Spade zaśmiał się krótkim, pogardliwym śmiechem. Gutman powiedział z grzeczną stanowczością:

- Panowie, postarajmy się utrzymać rozmowę na przyjacielskiej stopie, chociaż z pewnością - rzekł zwracając się do Spade'a - jest coś w tym, co powiedział pan Cairo. Musi pan zważyć...

- Diabła, muszę - Spade wymawiał słowa z zimną niedbałością, która nadawała im większą wagę niż podniesiony głos lub dramatyczna emfaza. - Jeśli mnie zabijecie, to jak dostaniecie ptaka? A skoro wiecie, że nie możecie mnie zabić, póki go nie macie, to jak mnie zmusicie, żebym go wam dał?

Gutman przekrzywił głowę na bok i rozważył te pytania. Oczy mu błyszczały wśród poduchowych powiek. Wreszcie dał swą genialną odpowiedź:

- Och, proszę pana, są jeszcze inne środki perswazji oprócz groźby zabicia.

- Są - zgodził się Spade - ale nie na wiele się przydadzą, skoro nie stoi za nimi groźba śmierci. Rozumie pan? Jeśli pan spróbuje zrobić coś, co mi się nie podoba, to ja się nie zgodzę. Postawię sprawę tak, że albo pan się wycofa, albo mnie zabije, a wiem, że pan nie może mnie zabić.

- Rozumiem. - Gutman zachichotał. - Jest to stanowisko, proszę pana, które wymaga od obu stron zdrowego rozsądku, bo jak pan wie, ludzie często zapominają w zapale o swoim zasadniczym celu i dają się ponieść emocji.

- Co do mnie, to sztuka polega na tym - rzekł Spade - żeby was dobrze podkreślić, ale nie wyprowadzić z równowagi.

Gutman powiedział z zadowoleniem:

- No, no, ale z pana człowiek!

Joel Cairo zerwał się z fotela i przeszedłszy za plecami chłopca, stanął za Gutmanem. Przechylił się nad oparciem bujaka i zasłaniając dłonią usta, zaczął coś szeptać do ucha grubasa. Gutman słuchał uważnie, przymykając oczy.

Spade uśmiechnął się do Brigid O'Shaughnessy. Odpowiedziała mu słabym ruchem warg, znamionującym uśmiech, który nie znalazł odbicia w jej oczach: wciąż były jakby sparaliżowane. Spade zwrócił się do chłopca:

- Mogę się założyć, że oni chcą cię sprzedać, synalku.

Chłopiec nie odrzekł nic, ale kolana zaczęły mu drżeć tak, że aż trzęsły się nogawki spodni.

- Mam nadzieję, że nie ulegnie pan tym nędznym desperatom, wymachującym bronią na wszystkie strony - rzekł Spade do Gutmana.

Gutman otworzył oczy. Cairo przestał szeptać i wyprostował się za oparciem fotela grubasa.

- A nie będzie z tym kłopotu - ciągnął Spade - bo już raz odbierałem broń i jednemu, i drugiemu. Gówniarz jest...

- Więc dobrze! - zawołał chłopiec głosem zduszonym gniewem i szybkim ruchem poderwał rewolwer do góry.

Gutman schwycił chłopca tłustą ręką za przegub dłoni i szarpnął rękę z rewolwerem w dół, zarazem pośpiesznie dźwigając tłusty korpus z bujaka. Joel Cairo podbiegł do chłopca z drugiej strony i chwycił go za drugą rękę. Zmagali się z chłopcem ciągnąc jego ręce w dół, a on szamotał się daremnie w ich uchwycie. Wszyscy coś wykrzykiwali. Chłopiec bez ładu i składu: „Dobrze... Puszczaj... skurwysyn... ja go...” Gutman: „No, no, Wilmer!” - raz po razie, a Cairo: „Wilmer, proszę. Nie rób tego”.

Spade wstał z niewzruszoną twarzą i rozmarzonymi oczyma i podszedł do nich. Chłopiec przestał się szarpać. Cairo, trzymając go za rękę, stał trochę przed nim i przemawiał uspokajająco. Spade odsunął łagodnie Caira i lewą pięścią wyrzwał chłopca w szczękę. Głowa chłopca odskoczyła do tyłu, ale niedaleko, bo Cairo i Gutman wciąż go trzymali za ręce, a potem wróciła do przodu. Gutman zaczął rozpaczliwie protestować: - Zaraz, co... - gdy Spade uderzył chłopca z drugiej strony w szczękę.

Cairo puścił rękę chłopca, która opadła na wielki, krągły brzuch Gutmana, i skoczył do Spade'a starając się dosięgnąć zakrzywionymi palcami jego twarzy. Spade odepchnął Lewantyńczyka na bok. Cairo skoczył ku niemu po raz drugi. Miał w oczach łzy i poruszał czerwonymi ustami jakby coś mówiąc, lecz nie wypływał z nich żaden dźwięk.

Spade roześmiał się, mruknął: - Chryste, cóż za pijawka! - i chlasnął Caira otwartą dłonią w twarz, przewracając go na stół. Cairo odzyskał równowagę i skoczył trzeci raz. Spade sztywno wyciągnął swoje długie ręce i Cairo nadział się na nie twarzą. Nie mogąc dosięgnąć twarzy Spade'a zaczął go grzmocić po rękach.

- Przestań - warknął Spade - bo zrobię ci krzywdę.

- Och, ty podły tchórze! - wrzasnął Cairo i wycofał się.

Spade schylił się po rewolwer Caira, a podniósłszy go, zabrał również rewolwer chłopca. Powiesił je sobie na palcu za ochrony cyngli, lufami w dół. Gutman tymczasem położył chłopca na bujaku i stał patrząc na niego z troską w oczach. Cairo ukląkł obok bujaka i zaczął rozcierać bezwładną dłoń chłopca. Spade obmacał mu szczękę.

- Nie złamana - rzekł. - Położymy go na kanapie.

Wsunął prawą rękę pod plecy chłopca, lewą pod kolana, uniósł go bez widocznego wysiłku i zaniósł na kanapę. Brigid O'Shaughnessy szybko wstała i Spade położył chłopca. Obszukał prawą ręką jego ubranie, znalazł drugi rewolwer, dołączył go do rewolwerów, które trzymał w lewej ręce, i

obrócił się tyłem do kanapy. Cairo już siedział przy głowie chłopca. Spade ścisnął rewolwery w rękę i uśmiechnął się wesoło do Gutmana.

- Oto - powiedział - jest nasz kozioł ofiarny.

Twarz Gutmana była szara, oczy zamglone. Nie patrzył na Spade'a. Siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę i nie mówił nic.

- Niechże pan nie będzie głupi - rzekł Spade. - Słuchał pan szeptania Caira i trzymał chłopaka, jak mu dawałem wycisk. Nie może pan tego zbyć śmiechem, a jak pan spróbuje, to zaryzykuje pan kulę w łeb.

Gutman poruszył stopami na dywanie i nic nie odrzekł.

- A druga strona medalu jest taka, że albo powie pan teraz zaraz: „tak”, albo oddam was wszystkich policji razem z sokołem.

Gutman uniósł głowę i mruknął przez zęby:

- To mi nie odpowiada, proszę pana.

- To panu nie odpowiada - rzekł Spade. - A więc? Grubas westchnął, zrobił krzywą minę i odrzekł ze smutkiem:

- Niech go pan sobie bierze.

- Doskonale - powiedział Spade.

## **19. Ręka Rosjanina**

Chłopiec leżał na plecach na kanapie: drobna figurka, która - gdyby nie słaby oddech - wyglądałaby zupełnie jak zwłoki. Obok chłopca siedział pochylony Joel Cairo i nacierał mu policzki i przeguby rąk, głaskał i odgarniał włosy z czoła, szeptał do niego i patrzył niespokojnie na bladą, nieruchomą twarz.

Brigid O'Shaughnessy stała w kącie między stołem a ścianą. Jedną dłonią opierała się płasko na stole, drugą trzymała przy piersi. Przygryzała dolną wargę zębami, spoglądając ukradkiem na Spade'a, ilekroć na nią nie patrzył. Ilekroć na nią patrzył, zwracała wzrok na Caira i chłopca.

Twarz Gutmana zatraciła wyraz zatroskania i nabrała rumieńców. Wsadził ręce do kieszeni spodni. Stał przodem do Spade'a, patrząc nań bez zaciekawienia.

Spade, kołysząc od niechcenia rewolwerami w dłoni, skinął w stronę krągłych pleców Caira i

spytał Gutmana:

- Czy z nim już załatwione?

- Nie wiem - odparł grubas spokojnie. - Pozostawiam tę rolę całkowicie panu.

Uśmiech Spade'a podkreślił jeszcze trójkątny kształt jego szczęki.

- Cairo - rzekł.

Lewantyńczyk zwrócił ku niemu swą ciemną, niespokojną twarz.

- Daj mu chwilę odpocząć. Oddamy go w ręce policji. Lepiej ustalić pewne szczegóły, zanim oprzytomnieje.

- Nie sądzi pan, że wystarczy już to, co pan mu zrobił? - spytał Cairo z goryczą.

- Nie - odparł Spade. Cairo podszedł do Gutmana.

- Niech pań tego nie robi - zaczął prosić. - Musi pan zrozumieć...

Spade przerwał mu:

- To już postanowione. Pytanie tylko, co ty zrobisz? Po której staniesz stronie?

Gutman, chociaż trochę posmutniały, a nawet z nieco rzewną miną, pokiwał głową na potwierdzenie.

- Mnie się to także nie podoba - powiedział Lewantyńczykowi - ale nic na to nie poradzimy. Naprawdę nic.

- No, Cairo, więc co robisz? Decyduj się.

Cairo zwilżył wargi i zwrócił powoli twarz do Spadek.

- Przypuśćmy... - zaczął i przełknął ślinę. - Czy muszę...? Mogę wybierać?

- Możesz - zapewnił go Spade z powagą - ale muszę cię ostrzec, że jeśli odstępisz od nas, oddamy cię razem z twoim chłopaczkiem na policję.

- Och, panie Spade - sprzeciwił się Gutman - to nie jest...

- A co, mam pozwolić, żeby nas zdradził? - rzekł Spade. - Albo jest z nami, albo idzie za kratki. Nie możemy zostawić żadnych śladów. - Popatrzył ze ściągniętymi brwiami na Gutmana i powiedział gniewnie: - Chryste Panie! Czy to wasze pierwsze łotrostwo? Ale z was mięczaki! Co jeszcze macie zamiar robić: uklęknąć i modlić się? - Zwrócił się do Caira: - No, więc jak?

- Nie dał mi pan wyboru - Cairo wzruszył wątlými ramionami. - Zostaję z wami.

- Dobra - rzekł Spade i popatrzył na Gutmana i Brigid O'Shaughnessy. - Siadajcie.

Dziewczyna usiadła niepewnie na brzegu kanapy u stóp zemdłego chłopca. Gutman wrócił na bujak, Cairo na fotel. Spade położył rewolwery na stole i sam usiadł na rogu stołu obok nich. Spojrzał na zegarek na rękę i powiedział:

- Druga. Mogę dostarczyć sokoła dopiero w dzień, koło ósmej. Mamy mnóstwo czasu, żeby wszystko ułożyć.

Gutman chrząknął.

- Gdzie on jest? - spytał i zaraz dodał pośpiesznie: - Właściwie to mnie nie obchodzi. Chciałem powiedzieć, że byłoby najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, abyśmy nie tracili się z oczu, póki ostatecznie nie przypieczętujemy interesu. - Spojrzał bystrym wzrokiem na kanapę, a potem na Spade'a: - Ma pan kopertę?

Spade potrząsnął głową, spojrzawszy również na kanapę, a potem na Brigid. Uśmiechnął się oczyma i rzekł:

- Panna O'Shaughnessy ją ma.

- Tak, mam - powiedziała wkładając ręce pod płaszcz. - Podniosłam ją, gdy...

- To dobrze - rzekł Spade. - Trzymaj ją. - Zwrócił się do Gutmana: - Nie potrzebujemy tracić się z oczu. Mogę kazać przynieść sokoła tutaj.

- Wybornie - zamruczał Gutman. - A więc w zamian za dziesięć tysięcy dolarów i Wilmera da nam pan sokoła i godzinę lub dwie czasu, abyśmy nie byli już w mieście, kiedy pan będzie go oddawał władzom.

- Nie musicie uciekać - rzekł Spade. - Sprawa jest całkiem pewna.

- Bardzo możliwe, proszę pana, niemniej jednak będziemy się czuli dużo bezpieczniej daleko poza miastem, kiedy pański prokurator okręgowy będzie przesłuchiwał Wilmera.

- Jak pan sobie życzy - odparł Spade. - Jak pan chce, mogę go tu przetrzymać cały dzień. - Zaczął zwijać skręta. - No to omówimy szczegóły. Dlaczego zabił Thursby'ego? I czemu, gdzie i jak postrzelił Jacobiego?

Gutman uśmiechnął się pobłaźliwie, potrząsnął głową i zamruczał:

- Zaraz. Nie może pan przecież tego oczekiwać. Daliśmy panu pieniądze i Wilmera. Nasza rola skończona.

- Muszę tego oczekiwać - rzekł Spade. Przypalił papierosa od zapalniczki. - Zażądałem kozła ofiarnego, ale on nie jest kozłem ofiarnym, póki nie ma pewności, że wpadnie. Żeby mieć pewność, potrzebne mi pewne dane. - Ściągnął brwi. - Czego wy narzekacie? Nie będziecie mogli siedzieć tak

spokojnie jak teraz, jeżeli zostawicie mi możliwość wygrzebania się.

Gutman pochylił się i wskazał tłustym palcem na rewolwery leżące na stole obok Spade'a.

- Oto dostateczny dowód jego winy. Obaj byli zastrzeleni z tej broni. Eksperci z łatwością dowiodą, że z niej pochodzą kule w ciałach zabitych. Pan o tym wie, sam pan o tym wspominał. I to, wydaje mi się, jest wystarczającym dowodem winy.

- Może - zgodził się Spade - ale sprawa jest bardziej skomplikowana i muszę wiedzieć, co się wydarzyło, aby mieć pewność, że szczegóły, które nie pasują, nie wyjdą na jaw.

Cairo patrzył na Spade'a krągłymi, pałającymi oczyma.

- Widocznie pan zapomniał o swym zapewnieniu, że będzie to bardzo prosta sprawa - powiedział. Zwrócił podnieconą, ciemną twarz w stronę Gutmana. - Widzi pan! Radziłem panu, żeby tego nie robić. Nie sądzę...

- Wszystko jedno, co który z was sądzi - rzekł Spade szorstko. - Teraz już na to za późno i za daleko zabrnęliście. Dlaczego zabił Thursby'ego?

Gutman splótł ręce na brzuchu i zaczął kołysać się na bujaku. W jego głosie i uśmiechu był szczerzy żal.

- Jest pan człowiekiem, którego trudno pokonać - rzekł. - Zaczynam myśleć, że popełniliśmy błąd nie zostawiając pana w spokoju. Niech mi pan wierzy!

Spade zrobił dłonią niedbały gest.

- Nie wyszliście na tym tak źle. Dostaniecie sokoła i unikniecie więzienia. Czego jeszcze chcecie? - Włożył w kącik ust papierosa i powiedział: - W każdym razie wiecie teraz, na jakim gruncie stoicie. Czemu zabił Thursby'ego? Gutman przestał kołysać się w bujaku.

- Thursby był notorycznym mordercą i sprzymierzeńcem panny O'Shaughnessy. Wiedzieliśmy, że usuwając go w ten sposób, powstrzymamy ją i każemy jej się zastanowić, czy nie lepiej dojść z nami do porozumienia. Przyznaję, że chcieliśmy również pozbawić ją tak gwałtownego protektora. Rozumie pan, że jestem z panem całkiem szczerzy?

- Tak. Oby nadal tak było. Nie myślał pan, że on mógł mieć sokoła?

Gutman potrząsnął głową tak silnie, że aż zadrgały opasłe policzki.

- Nie myśleliśmy tak ani przez chwilę - odparł. Uśmiechnął się dobrodusznie. - Na szczęście doskonale znamy pannę O'Shaughnessy i choć nie wiedzieliśmy, że oddała sokoła kapitanowi Jacobi w Hongkongu, aby go tu przywiózł na „Palomie”, a sama z Thursbym wsiadła na szybszy statek, to ani przez chwilę nie sądziliśmy, że tym jednym z nich, które wie, gdzie jest sokół, może być Thursby.

Spade pokiwał głową w zamyśleniu i zapytał:

- Nie próbowaliście dojść z nim do porozumienia, nim daliście mu w łeb?

- Ależ, oczywiście, próbowaliśmy. Sam z nim rozmawiałem owego wieczora. Wilmer odnalazł go dwa dni przedtem i usiłował wysłedzić, gdzie Thursby spotyka się z panną O'Shaughnessy. Thursby był jednak na to za sprytny, nawet kiedy nie wiedział, że jest śledzony. A więc tej nocy Wilmer udał się do hotelu, w którym Thursby mieszkał, a nie zastawszy go, zszedł na ulicę. Przypuszczam, że Thursby powrócił do hotelu natychmiast po zabiciu pańskiego współnika. W każdym razie Wilmer przyprowadził go do mnie. Ponieważ zaś u mnie okazało się, że jest niezwykle lojalny wobec panny O'Shaughnessy, Wilmer udał się za nim do hotelu i zrobił, co miał zrobić. Spade pomyślał chwilę i powiedział:

- To nieźle brzmi. Teraz Jacobi.

Gutman popatrzył na Spade'a poważnymi oczami i rzekł:

- Winę za śmierć kapitana Jacobi ponosi całkowicie panna O'Shaughnessy.

Z ust dziewczyny wydarł się okrzyk: - Och! - i zakryła usta dłonią.

- Nie mówmy teraz o tym - rzekł Spade spokojnie. - Niech pan powie, co się stało.

Rzuciwszy bystre spojrzenie na Spade'a, Gutman uśmiechnął się.

- Jak pan sobie życzy - powiedział. - Otóż Cairo porozumiał się ze mną; posłałem po niego, jak wyszedł z komendy policji owej nocy czy ranka, kiedy był tutaj u pana. Doceniliśmy obopólne korzyści, jakie może dać połączenie wysiłków. - Skierował uśmiech w stronę Lewantyńczyka. - Pan Cairo jest człowiekiem rozsądnym. To on pomyślał o „Palomie”. Zobaczył wiadomość o jej przybyciu w gazecie i przypomniał sobie, że kiedyś w Hongkongu widziano pannę O'Shaughnessy w towarzystwie kapitana Jacobi. To było wówczas, gdy usiłował ją tam odnaleźć i początkowo sądził, że wyjechała na „Palomie”, lecz później dowiedział się, że nie. Otóż, proszę pana, ujrzawszy notatkę w gazecie odgadł, co zaszło: dała kapitanowi ptaka, żeby go tu przywiózł. Jacobi oczywiście nie wiedział, co to jest. Panna O'Shaughnessy jest bardzo dyskretna.

Uśmiechnął się promiennie do dziewczyny, zakołysał się dwa razy na bujaku i mówił dalej:

- Pan Cairo, Wilmer i ja udaliśmy się z wizytą do pana Jacobi i mieliśmy szczęście przybyć w chwili, gdy była tam panna O'Shaughnessy. Odbyliśmy dość trudną konferencję, lecz w końcu, około północy, przekonaliśmy pannę O'Shaughnessy o słuszności ugody. A może tylko nam się tak wydało? Wówczas opuściliśmy statek i poszliśmy do mnie do hotelu, gdzie miałem dać pieniądze pannie O'Shaughnessy i otrzymać sokoła. Otóż my, mężczyźni, powinniśmy być mądrzejsi i nie sądzić, że zdołamy sobie z nią poradzić. W drodze do hotelu ona, kapitan i sokół wymknęli się nam z rąk. - Roześmiał się wesoło. - To było świetnie zrobione, proszę pana.

Spade spojrzał na dziewczynę. Jej oczy, wielkie i ciemne, spotkały jego wzrok.

- Podpalił pan statek przed' odejściem? - spytał Gutmana.



- To było nieumyślne - odparł grubas - choć ośmielę się powiedzieć, że jesteśmy - a przynajmniej Wilmer - odpowiedzialni za ten pożar. Poszedł szukać sokoła, kiedy my wszyscy rozmawialiśmy w kajucie, i niewątpliwie obchodził się nieuważnie z zapalkami.

- Doskonale - rzekł Spade. - Na wypadek gdyby trzeba było sądzić go również za zamordowanie kapitana, dorzucimy mu jeszcze podpalenie statku. W porządku. No, a jak było z tym morderstwem?

- Otóż, proszę pana, biegaliśmy po mieście cały dzień usiłując ich odnaleźć, i wreszcie udało nam się to późnym popołudniem. Początkowo nie byliśmy pewni, czyśmy ich znaleźli. Wiedzieliśmy jedynie, że znaleźliśmy mieszkanie panny O'Shaughnessy. Ale posłuchawszy pod drzwiami usłyszeliśmy, że są w mieszkaniu, więc uzyskaliśmy pewność, że ich mamy, i zadzwoniliśmy. Kiedy zapytała przez drzwi kto, a my odpowiedzieliśmy, usłyszeliśmy odgłos otwieranego okna.

Wiedzieliśmy, rzecz jasna, co to oznacza, więc Wilmer pobiegł ile sił w nogach na dół, żeby obstawić wylot schodów przeciwpożarowych na tyłach budynku. Kiedy skręcił w zaułek, nieomal zderzył się z kapitanem Jacobi uciekającym z sokołem pod pachą. Sytuacja była bardzo trudna, lecz Wilmer spisał się znakomicie. Strzelił do niego parę razy, ale kapitan ani nie upadł, ani nie rzucił sokoła i był za blisko, żeby Wilmer mógł usunąć mu się z drogi. Powalił Wilmera i pobiegł dalej. A to wszystko było w świetle dziennym, po południu, pan rozumie. Kiedy Wilmer się podniósł, zobaczył nadchodzącego policjanta. Musiał więc zaprzestać pościgu. Wskoczył w drzwi sąsiedniego budynku, przebiegł na drugą stronę i na ulicę, a potem wrócił do nas, na szczęście nie zauważony.

Tak więc utknęliśmy znowu. Zamknąwszy okno za kapitanem panna O'Shaughnessy otworzyła drzwi mnie i panu Cairo i... - urwał, by uśmiechnąć się do swoich wspomnień - nakłoniliśmy ją, tak, to odpowiednie słowo, aby wyznała nam, że posłała kapitana z sokołem do pana. Wydawało się mało prawdopodobne, że Jacobi zdoła dobrać do pana, jeśli nawet uniknąłby zatrzymania przez policję, lecz mieliśmy tylko tę jedną szansę. Toteż ponownie skłoniliśmy pannę O'Shaughnessy, aby nam pomogła. Otóż, hm, przekonaliśmy ją, że powinna zadzwonić do pana, aby wyciągnąć pana z biura, zanim Jacobi tam dotrze, i posłaliśmy w ślad za kapitanem Wilmera. Pech chciał, że zbyt długo trwało przekonywanie panny O'Shaughnessy, by...

Leżący na kanapie chłopiec jęknął i odwrócił się na bok. Kilkakrotnie otworzył i zamknął oczy. Dziewczyna wstała i przeszła w kąt między stołem a ścianą.

- ...zechciała z nami współpracować - zakończył pośpiesznie Gutman - więc zanim zdołaliśmy przybyć do pana, pan już miał sokoła.

Chłopiec spuścił jedną nogę na podłogę, podniósł się na łokciu, otworzył szeroko oczy, postawił drugą nogę na podłodze, usiadł i rozejrzał się wokół. Ujrzawszy Spade'a, nagle przytomniał.

Cairo wstał z fotela i podszedł do chłopca. Objął go ramieniem i zaczął coś mówić. Chłopiec zerwał się na nogi, odrzucając ramię Caira. Rozejrzał się po pokoju i wbił wzrok w Spade'a. Miał twarde wyraz twarzy i mięśnie ciała tak napięte, że wyglądał jak skurczony.

Siedząc na rogu stołu i kołyszając nogami Spade powiedział:

- Słuchaj no, chłopcze. Jeśli podejdziesz tutaj i zaczniesz się rzucać, dostaniesz kopa w zęby. Siedź i nie gadaj, to na dłużej cię wystarczy.

Chłopiec spojrzał na Gutmana. Gutman uśmiechnął się do niego dobrotliwie i rzekł:

- Mój Wilmerze, strasznie mi żal się z tobą rozstawać, chcę, żebyś wiedział, że kocham cię jak rodzzonego syna. Ale cóż? Mój Boże! Jak człowiek straci syna, może jeszcze mieć drugiego, a sokół maltański jest tylko jeden.

Spade roześmiał się. Cairo przysunął się do chłopca i zaczął mu coś szeptać do ucha. Chłopiec, nie odrywając od twarzy Gutmana zimnych, orzechowych oczu, usiadł z powrotem na kanapie. Gutman westchnął nie tracąc dobrotliwego wyrazu twarzy.

- Kiedy jest się młodym, po prostu nie rozumie się pewnych rzeczy - rzekł do Spade'a.

Cairo siedział objąwszy chłopca ramieniem i wciąż coś szeptał. Spade uśmiechnął się do Gutmana i zwrócił się do Brigid:

- Byłoby świetnie, gdybyś poszła do kuchni i poszukała czegoś do jedzenia, a także zaparzyła kawę. Dobrze? Bo ja nie chcę zostawiać gości.

- Dobrze - powiedziała i skierowała się ku drzwiom.

Gutman przestał się kołysać.

- Chwileczkę, kochanie - podniósł tłustą dłoń do góry. - Lepiej zostaw tu kopertę. Jeszcze się poplamę tłuszczem.

Dziewczyna spojrzała pytająco na Spade'a.

- Jeszcze należą do niego - rzekł Spade obojętnie.

Wyjęła kopertę i podała Spade'owi. Spade rzucił ją na kolana grubasa mówiąc:

- Niech pan usiądzie na nich, jeżeli boi się pan, że zginą.

- Pan mnie źle zrozumiał - odparł Gutman łagodnie. - Nie o to chodzi, ale interes jest interesem i należy go załatwiać w odpowiedni sposób. - Otworzył kopertę, wyjął tysiąc dolarowe banknoty, przeliczył je i zachichotał, aż mu się zatrząsał brzuch. - O, proszę: jest tylko dziewięć banknotów. - Rozłożył je na tłustych kolanach. - Sam pan wie, że było dziesięć, gdy je panu dawałem.

Uśmiechał się triumfalnie. Spade spojrzał na Brigid i spytał:

- Co ty na to?

Potrząsnęła mocno głową. Nie powiedziała nic, choć poruszyła ustami, jakby chciała coś rzec. Na jej twarzy widać było strach.

Spade wyciągnął rękę do Gutmana, a gdy ten podał mu pieniądze, przeliczył: dziewięć banknotów, oddał je Gutmanowi i wstał z tępym wyrazem twarzy. Wziął ze stołu rewolwery.

- Muszę to zbadać - rzekł rzeczowym tonem. - Idziemy do łazienki. - Skinął na dziewczynę, wcale na nią nie patrząc. - Drzwi będą otwarte i nie spuszczę ich z oka. Innej drogi niż obok drzwi łazienki stąd nie ma, chyba że ktoś chce zaryzykować skok z drugiego piętra. A nie radzę próbować.

- Ależ, proszę pana - zaprotestował Gutman - to jest niepotrzebne i niegrzeczne z pana strony tak nam grozić. Powinien pan wiedzieć, że nie mamy najmniejszej ochoty wychodzić.

- Dowiem się, jak skończę - rzekł Spade cierpliwie, lecz zdecydowanym tonem. - Ta sztuczka z banknotem daje do myślenia. Muszę znaleźć odpowiedź. To nie zajmie dużo czasu. - Dotknął ramienia dziewczyny. - Chodźmy.

W łazience Brigid O'Shaughnessy odzyskała mowę. Oparła dłonie płasko na piersi Spade'a i przysunawszy twarz do jego twarzy wyszeptowała:, - Nie wzięłam tego banknotu, Sam.

- Myślę, że nie wzięłaś - rzekł - ale muszę wiedzieć na pewno. Rozbieraj się.

- Nie wierzysz mi na słowo?

- Nie. Rozbieraj się.

- Nie rozbiorę się.

- Dobrze. Wrócimy do pokoju i tam każę cię rozebrać siłą.

Odskoczyła od niego podnosząc rękę do ust. Wytrzeszczyła oczy z przerażenia. - Zrobiłbyś to? - spytała.

- Pewnie - rzekł. - Muszę wiedzieć, co stało się z tym banknotem, i nie powstrzyma mnie przed tym niczyja dziewicza skromność.

- Och, to nie o to chodzi. - Podeszła do niego i znowu oparła dłonie na jego piersi. - Nie wstydzę się stanąć przed tobą nago, ale nie w takiej sytuacji. Czyż nie rozumiesz, że jeśli mnie do tego zmusisz, to jakbyś... jakbyś coś przekreślał?

Nie podniósł głosu.

- Nic nie rozumiem. Muszę się dowiedzieć, co się stało z banknotem, i koniec. Rozbieraj się.

Spojrzała w niewzruszone żółtoszare oczy i poczerwieniała, a potem pobladła. Wyprostowała się dumnie i zaczęła się rozbierać. Spade usiadł na brzegu wanny i obserwował ją i otwarte drzwi. Z saloniku nie dochodził żaden dźwięk. Zrzuciła z siebie szybko ubranie na podłogę. Rozebrawszy się

odstąpiła na bok i stała patrząc na niego. Patrzyła dumnie, bez zakłopotania czy buntu.

Położył rewolwery na desce klozetowej i ukląkł przed jej ubraniem twarzą do drzwi. Brał po kolei każdą sztukę i skrupulatnie badał. Nie znalazł banknotu tysiąc dolarowego. Wstał i podał jej ubranie.

- Dziękuję - powiedział. - Teraz wiem.

Wzięła od niego ubranie. Nie powiedziała nic. Spade wziął rewolwery. Wyszedł zamykając za sobą drzwi i wszedł do saloniku.

Gutman uśmiechnął się do niego uprzejmie z bujaka.

- Znalazł pan? - spytał.

Cairo, siedząc na kanapie obok chłopca, spojrzał na Spade'a pytającym wzrokiem. Chłopiec nie podniósł oczu. Siedział pochylony, z głową w dłoniach, łokciami na kolanach i wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Nie, nie znalazłem - rzekł Spade do Gutmana. - Pan go ściągnął.

Gutman zachichotał.

- Ja go ściągnąłem?

- Tak - rzekł Spade postukując rewolwerami w dłoni. - Woli pan przyznać się od razu czy dać się wpierw obszukać?

- Obszukać?

- Albo pan się przyzna - powiedział Spade - albo obszukam pana. Nie ma trzeciego wyjścia.

Gutman spojrzał na nieugiętą twarz Spade'a i roześmiał się.

- Wierzę panu, proszę pana. Naprawdę. Ale z pana człowiek.

- Pan ściągnął banknot.

- Tak, proszę pana, ściągnąłem. - Wyjął z kieszeni kamizelki zmięty banknot, wygładził go na grubym udzie, wyjął z kieszeni marynarki kopertę z dziewięcioma banknotami i dołączył do nich wygładzony banknot. - Nie mogę sobie odmówić czasami takiego żarciku, a byłem ciekaw, co pan zrobi w podobnej sytuacji. Muszę przyznać, że zdał pan egzamin celująco. Nie przyszło mi na myśl, że wpadnie pan na tak prosty sposób.

Spade uśmiechnął się drwiąco.

- Czegoś takiego można by się spodziewać po kimś w wieku naszego gówniarza.

Gutman zachichotał. Ubrana, ale bez płaszcza i kapelusza, Brigid O'Shaughnessy wyszła z łazienki, zrobiła krok w stronę saloniku, zawróciła, weszła do kuchni i zapaliła światło. Cairo przysunął się bliżej do chłopca i zaczął mu coś szeptać do ucha. Chłopiec wzruszył gniewnie ramionami.

Spade spojrzął na rewolwery, które trzymał w ręku, potem na Gutmana i wyszedł do przedpokoju. Otworzył szafę, położył rewolwery na walizce, zamknął drzwi szafy, przekręcił klucz, schował klucz do kieszeni spodni i wszedł do kuchni. Brigid napełniała aluminiową maszynkę do kawy.

- Znalazłaś, co trzeba?

- Tak - odparła zimno, nie podnosząc głowy.

Odstawiła maszynkę na bok i podeszła do niego. Zaczerwieniła się, oczy miała otwarte szeroko, wilgotne i pełne wyrzutu.

- Nie powinienes mi tego robić, Sam - powiedziała cicho.

- Musiałem się przekonać.

Schylił się, pocałował ją leciutko w usta i wrócił do saloniku.

Gutman" uśmiechnął się i podsunął mu białą kopertę z banknotami, mówiąc:

- Wkrótce będzie należała do pana, niech więc pan ją weźmie już teraz.

Spade nie wziął koperty. Usiadł w fotelu i powiedział:

- Mamy mnóstwo czasu. Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać o pieniądzach. Powinienem dostać więcej niż dziesięć tysięcy.

- Dziesięć tysięcy dolarów to kupa forsy - rzekł Gutman.

- Cytuje pan moje słowa, ale to wcale nie jest tak dużo.

- Racja, proszę pana. Nie tak dużo. Przyznaję panu rację. Ale jak na parę dni roboty, to są pieniądze łatwo zarobione.

- Panu się zdaje, że łatwo? - spytał Spade i wzruszył ramionami. - Może i tak, ale to wyłącznie moja sprawa.

- Z pewnością - zgodził się grubas. Łypnął okiem w stronę kuchni i zniżył głos: - Czy dzieli się pan z nią?

- To również wyłącznie moja sprawa.

- Z pewnością - zgodził się ponownie grubas - tylko - zawahał się - chciałbym dać panu dobrą radę.

- Proszę bardzo.

- Spodziewam się, że i tak da jej pan jakąś sumę, ale jeśli nie da jej pan tyle, ile ona we własnym mniemaniu powinna otrzymać, to radziłbym mieć się na baczności.

W oczach Spade'a pojawił się drwiący błysk.

- A co, zaraza? - spytał.

- Zaraza - odparł grubas.

Spade uśmiechnął się i zaczął skręcać papierosa. Cairo, wciąż mrucząc do ucha chłopca, objął go ramieniem. Nagle chłopiec obrócił się do niego twarzą pełną gniewu i obrzydzenia. Zaciśnął pięść i wyrzwał Cairę w usta. Cairo wydał okrzyk, jaki mógłby się wyrwać z kobiecego gardła, i szybko odsunął się na skraj kanapy. Wyjął jedwabną chusteczkę z kieszeni i przyłożył do ust. Kiedy ją odjął, była poplamiona krwią. Przyłożył ją do ust ponownie i patrzył z wyrzutem na chłopca. Chłopiec warknął: - Odwal się ode mnie - znowu ukrył twarz w dłoniach. Z chusteczki Cairę rozszedł się na cały pokój zapach chypre'u.

Okrzyk Cairę zwabił Brigid z kuchni. Spade uśmiechnął się, wskazał kciukiem kanapę i wyjaśnił:

- Normalna rzecz u zakochanych. Co tam z jedzeniem?

- Zaraz będzie - odparła i wróciła do kuchni. Spade zapalił papierosa i zwrócił się do Gutmana:

- Porozmawiajmy o pieniądzach.

- Bardzo chętnie, proszę pana - odrzekł grubas - ale od razu powiem panu szczerze, że dziesięć tysięcy to wszystko, co mam.

- Powiniennem dostać dwadzieścia.

- Chętnie bym je panu dał, ale ręczę słowem honoru, że dziesięć tysięcy to wszystko, co posiadam. Rozumie pan jednak, że to jest, oczywiście, pierwsza rata. Później...

Spade roześmiał się.

- Wiem, że później da mi pan miliony, ale zostanemy przy pierwszej racie. Piętnaście tysięcy?

Gutman uśmiechnął się, ściągnął brwi i potrząsnął głową.

- Powiedziałem panu szczerze i otwarcie i dałem słowo honoru dżentelmena, że to wszystko,

co mam i co mogę zdobyć.

- To nie jest najlepiej - rzekł ponuro Spade - ale skoro na więcej pana nie stać... niech mi pan to da.

Gutman podał mu kopertę. Spade przeliczył banknoty i właśnie chował kopertę do kieszeni, gdy weszła Brigid O'Shaughnessy niosąc tacę.

Chłopiec nie chciał jeść. Cairo wypił filiżankę kawy. Dziewczyna, Gutman i Spade zjedli jajecznicę na bekonie, grzanki z marmoladą i wypili po dwie filiżanki kawy. Potem usadowili się, żeby przeczekać resztę godzin nocnych.

Gutman palił cygaro i czytał *Słynne rozprawy kryminalne* Duke'a, chichocząc od czasu do czasu lub komentując jakiś fragment, gdy wydał mu się zabawny. Cairo przykładął chusteczkę do warg i siedział nasępiony. Chłopiec tkwił z głową w dłoniach aż do czwartej, po czym wyciągnął się na kanapie nogami w stronę Caira, odwrócił twarz do okna i zasnął. Brigid O'Shaughnessy drzemała w fotelu, słuchała komentarzy grubasa i prowadziła ze Spade'em rozwlekłe rozmowy na tematy oderwane.

Spade skręcał i palił papierosa za papierosem i chodził sobie spokojnie po pokoju. Czasem przysiadł na poręczy fotela dziewczyny lub na rogu stołu, na dywanie u jej stóp lub na krześle. Był całkiem przytomny, wesoły i pełen wigoru.

O wpół do szóstej poszedł do kuchni i zaparzył kawę. Pół godziny później chłopiec poruszył się na kanapie, zbudził się, ziewnął i usiadł. Gutman spojrzał na zegarek i spytał Spade'a:

- Czy już może pan go dostarczyć?

- Za godzinę.

Gutman skinął głową i wrócił do swojej książki.

O siódmej Spade podszedł do telefonu i wykręcił numer Effie Perine. - Halo, czy to pani Perine? Mówi Spade. Czy mogę mówić z Effie? Tak, ważna... Dziękuję. - Zagwizdał cicho parę taktów *En Cuba*. - Dzień dobry, kochanie. Przepraszam, że cię ściągnąłem z łóżka... Bardzo ważna. Słuchaj, o co chodzi: w naszej skrytce pocztowej na nazwisko Holland znajdziesz kopertę zaadresowaną moim pismem. W kopercie jest kwit z przechowalni na Pickwick Stage, na paczkę, którą dostaliśmy wczoraj. Czy możesz przynieść mi tę paczkę jak najszybciej? Tak, jestem w domu... Dziękuję ci bardzo, pośpiesz się. Do widzenia.

Za dziesięć ósma zadzwonił dzwonek od drzwi na klatkę schodową. Spade nacisnął guzik zwalniający zatrząsk. Gutman odłożył książkę i wstał uśmiechając się.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym panu towarzyszył? - spytał.

- Proszę bardzo - odparł Spade.

Gutman podszedł z nim do drzwi na korytarz. Spade otworzył je i niebawem od strony wind ukazała się Effie Perine niosąca paczkę. Szła szybko, niemal biegła, i jej chłopięca twarz była radosna i wesoła. Rzuciwszy jedno spojrzenie na Gutmana, więcej już na niego nie patrzyła. Uśmiechnęła się do Spade'a i dała mu paczkę. Wziął ją mówiąc:

- Dziękuję pani bardzo. Przepraszam, że zepsułem pani dzień odpoczynku, ale...

- Zresztą nie pierwszy raz - odparła śmiejąc się, a potem, gdy zrozumiała, że nie zamierza jej zaprosić do środka, zapytała: - Czy to wszystko?

- Tak, dziękuję.

- Do widzenia - powiedziała i poszła w kierunku wind.

Spade zamknął drzwi i zaniósł paczkę do saloniku. Gutman był czerwony na twarzy i policzki mu podrygiwały. Cairo i Brigid O'Shaughnessy podeszli do stolika, na którym Spade położył paczkę. Byli podnieceni. Chłopiec wstał blady i pełen napięcia, lecz nie oddalał się od kanapy, patrząc spod podwiniętych rzęs na pozostałych. Spade odstąpił od stolika mówiąc:

- Oto proszę.

Tłuste palce Gutmana szybko poradziły sobie ze sznurkiem i opakowaniem i za chwilę trzymał w dłoniach czarnego ptaka.

- Ach - powiedział ochryple - jest, po siedemnastu latach!

Oczy mu zwilgotniały. Cairo oblizwał czerwone usta i zatarł dłonie. Dziewczyna zagryzła dolną wargę. Wszyscy, nie wyłączając Spade'a i chłopaka, oddychali ciężko. W pokoju było chłodno, powietrze zrobiło się gęste i szare od dymu. Gutman postawił ptaka na stole i zaczął szukać czegoś w kieszeni.

- To ten ptak - rzekł - ale upewnijmy się jeszcze.

Na jego okrągłych policzkach lśnił pot. Palce mu drżały, gdy wyjmował z kieszeni i otwierał mały złoty scyzoryk. Cairo i dziewczyna stali przy nim po obu stronach, Spade trochę z tyłu, żeby móc obserwować chłopca i grupę przy stole.

Gutman przewrócił ptaka do góry nogami i zadrapał jego podstawę scyzorykiem. Czarna emalia schodziła malutkimi wiórkami, ukazując pod spodem szerniały metal. Ostrze scyzoryka zagłębiło się w metal i w zacięciu ukazał się matowy połysk ołowiu.

Gutman oddychał ze świstem. Jego twarz zrobiła się szkarłatna. Obrócił ptaka i wbił scyzoryk w jego głowę. Również i w tym miejscu ostrze odsłoniło ołów. Cisnął z łomotem scyzoryk i ptaka na stół i obrócił się do Spade'a.

- To falsyfikat - rzekł chrapliwym głosem. Twarz Spade'a spoważniała. Skinął powoli głowę i szybko schwycił Brigid O'Shaughnessy za przegub dłoni. Przyciągnął ją do siebie, a drugą ręką wziął



pod brodę i szarpnął jej głowę do góry.

- No, dobrze - ryknął jej prosto w twarz - udał ci się kawał! A teraz gadaj, co i jak!

- Nie, Sam, nie! - krzyknęła. - To jest ten, który dostałam od Kemidowa. Przysięgam na...

Między Spade'a i Gutmana wpadł Joel Cairo, wyrzucając z siebie potok gwałtownych, piskliwych słów:

- Tak! Tak!. To ten Rosjanin! Powinienem być mądrzejszy! Myśleliśmy, że jest głupi, a tymczasem on z nas zrobił głupców! - Podskakiwał i łzy płynęły mu po policzkach. - To tyś wszystko spartaczył! - wrzasnął do Gutmana. - Przez ten durny pomysł, żeby go od niego kupić! Ty opasły durniu! Tyś mu zdradził cenę ptaka i on podsunął nam duplikat odlany z ołowiu! Nic dziwnego, że tak łatwo udała nam się kradzież. Nic dziwnego, że tak ochoczo posłał mnie w świat na poszukiwanie skradzionego ptaka! Ty imbecyłu! Ty ciężki idioto!

Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Gutmanowi opadła szczęka. Zamrugał bezmyślnie oczami. Potem otrząsnął się i stał się na powrót jowialnym grubasem.

- No, no, no - rzekł dobrodusznie - nie trzeba się tak unosić. Każdy się czasem myli i niech pan będzie pewny, że cios godzi tak samo we mnie, jak w pana. Tak, tak, widzę w tym rękę Rosjanina, nie ma co do tego wątpliwości. No więc co pan proponuje? Czy mamy tak stać, ronić łzy i obrzucać się wzajemnie wyzwiskami? Czy... - przerwał i na jego twarz wypłynął uśmiech cherubina - jechać do Konstantynopola?

Cairo odjął ręce od twarzy i wybałuszył oczy.

- Pan chce?... - wyjąkał.

Zdumienie odebrało mu mowę. Gutman lekko zaklaskał tłustymi dłońmi. Oczy mu błyszczały. Głos brzmiał jak przymilne kocie mruczenie:

- Siedemnaście lat pragnąłem pojąć ten drobny przedmiot i czyniłem w tym celu wszelkie wysiłki. Jeżeli poświęcę jeszcze rok na poszukiwania, to będzie to - poruszał wargami obliczając po cichu - pięć i piętnaście siedemnastych procenta czasu już straconego.

Lewantyńczyk zachichotał i krzyknął:

- Jadę z panem!

Spade nagle puścił rękę dziewczyny i rozejrzał się po pokoju. Chłopca nie było. Spade wyszedł do przedpokoju. Drzwi na korytarz były otwarte. Zrobił nie zadowoloną minę, zamknął drzwi i wrócił do saloniku. Oparł się o framugę drzwi i patrzył na Gutmana i Caira. Przyglądał się długą chwilę Gutmanowi, a potem powiedział naśladowując mrużący głos grubasa;

- Otóż, proszę pana, muszę powiedzieć, że jesteście bandą złodziei.

Gutman zachichotał.

- To fakt, że mało jest rzeczy, - którymi moglibyśmy się pochwalić - rzekł. Ale jeszcze nie umarliśmy i nie ma sensu myśleć, że nastąpił koniec świata, bo nam się nie powiodło. - Wyciągnął lewą rękę zza siebie i nadstawił ją otwartą różową dłonią do góry. - Muszą poprosić pana o tę kopertę, którą panu dałem.

Spade ani drgnął. Twarz miał jak z kamienia.

- Zrobiłem, co do mnie należało. Dostaliście swój upragniony przedmiot. Co ja jestem winien, że się zawiedliście!

- No, no, proszę pana - rzekł Gutman przekonującym tonem. Wszyscyśmy się zawiedli, więc nie ma powodu, aby ktoś z nas ponosił cały ciężar tego i... - wyciągnął prawą rękę zza pleców. Na jego dłoni leżał niewielki, ozdobnie grawerowany i wykładany masą perłową srebrny rewolwer. - Krótko mówiąc, muszę pana prosić o zwrot moich dziesięciu tysięcy dolarów.

Twarz Spade'a nie zmieniła wyrazu. Wzruszył ramionami i wyjął kopertę z kieszeni. Chciał ją podać Gutmanowi, ale zawahał się, otworzył kopertę i wyjął jeden tysiąc dolarowy banknot. Włożył banknot do kieszeni spodni. Resztę banknotów w kopercie podał Gutmanowi.

- To za stratę mego czasu i pieniędzy - rzekł. Gutman po krótkim zastanowieniu wzruszył ramionami podobnie jak Spade i wziął kopertę.

- A teraz, proszę pana, pożegnamy się, chyba że - grube poduchy wokół jego oczu zmarszczyły się - zechce pan wziąć udział w ekspedycji konstantynopolitańskiej. Nie chce pan? Otóż, szczerze mówiąc, rad bym widział pana przy mnie. Należy pan do ludzi, jakich lubię, jest pan człowiekiem pomysłowym i rozsądnym. A ponieważ wiemy, że jest pan człowiekiem rozsądnym, żegnamy się z panem z absolutną pewnością, że zachowa pan szczegóły naszego przedsięwzięcia w tajemnicy. Na pewno doceni pan fakt, że w obecnej sytuacji wszelkie trudności prawne, które spadną na nas w związku z wypadkami minionych dni, obciążąby również pana i urocą pannę O'Shaughnessy. Jest pan zbyt bystry, żeby tego nie rozumieć.

- Rozumiem to - odparł Spade.

- Byłem tego pewien. Jestem również pewien, że nie mając innego wyjścia poradzi pan sobie jakoś z policją bez kozła ofiarnego.

- Dam sobie radę - rzekł Spade.

- Jestem tego pewien. No, cóż? Najkrótsze pożegnania są najlepsze. Adieu! - Wykonał dworny ukłon. - I pani, panno O'Shaughnessy, adieu! Zostawiam pani tego rara avis na stole jako skromne memento.

**20. Jeśli cię powieszają...**

Całe pięć minut, od chwili gdy zamknęły się drzwi za Gutmanem i Joelem Cairo, Spade stał nieruchomo, ze wzrokiem wlepionym w klamkę otwartych drzwi od saloniku. Oczy miał ponure, brwi ściągnięte, pionowe zmarszczki nad nosem głębokie i czerwone. Zaciął usta w ostre „v” i podszedł do telefonu. Nie spojrzał nawet na Brigid O’Shaughnessy, która stała przy stoliku przyglądając mu się niespokojnie.

Wziął telefon, postawił go z powrotem na półce i pochylił się nad książką telefoniczną zwisającą z rogu półki. Szybko przewracał kartki, póki nie znalazł odpowiedniej strony przesunął palcem po szpalcie, wyprostował się i znowu zdjął telefon z półki. Wykręcił numer i powiedział:

- Halo, czy jest sierżant Polhaus? Można go prosić? Tu Samuel Spade... - Patrzył w przestrzeń czekając na Polhauza. - Jak się masz, Tom. Mam coś dla ciebie... Tak, mnóstwo. Zabójcą Thursby’ego i kapitana Jacobi jest młody chłopak Wilmer Cook. - Opisał chłopca szczegółowo. - On pracuje dla niejakiego Caspera Gutmana. - Opisał Gutmana. - Ten Cairo, któregoście spotkali u mnie, też należy do bandy... Tak jest... Gutman mieszka lub mieszkał w hotelu „Aleksandria”, apartament dwanaście C. Przed chwilą wyszli ode mnie i chcą zjeżdżać, więc musicie się pośpieszyć, ale nie sądzę, że podejrzewają wyspę... Jest tam też dziewczyna, córka Gutmana. - Opisał Rheę Gutman. - Uważajcie na chłopaka. Podobno doskonale strzela... Tak jest, Tom. I jeszcze coś mam dla ciebie, tu, u mnie. Zdaje się, że te same rewolwery, którymi posłużył się przy zabójstwach... Tak jest. Życzę powodzenia.

Powoli odłożył słuchawkę na widełki i postawił telefon na półce. Zwilżył językiem wargi i spojrzał na swoje ręce. Dłonie miał mokre. Odetchnął głęboko potężnymi płucami. Oczy mu błyszczały. Odwrócił się i zrobił trzy długie, szybkie kroki do saloniku.

Brigid O’Shaughnessy otworzyła usta, spłoszona jego nagłym wejściem. Spade, stojąc tuż przed nią, wysoki, kościsty, muskularny, uśmiechnął się chłodno i patrząc na nią twardo rzekł:

- Zaczną gadać o nas, jak ich przyskrzynią. Siedzimy na dynamicie i mamy tylko parę minut, żeby się przygotować na spotkanie z policją. Mów wszystko, szybko. Gutman wysłał cię z Cairem do Konstantynopola?

Chciała zacząć mówić, lecz zawahała się i zagryzła wargę. Położył rękę na jej ramieniu.

- Gadaj, psiakrew! Wpadłem razem z tobą, więc się nie wymiguj. Gadaj. Posłał cię do Konstantynopola?

- T-tak, posłał. Spotkałam tam Joela i... i prosiłam, żeby mi pomógł. A potem...

- Czekaj. Poprosiłaś Caira, żeby ci pomógł wydostać sokoła od Kemidowa?

- Tak.

- Dla Gutmana?

Znowu się zawahała, zaczęła kręcić się pod spojrzeniem jego twardych, gniewnych oczu i powiedziała:

- Nie, wtedy już nie. Myśleliśmy, że zdobędziemy go dla siebie.

- Dobra. Co dalej?

- Och, i wtedy zaczęłam się bać, że Joel może mnie oszukać, więc... więc poprosiłam Floyda Thursby'ego o pomoc.

- Zgodził się. Dalej.

- Zdobyliśmy sokoła i pojechaliśmy do Hongkongu.

- Z Cairem? Czy uziemiliście go przedtem?

- Tak. Zostawiliśmy go w Konstantynopolu, w więzieniu, w związku z pewnym czekiem.

- Który spreparowaliście, żeby go zatrzymano? Spojrzała na Spade'a zawstydzona i szepnęła:

- Tak.

- Dobra. Teraz jesteście oboje z Thursbym w Hongkongu i macie ptaka.

- Tak, i... nie znałam go dobrze... nie wiedziałam, czy mogę mu ufać. Sądziłam, że będzie bezpieczniej... Dość że spotkałam kapitana Jacobi i wiedząc, że płynie tutaj, poprosiłam, żeby wziął ode mnie paczkę... z ptakiem. Nie byłam pewna, czy mogę ufać Thursby'emu albo czy Joe... czy ktokolwiek inny pracujący dla Gutmana nie będzie na statku, którym popłyniemy... I to wydawało się najbezpieczniejsze.

- Dobra. Potem wsiedliście na szybszy statek i przyплылиście. Co wtedy?

- Wtedy... wtedy przestraszyłam się Gutmana. Wiedziałałam, że ma ludzi... że wszędzie ma kogoś i wkrótce się dowie, co zrobiliśmy. Bałam się, że wie o naszym wyjeździe do San Francisco. Był w Nowym Jorku i jeśliby zawiadomiono go telegraficznie, miałby mnóstwo czasu, żeby już tu być, zanim przyплыniemy. I tak się stało. Nie wiedziałam, że jest, tylko bałam się, że może być, a musiałam czekać na statek kapitana Jacobi. Bałam się, że Gutman znajdzie mnie albo Floyda i przekupi go. Dlatego właśnie przyszłam do ciebie i poprosiłam, żebyś go śledził i...

- To kłamstwo - rzekł Spade. - Wodziłaś Thursby'ego za nos i doskonale o tym wiedziałaś. On tracił głowę dla kobiet. To widać z jego akt: ilekroć powinęła mu się noga, to zawsze przez kobiety. Może nie znałaś jego przeszłości, ale wiedziałaś, że jest ci zupełnie oddany.

Zaczerwieniła się i spojrzała na niego, wystraszona.

- Chciałaś usunąć go z drogi, zanim Jacobi przyjedzie z łupem. Jaki miałaś plan?

- Wiedziałałam, że opuścił Stany z jakimś szulerem, bo im się ziemia paliła pod stopami. Nie wiedziałam, co miał na sumieniu, ale sądziłam, że jak zobaczy detektywa, który mu depta po piętach, to się przestraszy i ucieknie. Nie myślałam...

- Powiedziałaś mi, że jest śledzony - rzekł Spade z przekonaniem. - Miles nie był orłem, ale był za sprytny, żeby się dać przyłapać zaraz pierwszej nocy.

- Tak, powiedziałam mu. Wyszliśmy tego wieczoru na spacer i ja udałam, że nagle odkryłam śledzącego nas pana Archera. Pokazałam go Floydowi. - Załkała. - Ale wierz mi, Sam, że nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym wiedziała, że Floyd go zabije. Sądziłam, że przestraszy się i wyjedzie z miasta. Ani przez chwilę nie myślałam, że go zabije.

Spade uśmiechnął się, ale tylko ustami, bez udziału oczu.

- Jeśli nie myślałaś, że go zabije, to miałaś rację, kochanie - rzekł.

Zdumienie i niedowierzanie odmalowały się w twarzy dziewczyny.

- Miles nie był orłem, ale - Boże święty! - za dużo miał doświadczenia, żeby dać się zaskoczyć człowiekowi, którego śledził. W ślepym zaułku, z rewolwerem w tylnej kieszeni spodni i w zapiętym płaszczu? Nigdy? Nigdy w świecie! Był głupi, ale nie aż tak. Oba wyjścia z zaułka można było obserwować z Bush Street nad tunelem. Mówiłaś, że Thursby był złym aktorem, więc nie mógłby wciągnąć podstępem Milesa w taki zaułek. Miles nie był na tyle głupi.

Zwilżył językiem usta i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Ale Miles poszedłby tam z tobą, kochanie, jeśli byłby pewien, że nie ma tam nikogo. Byłaś jego klientką, więc nie miał powodu śledzić Thursby'ego dalej, jeżeli mu powiedziałaś, żeby dał spokój. Posłuchałby, gdybyś mu powiedziała, żeby z tobą tam poszedł. Na tyle był głupi. Zmierzyłby cię oczyma, oblizał wargi i uśmiechnąłby się od ucha do ucha. A wtedy ty mogłaś stanąć w ciemności tak blisko niego, jak tylko byś chciała, i wpakować mu kulę z rewolweru, który tego wieczora wzięłaś od Thursby'ego.

Brigid O'Shaughnessy skuliła się i odsunęła od Spade'a, aż oparła się o krawędź stołu. Spojrzała na niego przerażona i krzyknęła:

- Nie, nie! Nie mów tak, Sam! Wiesz, że tego nie zrobiłam Wiesz...

- Przestań... - Popatrzył na zegarek. - Policja może tu wpaść każdej chwili. Siedzimy na dynamicie. Gadaj!

Przyłożyła wierzch dłoni do czoła.

- Czemu oskarżasz mnie o tak straszliwą...

- Przestanieś czy nie? - powiedział cicho, niecierpliwym tonem. - Tu nie ma miejsca na komedie. Słuchaj: siedzimy pod szubienicą. - Wziął ją za przeguby dłoni i zmusił, żeby stanęła przed

nim prosto. - Gadaj!

- Ja... ja... Skąd wiesz, że on... że oblizał wargi i zmierzył mnie wzrokiem?

Spade roześmiał się cierpko.

- Znałem Milesa. Ale mniejsza o to. Czemu go zabiłaś?

Wyrwała ręce z jego uchwytu i objęła go mocno za szyję, przyciągając ku sobie, póki jego usta omal nie dotknęły jej ust. Przywarła do niego całym ciałem. Objął ją i przycisnął do siebie. Powieki o ciemnych rzęsach na wpół zakrywały jej aksamitne oczy. Głos miała stłumiony, drżący:

- Z początku nie chciałam. Naprawdę nie chciałam. Chciałam, żeby się stało, jak ci powiedziałam, ale jak zobaczyłam, że Floyd nie da się przestraszyć, to...

Klepnął ją po ramieniu.

- To kłamstwo. Poprosiłaś mnie i Milesa, żebyśmy osobiście zajęli się sprawą. Chciałaś mieć pewność, że śledzić będzie ktoś, kogo znasz, i ktoś, kto zna ciebie, żeby chciał z tobą pójść. Wzięłaś tego dnia albo wieczoru rewolwer od Thursby'ego. Miałaś już wynajęte mieszkanie w „Coronet”. Był tam twój bagaż, a w hotelu nie miałaś nic. Jak przeszukiwałem twoje mieszkanie, znalazłem kwit z datą o pięć czy sześć dni wcześniejszą niż termin, który mi podałaś.

- Tak, Sam, skłamałam. Naprawdę miałam ten zamiar, gdyby Floyd... Ja... ja nie mogę powiedzieć ci tego patrząc w oczy, Sam. - Przyciągnęła jego głowę bliżej i oparłszy policzek o jego policzek, z ustami przy jego uchu, wyszeptwała: - Wiedziałam, że Floyd nie da się łatwo nastraszyć. Ale myślałam, że jak się dowie, że ktoś go śledzi, to albo... Och, Sam, nie mogę tego powiedzieć!

Przytuliła się do niego łkając.

- Myślałaś, że Floyd zaatakuje go i któryś z nich zginie. Gdyby zginął Thursby, uwolniłabyś się od niego. Gdyby zginął Miles, to postarałabyś się, żeby przyłapano Floyda, i pozbyłabyś się go i tak. Racja?

- M-mniej więcej.

- A gdy się przekonałaś, że Thursby nie zamierza go zaatakować, pożyczyłaś rewolwer i sama to zrobiłaś. Tak?

- Tak... choć niezupełnie.

- Ale prawie tak. Miałaś ten plan w zanadru od początku. Myślałaś, że przymkną Floyda za morderstwo.

- Myślałam, że zatrzymają go przynajmniej do czasu przyjazdu kapitana Jacobi z sokołem, a...

- A nie wiedziałaś wówczas, że Gutman już przyjechał i poluje na ciebie. Nie domyślałeś się

tego, bo inaczej nie pozbywałabyś się swojego bandziora. Dowiedziałaś się, że Gutman tu jest, jak usłyszałaś o zabiciu Thursby'ego. Wtedy potrzeba ci było nowego opiekuna i przysłałaś do mnie. Tak?

- Tak, ale - och, kochany! - nie tylko dlatego. Prędzej czy później i tak wróciłabym do ciebie. Od pierwszej chwili gdy ciebie zobaczyłam, wiedziałam, że...

- Kochanie - rzekł Spade czule - jeśli ci się poszczęści, to za dwadzieścia lat wypuszczą cię z San Quentin i wtedy możesz do mnie wrócić.

Odsunęła głowę w tył i popatrzyła na niego nie rozumiejąc. Spade był blady.

- Oby tylko - ciągnął dalej tym samym czułym tonem - nie powiesili cię, moje złotko, za tę słodką szyjkę. - Zaczął głaskać palcami jej szyję.

Odskoczyła od niego, oparła się o stół i stała skulona, trzymając się rękami za gardło. Patrzyła na niego błędnym wzrokiem. Otworzyła wyschnięte usta i zamknęła.

- Nie chcesz chyba... - powiedziała słabym głosem i urwała nie mogąc wydobyć słów z gardła.

Twarz Spade'a była teraz żółtoszara. Mówił cichym, łagodnym głosem, z uśmiechem na ustach, z przymrużonymi, błyszczącymi oczami.

- Oddam cię policji, ale są szanse, że ci się uda wyjść z tego z życiem. Oznacza to, że posiedzisz sobie ze dwadzieścia lat. Będę na ciebie czekał, kochanie. - Odchrząknął. - A jeśli cię powieszą, będę cię zawsze pamiętał.

Opuściła ręce i wyprostowała się. Twarz jej się rozpogodziła i tylko w oczach miała leciutki błysk niepewności. Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Och, Sam, nie mów tego nawet żartem. W pierwszej chwili okropnie mnie przestraszyłeś! Myślałam, że ty naprawdę... Bo wiesz, ty czasem robisz tak dzikie i nieprzewidziane rzeczy...

Urwała. Przysunęła twarz i zajrzała mu głęboko w oczy. Policzki i mięśnie wokół jej ust zadrżały i w oczach pojawił się strach.

- Co? Sam!

Znów przyłożyła dłonie do gardła i skuliła się. Spade się roześmiał. Jego żółtoszara twarz była mokra od potu i choć udało mu się zachować uśmiech, nie zdołał utrzymać łagodnego tonu.

- Nie bądź głupia. Padasz ofiarą. Jedno z nas musi paść ofiarą, jak te ptaszki zaczną śpiewać na policji. Mnie powiesiliby na pewno. Tobie może się lepiej poszczęścić.

- Ale... ale, Sam, nie możesz tego zrobić! Po tym, czym byliśmy dla siebie nawzajem. Nie możesz...

- Diabła tam nie mogę! Westchnęła głęboko, z drżeniem.

- Czy tylko zakpiłeś sobie ze mnie? Tylko udawałeś, że ci na mnie zależy, żeby mnie wciągnąć w pułapkę? Wcale ci na mnie... nie zależało? Nie kochałeś... nie kochasz mnie?

- Chyba Kocham - rzekł Spade. - Ale co z tego? Nie jestem Thursby ani Jacobi i nie dam zrobić z siebie durnia.

- To niesprawiedliwe! - zawołała. Łzy napłynęły jej do oczu. - Niesłuszne! Wiesz, że tak nie było! Nie możesz tak mówić!

- Diabła tam nie mogę - rzekł Spade. - Poszłaś ze mną do łóżka, żebym ci nie zadawał więcej pytań. Na prośbę Gutmana wyprowadziłaś mnie wczoraj w pole wołaniem o ratunek. Wieczorem przysłałaś tu z nimi i zostałaś na dole, żeby poczekać na mnie. Byłaś w moich ramionach, kiedy znalazłem się w potrzasku; nie mógłbym nawet sięgnąć po rewolwer, gdybym go miał przy sobie i chciał wywalczyć sobie drogę. Tylko dlatego nie wzięli ciebie z sobą, jak wychodzili, że Gutman jest za rozsądny, aby ci ufać, chyba że na krótko, gdy jest do tego zmuszony i sądzi, że dam zrobić z siebie durnia i nie chcąc ci zrobić krzywdy, nie będę mógł nic zrobić jemu.

Brigid O'Shaughnessy zamrugnęła powiekami, żeby strzepnąć łzy. Zbliżyła się o krok do niego i stała patrząc mu w oczy, dumna i wyprostowana.

- Nazwałaś mnie kłamczucha - powiedziała - a teraz ty kłamiesz. Kłamiesz, jeśli mówisz, że nie wiesz w głębi serca, że wbrew temu, co zrobiłam, Kocham cię.

Spade zrobił lekki ukłon. Krew nabiegła mu do oczu, ale poza tym twarz miał nie zmienioną.

- Może i kłamię - rzekł. - A co? Miałbym ci ufać? Miałbym ufać komuś, kto zrobił taki kawał memu... poprzednikowi Thursby'emu? Kto zabił Milesa, człowieka całkiem niewinnego, z zimną krwią, jak muchę? I tylko dlatego, żeby wykiwać Thursby'ego? Kto po kolei wykiwał Gutmana, Cairra i Thursby'ego? Kto nigdy, nawet przez pół godziny, nie postępował ze mną otwarcie? Ja miałbym ci ufać? Nie, Kochanie! Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Bo niby dlaczego?

Patrzyła mu spokojnie w oczy i odpowiedziała spokojnym, ścisłym głosem:

- Dlaczego? Jeżeli mnie nie kochasz, nie mam na to odpowiedzi. Gdybyś mnie kochał, odpowiedź byłaby niepotrzebna.

Spade miał przekrwione oczy i uśmiech na jego twarzy zmienił się w niemiły grymas. Odchrząknął i powiedział:

- Nie pora teraz na takie pogwarki. - Położył drżącą dłoń na jej ramieniu, - Wszystko mi jedno, kto kogo kocha. Nie dam się wykiwać. Nie pójdę w ślady Thursby'ego i Bóg wie kogo jeszcze. Zabiłaś Milesa i odcierpisz za to. Mogłem ci pomóc puszczając tamtych wolno i migając się samemu przed policją, ale teraz już za późno. Nic już nie mogę ci pomóc. Nie pomógłbym, gdybym nawet mógł.



Położyła dłoń na jego dłoni.

- Więc nie pomagaj - szepnęła - ale nie rań. Pozwól mi teraz odejść.

- Nie - rzekł. - Będę pogrążony, jeśli nie oddam cię policji, jak tu przyjdzie. To jedno tylko może mnie uratować.

- Nie zrobisz tego dla mnie?

- Nie pozwolę zrobić z siebie durnia.

- Nie mów tak, proszę. - Wzięła dłoń, którą trzymał na jej ramieniu, i przytuliła do twarzy. - Dlaczego mi to robisz, Sam? Przecież pan Archer nie był ci tak bliski jak...

- Miles - rzekł Spade szorstko - był skurwysynem. Stwierdziłem to w pierwszym tygodniu naszej współpracy i miałem zamiar wykopać go z firmy, jak tylko wygaśnie roczna umowa. Nic mi nie zaszkodziłaś zabijając go.

- Więc co?

Spade wyjął rękę z jej dłoni. Już się nie uśmiechał. Jego spocona, pożółkła twarz była zacięta. Oczy płonęły dziko.

- Słuchaj - powiedział. - Nie ma w tym ani krzty sensu. Ty mnie nigdy nie zrozumiesz, ale spróbuję ci wytłumaczyć jeszcze raz. Jeżeli czyjś wspólnik zostaje zabity, to ten ktoś nie może siedzieć z założonymi rękami. Wszystko jedno, jakie miał o nim zdanie. Był wspólnikiem i to wystarcza. Poza tym tak się składa, że obaj byliśmy detektywami. Jeśli detektyw zostaje zabity, nie można pozwolić, aby to uszło zabójcy na sucho. Nie można na to pozwolić ze względu na dobro organizacji, do której należał, i dobro wszystkich detektywów. Poza tym oczekiwać ode mnie, żebym ścigał złoczyńców, a potem puszczał ich wolno, oznaczałoby to samo, co kazać psu najpierw złapać królika, a później go wypuścić. Można to zrobić i w pewnych wypadkach tak się robi, ale to jest wbrew naturze. Mógłbym cię puścić pod jednym jedynym warunkiem: gdybym jednocześnie puścił Gutmana, Caira i chłopca. Tak...

- Nie mówisz tego poważnie. Nie sądzisz chyba, że uznam to, co powiedziałeś, za wystarczający powód, żeby mnie wysłać do...

- Poczekaj, aż skończę, a potem mów. Ponadto, niezależnie od moich chęci, w tej chwili jest absolutnie niemożliwe, żebym cię mógł puścić i nie poszedł za to na szubienicę razem z tamtymi. Co więcej, nie mam najmniejszego powodu, żeby ci ufać, i gdybym cię puścił i sam jakoś wybrnął, miałabyś broń przeciwko mnie, której mogłabyś użyć, kiedy ci coś strzeli do głowy. To już pięć przyczyn mojego postępowania. Szósta jest taka, że ponieważ ja również wiem coś o tobie, nie miałbym pewności, czy nie postanowisz kiedyś wyprawić mnie na tamten świat. Siódma: nie zniosę choćby najmniejszego podejrzenia, że wystrychnęłaś mnie na dudka. A ósma... no, ale już wystarczy. Wszystkie przemawiają za tym, co chcę zrobić. Może nie wszystkie są jednakowo ważne. Nie chcę się spierać. Ale pomyśl, ile ich jest. A co przemawia przeciwko mojej decyzji? Tylko to, że być

może, ty mnie kochasz i że być może ja kocham ciebie.

- Ty wiesz - szepnęła - czy kochasz mnie, czy nie.

- Nie wiem. Bardzo łatwo stracić dla ciebie głowę. - Obejrzał ją pożądlivym wzrokiem ód stóp do głów i znowu popatrzył jej w oczy. - Ale nie wiem, do czego to się sprowadza. Czyż można to wiedzieć? A gdybym nawet cię kochał, to co z tego? Może za miesiąc miłość się skończy? I co wtedy? Wtedy zacznę podejrzewać, że dałem zrobić z siebie durnia. A gdyby mnie jeszcze zamknęli, miałbym co do tego niezbitą pewność. Jeśli natomiast oddam ciebie, będzie mi przykro jak diabli - cholernie to przeżyję - ale to minie. Słuchaj. - Wziął ją za ramiona i przegiął do tyłu, pochylając się nad nią. - Jeżeli to, co powiedziałem, nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, to powiem tak: nie puszcę cię, bo wszystko mi mówi, żeby to zrobić, żeby machnąć ręką na wszelkie konsekwencje, i dlatego - niech cię diabli! - że liczyłaś na mnie tak samo jak na innych. - Puścił jej ramiona i stanął z opuszczonymi rękami.

Wzięła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ku sobie.

- Spójrz na mnie - powiedziała - i powiedz mi prawdę. Czy zrobiłbyś to, gdyby sokół okazał się prawdziwy i gdybyś dostał za niego pieniądze, których oczekiwałeś?

- A cóż to teraz ma do rzeczy? Nie sądzę, że jestem aż taki zły, za jakiego uchodzę. Podobna reputacja bardzo pomaga w interesach i ułatwia rozprawę z wrogiem.

Patrzyła na niego nic nie mówiąc. Wzruszył lekko ramionami i rzekł:

- Pieniądze to jeszcze za mało, żeby przeważyć szalę. Podniosła ku niemu twarz. Usta miała lekko rozchylone.

- Gdybyś mnie kochał, nie trzeba by było nic więcej, żeby przeważyć szalę - szepnęła.

Spade zacisnął zęby i rzekł:

- Nie zrobisz ze mnie durnia.

Powoli przysunęła wargi do jego ust i objęła go rękami za szyję. Stała w jego ramionach, kiedy rozległ się dzwonek.

Spade, trzymając lewą ręką Brigid O'Shaughnessy w pól, otworzył drzwi od korytarza. Za drzwiami stał porucznik Dundy, sierżant detektyw Polhaus i dwóch innych detektywów.

- Jak się masz, Tom. Macie ich? - spytał Spade. - Mamy - odparł Polhaus.

- Świetnie. Wejdźcie. Tu jest jeszcze ktoś dla was. - Popchnął lekko dziewczynę naprzód. - Zabiła Milesa. I mam jeszcze kilka dowodów rzeczowych: rewolwery chłopaka, rewolwer Cairra, czarną statuetkę, wokół której powstał cały ten kram, i banknot tysiąc dolarowy, którym miałem być przekupiony.

Spojrzał na Dundy'ego, ściągnął brwi, pochylił się, żeby zajrzeć porucznikowi w twarz, i wybuchnął śmiechem.

- A cóż się stało twojemu kumplowi, Tom? Wygląda na złamanego. - Roześmiał się znowu. - Założę się, że wiem. Jak usłyszał, co Gutman mu powiedział, pomyślał, że wreszcie mnie przyłapał.

- Przestań, Sam - mruknął Tom. - Nie myśleliśmy wcale...

- Diabła tam, on nie myślał - rzekł Spade wesoło. - Aż mu do tego ciekła ślinka, chociaż powinien się domyślić, że to był haczyk na Gutmana.

- Przestań - mruknął znowu Tom, zerkając niespokojnie na swego przełożonego. - W każdym razie to Cairo nam o tym powiedział. Gutman nie żyje. Chłopak zastrzelił go chwilę przed naszym przyjściem.

Spade pokiwał głową.

- Powinien był się tego spodziewać - rzekł.

Effie Perine odłożyła gazetę i zerwała się z krzesła Spade'a, gdy w poniedziałek wszedł do biura parę minut po dziewiątej.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział.

- Czy to, co jest w gazetach, to prawda? - spytała.

- Tak, proszę pani.

Rzucił kapelusz na biurko i usiadł. Twarz miał trochę szarawą, ale wesołą, a oczy, mimo że nieco przekrwione, pogodne. Dziewczyna miała oczy dziwnie szeroko rozwarte i lekko skrzywione usta. Stała przy jego krześle i spoglądała na niego z góry. Podniósł głowę, uśmiechnął się i powiedział drwiąco:

- No i co z twoją kobiecą intuicją?

Jej głos był równie dziwny jak wyraz twarzy.

- Tyś jej to zrobił, Sam? Skinął głową.

- Twój Sam jest detektywem. - Przyjrzał się jej uważnie. Objął ją ramieniem wpół i położył dłoń na jej biodrze. - Ona naprawdę zabiła Milesa, kochanie - powiedział łagodnie - ot, tak, bez zmruczenia oka.

Strzepnął palcami drugiej ręki. Wyrwała mu się, jakby dotknięcie sprawiło jej ból.

- Nie dotykaj mnie, proszę - powiedziała łamiącym się głosem. - Wiem... wiem, że zrobiłeś dobrze. Ale nie dotykaj mnie teraz.

Twarz Spade'a zrobiła się blada jak kołnierzyk jego koszuli.

Skrzypnęła klamka u drzwi od korytarza. Effie Perine odwróciła się szybko i wyszła do pierwszego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Za chwilę wróciła i powiedziała cicho:

- Iva przyszła.

Spade, nie odrywając wzroku od blatu biurka, skinął ledwie dostrzegalnie głową.

- Tak - rzekł i wzdrygnął się. - Cóż? Przyślij ją tu.

## Posłowie

Dashiell Hammett (1894-1961) zapisał się na trwałe w historii powieści detektywistycznej jako jeden z najwybitniejszych twórców.

Urodzony na farmie swego dziadka w stanie Maryland na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, nie odebrał prawie żadnego formalnego wykształcenia. Garnął się wprawdzie do nauki, pożerał książki i wykazywał nieprzeciętne zdolności, jednakże niepowodzenia finansowe ojca, który się przeniósł do Baltimore, gdzie z mizernymi rezultatami szukał szczęścia w interesach, zmusiły czternastoletniego Dashiella do porzucenia średniej szkoły politechnicznej i podjęcia pracy dla zasilenia budżetu rodzinnego. Imał się różnych zajęć, które często zmieniał, znudzony ich monotonią i brakiem perspektyw. Był posłańcem na kolei Baltimore - Ohio, dokerem, gońcem w biurze maklerskim, robotnikiem w fabryce pudełek, pracownikiem transportu. Aż w roku 1915 otrzymał z ogłoszenia pracę w baltimorskim oddziale słynnej Agencji Detektywistycznej Pinkertona. Po krótkim stażu biurowym i przeszkoleniu w rudymentach zawodu - został wywiadowcą. Zajęcie - było wprawdzie uciążliwe, lecz nareszcie trafiło mu się coś, co odpowiadało jego ruchliwej, niespokojnej naturze. Niestety, pracę przerwała wojna. Służył przez rok w wojskowej kolumnie sanitarnej w obozie pod Baltimore, na front go nie wysłano. Przeszedł natomiast podczas światowej epidemii 1918 roku influencę, zwaną wówczas hiszpanką, a w jej wyniku odezwała się gruźlica, którą prawdopodobnie zaraził się jeszcze jako chłopiec od matki. Choroba, chociaż zaleczona podczas paru pobytów w szpitalach wojskowych, nadwerężyła mu jednak zdrowie na resztę życia i powracała potem kilkoma falami. Pomiedzy kolejnymi atakami gruźlicy próbował podejmować na nowo pracę agenta Pinkertona, tym razem na zachodnim wybrzeżu, w Spokane w stanie Waszyngton i w San Francisco w Kalifornii, ale przerastało to już jego siły. Zahaczył się więc jako agent reklamowy wielkiej kalifornijskiej firmy jubilerskiej, nade wszystko jednak zaczął gorączkowo pisać wiersze, opowiadania i artykuły.

Cztery i pół roku, które w sumie przepracował w agencji Pinkertona, przesądziło niewątpliwie o gatunku literackim, jaki sobie ostatecznie obrał i w jakim wkrótce zdobył nie lada sławę. Od 1923 roku w popularnym magazynie beletrystycznym „Black Mask” („Czarna Mask”) zaczęły się regularnie ukazywać jego pisane w pierwszej osobie opowiadania o bezimiennym wywiadowcy

Kontynentalnej Agencji Detektywistycznej, znanym tylko jako Continental Op (skrót od „Operative”). Osobiste doświadczenia przydawały autentyzmu jego prozie. Demitologizował zawód detektywa również w wypowiedziach publicystycznych drukowanych periodycznie w prasie. Szczególnie głośnym echem odbił się cykl sarkastycznych uwag o jego karierze agenta Pinkertona, ogłoszony w 1923 roku w elitarnym miesięczniku literackim „Smart Set” („Elegancki Świat”). A oto co pisał dwa lata później w „Czarnej Masce”:

„Wspaniałe bywają niektóre metody naukowego śledztwa pod warunkiem, że się je ogranicza do właściwych proporcji, ale kiedy zaczyna się je wysuwać jako niezawodne na plan pierwszy, stają się zwykłą szarlatanerią i niczym więcej. Kłopot polega na tym, że przestępcy są zazwyczaj tak cholernie nienaukowi i że tacy pozostaną, jak długo podstawową cechą mentalności przestępczej będzie infantylna żądza szybkiego wzbogacenia się. Chemik, fotograf i inni eksperci służą nieocenioną pomocą naszemu staremu przyjacielowi, niedouczoneму, platfusowatemu tajniakowi, ale na dłuższą metę to on jest tym, który zapełnia więzienia przestępcami”.

Błyskotliwa kariera literacka Hammetta trwała niewiele ponad dziesięć lat, gdyż w połowie lat trzydziestych przestał właściwie pisać. Pozostawił pięćdziesiąt dwa opowiadania i pięć powieści, z których dwie ukazały się po polsku: *Sokół maltański* (*The Maltese Falcon*, 1930, przekład polski Wacława Niepokólczyckiego, „Iskry” 1965) oraz *Papierowy człowiek* (*The Thin Man*, 1932, przekład polski Krzysztofa Zarzeckiego, „Iskry” 1965). Trzy pozostałe to *Red Harvest* (*Czerwone żniwo*, 1929), *The Daine Curse* (*Fatum Daine’ów*, 1929) i *The Glass Key* (*Szklany klucz*, 1931). Przynajmniej w trzech napisanych najpóźniej wzniosł gatunek powieści kryminalnej na wyżyny pełnoprawnej literatury i jego reputacja jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich owej epoki utrzymywała się jeszcze długo potem, jak zamilkł. Utrwały ją ponadto wersje radiowe i filmowe jego powieści, w późniejszym okresie oparte już nawet nie na jego własnych scenariuszach. Szczególnie głośna była ekranizacja *Sokoła maltańskiego* w reżyserii Johna Hustona, z Humphreym Bogartem w roli detektywa Sama Spade’a, oraz *Papierowego człowieka* i serii dalszych przygód pary jego detektywów-amatorów, Nicka i Nory Charlesów, granych przez popularnych hollywoodzkich aktorów lat trzydziestych, Williama Powella i Myrnę Loy.

Hammett pozostanie na zawsze twórcą i pierwszym mistrzem tak zwanego czarnego kryminału, który w następnych dziesięcioleciach zrobił karierę na całym świecie. Powieści i opowiadania Hammetta rozgrywają się w dżungli znieprawionej Ameryki lat dwudziestych i wczesnych trzydziestych. Zbrodniarzami bywają tu zazwyczaj ludzie ze światka gangsterskiego, a bohater-detektyw chwytą się często sposobów działania niewiele mniej bezwzględnych niż przestępcy i mimo że występuje w słusznej sprawie, nie jest romantycznym obrońcą prawa, lecz pozbawionym złudzeń realistą, niekiedy ocierającym się wręcz o cynizm. Ten rodzaj prozy był oczywiście w zgodzie z gorzkim duchem epoki, nie potrafiącej lekko przejść do porządku dziennego nad niedawnym wstrząsem wojny światowej, która ostatecznie skompromitowała dziewiętnastowieczne wartości i konwenanse. Układna, oparta na wierze w potęgę rozumu powieść - detektywistyczna w stylu Conan Doyle’a, choć tak świetnie rozwijana w Anglii przez Agatę Christie i Dorothy Sayers, nie odpowiadała gorączkowemu rytmowi życia amerykańskiego dekady zwanej epoką jazzu, jakkolwiek i tu miała swoich kontynuatorów. U Hammetta dedukcja schodzi na plan drugi, na plan pierwszy wysuwa się dynamiczna akcja, niekiedy przekraczająca granice prawdopodobieństwa. Nawet bowiem pamiętając, że lata dwudzieste były w USA okresem gwałtownego rozluźnienia norm

obyczajowych, prohibicji z jej wszystkimi odwrotnymi od zamierzonych skutkami ubocznymi oraz szczytowego nasilenia się korupcji i gangsteryzmu - trudno nie zauważyć, że wiele utworów Hammetta, opowiadając wprawdzie historie, od których nie można się oderwać, piętrzy sensacyjne wydarzenia w sposób, który nie wytrzymuje próby trzeźwiejszej refleksji. Dotyczy to jednak głównie wczesnych opowiadań i powieści, których bohaterem jest Continental Op, w *Sokole maltańskim* natomiast sensacja utrzymuje się już w granicach rozsądku.

Mocne efekty, niekiedy wyraźnie przerysowane, były wszakże świadomym zabiegiem pisarskim Hammetta, który chciał, wyolbrzymiając, piętnować zło i odkłamywać zafałszowany obraz Ameryki, utrwalany przez sentymentalną literaturę. Według wszelkich przekazów ludzi, którzy go bliżej znali, był silną indywidualnością o zdecydowanych przekonaniach lewicowych i charakterze niezmiernie trudnym w codziennym obcowaniu. Takim utrwaliła go między innymi w trzech tomach wspomnień jego długoletnia przyjaciółka, znakomita dramatopisarka Lillian Hellman. Na podstawie jednego z opowiedzianych przez nią epizodów reżyser Fred Zinnemann nakręcił w roku 1977 wstrząsający film *Julia*, znany z naszych ekranów. Obok dwóch przyjaciółek, antyfaszystki Julii, która ginie z rąk hitlerowców (grała ją Vanessa Redgrave), i narratorki, debiutującej pisarki Lillian (Jane Fonda), trzecią niezapomnianą kreację, przyjaciela i mentora literackiego tej ostatniej właśnie Dashiella Hammetta, stworzył Jason Robards. Kto widział ten film, może sobie wyobrazić, jak silną osobowością był Hammett, mimo że w ekranowym wcieleniu sprawą, o którą on walczy, jest właściwie tylko doskonałość artystyczna tworców dramatycznych jego przyjaciółki. Rzeczywisty Hammett walczył przez całe życie twardo o rozmaite sprawy, które uważał za słuszne, i niejednokrotnie ryzykował wiele dla pryncypiów.

*Sokół maltański* jest najgłośniejszą powieścią Hammetta; na ogół uznawany też bywa za najlepszą. Sam autor za swoją najlepszą powieść uważał jednak *Szklany klucz*, a również *Papierowy człowiek* według niektórych góruje nad *Sokołem* charakterystyką postaci i środowiska czy nawet intrygą kryminalną. Historia bezcennej maltańskiej figurki, za którą uganiają się po świecie przez długie lata konkurencyjne gangi, wydaje się bowiem w najlepszym razie mało prawdopodobna. Zauważyli to już pierwsi recenzenci powieści, którzy wszakże nie mogli jej się równocześnie nachwalić za inne walory. One to właśnie - barwne postacie, prawdziwość zarówno szczegółu, jak i ogólnej sytuacji miejsca i czasu, realizm języka, pomysłowy sposób prowadzenia akcji, a nade wszystko pełnokrwisty i niejednoznaczny portret psychologiczny głównego bohatera - przesądziły o tym, że *Sokół maltański* stał się modelem nowego typu powieści kryminalnej. Rychło też doczekał się nobilitacji na swego rodzaju arcydzieło gatunku przez włączenie do znakomitej serii klasyki dawnej i nowej, Modern Library. W przedmowie do tego wydania, w 1934 roku, Hammett zdradził co nieco ze swojej „kuchni” pisarskiej, wskazując na pewne doświadczenia z lat pracy detektywistycznej, które zapadły mu w pamięć i zaowocowały po latach takim, a nie innym obrazem bohaterów powieściowych:

„Pierwowzór Gutmana śledziłem w Waszyngtonie i nie przypominam sobie drugiego człowieka, którego śledzenie tak by mnie znudziło. Nie gonił on oczywiście za sokołem wysadzonym klejnotami, ciążyło na nim natomiast podejrzenie, że jest szpiegiem niemieckim. Z prototypem Dundy’ego zetknąłem się kiedyś na stacji przetokowej w Północnej Karolinie. Postać Caira zaczerpnąłem z pewnej sprawy o fałszerstwo w 1920 roku. Porządna Effie zaproponowała mi w San Diego spółkę w przemyśle narkotyków. Rewolwerowca Wilmera poznałem w Stockton, w

Kalifornii. Był to spokojny, schludny, drobny chłopiec o gładkiej buzi, miał może dwadzieścia jeden lat. Dokonał przed tygodniem napadu na miejscową stację benzynową i szczerą dumą napawało go przezwisko, jakie mu nadały gazety - Bandyta Mikrus. Wyprowadził go natomiast z równowagi sposób, w jaki go opisał właściciel stacji, i jego oświadczenie, co zrobi z tym kurdupłem, jeśli ten mu się jeszcze kiedyś nawinie na oczy, a już on się o to postara. Wtedy właśnie zgarnęliśmy gagatka”.

Chociaż są to zaledwie wzmianki natury anegdotycznej, można się z nich domyślać, że spotkane osoby posłużyły Hammettowi za model nie tylko wyglądu zewnętrznego, lecz także zróżnicowanych sylwetek psychologicznych konkurujących ze sobą członków bandy. Zresztą w przypadku Wilmera otrzymujemy już nawet jakby pierwszy szkic do portretu psychologicznego. Oczywiście ważny jest już sam wygląd i zachowanie każdej nowo pojawiającej się postaci, skrupulatnie odnotowywane przez Sama Spade'a, który potrafi z nich wiele wyczytać. Ale charaktery odsłaniają się i zaokrąglają dopiero w toku kolejnych zderzeń detektywa z poszczególnymi gangsterami, dozowanych z nieomylnym wyczuciem, stopniowego wzmagania napięcia dramatycznego. Metoda Spade'a zręcznego prowokowania przestępców w celu przyspieszenia biegu wypadków, które ostatecznie doprowadzą do rozwikłania zagadki, a także obracania na swoją korzyść, zdawałoby się, beznadziejnych sytuacji przez skłócanie członków bandy, weszła później do stałego arsenału środków czarnego kryminału. Często także u autorów, którzy podążyli śladem Hammetta, będzie się pojawiała postać tyle pięknej, co fałszywej lub wręcz występnej femme fatale, która próbuje omotać i wykorzystać dla swoich celów bohatera-detektywa. Również stereotypem gatunku stanie się jego konflikt z agresywnymi, głupimi czy nieudolnymi policjantami czy prokuratorami, z którego detektyw prywatny wychodzi obronną ręką dzięki temu, że to on ostatecznie rozwikła sprawę i wskaże przestępców stróżom prawa. Powieść Hammetta utrwali wreszcie ważną dla dalszych losów czarnego kryminału kluczową rolę dialogu, który w znacznej mierze zastępuje narrację jako metoda nie tylko dramatycznego rysowania charakterów, ale nade wszystko pomysłowego, zaskakującego prowadzenia akcji.

Może jednak najważniejszym wkładem *Sokola maltańskiego* w kodyfikację nowego rodzaju powieści detektywistycznej jest postać głównego bohatera, Sama Spade'a. We wspomnianej już przedmowie z 1934 roku Hammett tak go charakteryzuje:

„Jest wcielonym ideałem w tym sensie, że uosabia to, czym chciałaby być większość detektywów prywatnych, z jakimi pracowałem, i czego niejeden z nich uważał się bliski w chwilach szczególnego zadowolenia z siebie. Wasz detektyw prywatny nie pragnie bowiem - a przynajmniej nie pragnął dziesięć lat temu, kiedy z nim kolegowałem - być wszechwiedzącym rozplątującym zagadek na wzór Sherlocka Holmesa; pragnie być twardym i sprytnym facetem, który potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji i góruje nad każdym, z kim się zetknie, zarówno nad przestępcą, jak nad Bogu ducha winną osobą postronną czy klientem”.

Rzeczywiście, Spade jest w pewnym sensie tym chodzącym ideałem detektywa prywatnego. Ma wszystkie wymienione cechy, ponadto jest przystojny, silny, sprawny fizycznie, potrafi być ujmujący dla mężczyzn i nieodparcie atrakcyjny dla kobiet. Na pierwszy rzut oka może się wydawać nowym wcieleniem dawnego rycerza bez skazy, broniącego pięknej a niewinnej dziewczicy przed niebezpieczeństwem. Ale jeśli nawet jest nie pozbawiony pewnej nutki romantyzmu, to na pewno góruje nad nią trzeźwy realizm. Więcej, w niektórych scenach Spade przyjmuje postawę wręcz

cyniczną i trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, czy jego cynizm jest tylko doraźną grą, czy też może wzięłyby górę, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. W każdym razie ten detektyw nowego chowu to profesjonalista podejmujący się działania w czyjejs obronie za odpowiednim wynagrodzeniem. I nie okaże się bynajmniej rycerzem z dawnych romansów, który na koniec poprowadzi swoją wybrankę do ołtarza, lecz gorzkim realistą z nowoczesnej powieści, który odda w ręce policji przewrotną klientkę, mimo że wzięł od niej pieniądze, przespał się z nią po drodze i ciągle nieobojętne mu są jej wdzięki. Głuchy na jej zaklęcia i wyznania miłosne, nie omieszka podkreślić, że podejrzewał ją od początku o zbrodnię, i wyłoży jej logicznie punkt po punkcie powody, dla których musi postąpić z nią tak, a nie inaczej.

Końcowy wywód Sama Spade'a, na którym opiera się niekonwencjonalne rozwiązanie intrygi powieściowej, sprowadza się pozornie do morału, że nie należy być frajerem i pozwolić robić z siebie durnia. Jednakże za tą prymitywną argumentacją kryje się w istocie coś znacznie głębszego - gorzka wizja świata bohatera i samego autora. W całej powieści Hammett starannie wypunktowuje reakcje Spade'a na kolejne sytuacje, dając do zrozumienia, iż nie jest on w rzeczywistości tak twardy i nieczuły, jakby się mogło wydawać. O jego zaangażowaniu emocjonalnym świadczą także jego niektóre wypowiedzi, szczególnie te, które dotyczą niedostatków wymiaru sprawiedliwości w San Francisco. Najwymowniejsza wszakże jest nie mająca bezpośredniego związku z akcją historia niejakiego Flitcrafta, którą Spade opowiada Brigid na pozór tylko dla zabicia czasu oczekiwania na telefon Caira. Dziewczyna zrozumie jej głębszy sens dopiero, gdy Spade nawiąże do tej historii tłumacząc w ostatniej scenie motywy swego postępowania. Morał historii Flitcrafta, a zarazem *Sokoła maltańskiego*, tak komentuje Sinda Gregory w swoim studium ©-powieściach Hammetta, zatytułowanym *Private Investigations (Śledztwa prywatne, Southern Illinois University Press 1985)*:

„...nic nie jest trwałe, żadne wartości nie są absolutne, chyba że są to wartości, które człowiek sam sobie wyznaczy jako sposób życia. Można liczyć tylko na siebie samego; z chwilą gdy pozwolimy, by druga osoba na nas wpływała albo nas kontrolowała, wydajemy się na łaskę sił, nad którymi nie panujemy. A oczywiście najniebezpieczniejszym zobowiązaniem, jakie można na siebie wziąć, jest miłość, bo grozi ona, że człowiek zrobi z siebie durnia wyzbywając się oparcia w swoim zawodzie i jego etosie, które są jedynym środkiem porządkującym przypadkowość i niestabilność świata”.

Tak oto detektyw, bohater powieści kryminalnej, zamiast pełnić jedynie swoją zwykłą rolę spiritus movens akcji, stał się pełnokrwistą kreacją literacką i nosicielem filozofii autora, postacią niemal tragiczną. To właśnie - obok galerii niestereotypowych bohaterów pobocznych, niekonwencjonalnej, a pełnej napięcia intrygi, realizmu tła i języka, dynamicznej narracji i gorzkiego przesłania w duchu epoki - sprawiło, że *Sokół maltański* został przyjęty jako coś więcej niż zwykły „kryminał” i dał początek nowej szkole powieściopisarstwa detektywistycznego.

*Krzysztof Zarzecki*

## **Spis treści**

### 1. Spade & Archer 5



02. Śmierć we mgle 15
03. Trzy kobiety 31
04. Czarny ptak 40
05. Lewantyńczyk 57
06. Cień 65
07. Litera „G” w powietrzu 77
08. Tere fere 93
09. Brigid 104
10. Otomana w hotelu „Belvedere” 113
11. Grubas 127
12. Huśtawka 141
13. Cesarski dar 154
14. „La Paloma” 166
15. Każdy głupek... 177
16. Trzecie zabójstwo 191
17. Sobotni wieczór 204
18. Kozioł ofiarny 218
19. Ręka Rosjanina 238
20. Jeśli cię powieszają... 263 Posłowie 280

„KB”